

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

PASTORKA:
Tłumczę rodzicom
nastolatków, żeby
dawali im prawo
do utraty wiary ►10



**WYSOKIE
OBCASY**
Pani Łuska
Na własnej
skórze



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Ile kosztuje twarz dziecka w sieci. ►4

FOT. GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Wellman z Wellmanem
Przed podróżą powtarzam
Kubie, gdzie jest
testament ►32



FOT. KRZYSZTOF WELLMAN

Juliette Binoche
Spotyka na planie
mężczyznę
z przeszłości ►36

**Żyd chciał zabić
prezydenta!**
Polska sprawa
Dreyfusa ►40

Agnieszka
Kublik

Trujące uzdrowiska. Oksymoron? Nie, państwo PiS

Najwyższa Izba Kontroli przeanalizowała jakość powietrza w uzdrowiskach. Przekręt, jaki odkrył NIK, budzi grozę. Bo okazuje się, że tam dokąd jeździli ludzie chorzy, by się leczyć wysokiej jakości powietrzem, powietrze nie leczyło, a trulo. Raport opisała Judyta Watola. Wszystko to działo się za wiedzą i zgodą ministerstwa zdrowia w czasach PiS. Resort zdrowia w latach 2019-21 (to czas Łukasza Szumowskiego i Andrzeja Niedzielskiego) potwierdzał dobrą jakość powietrza tam, gdzie tej jakości nie było!

– Negatywna ocena NIK dotyczy potwierdzenia przez Ministra Zdrowia spełnienia przez uzdrowiska warunków ustawy uzdrowiskowej. Analiza dokumentacji dla 12 uzdrowisk wykazała, że żadne z nich nie spełniało wymagań dotyczących jakości powietrza, a mimo to potwierdzono ich status bez żadnych zastrzeżeń – piszą kontrolerzy. A ja się łapię za głowę.

NIK intencje ministrów opisuje tak: „Działania podmiotów objętych kontrolą były bardziej nacechowane zabezpieczeniem interesu ekonomicznego uzdrowisk niż zapewnieniem bezpiecznych dla zdrowia i wol-

nych od obciążeń ze strony środowiska warunków do prowadzenia lecznictwa uzdrowiskowego”.

Czyli pieniądze, a nie ludzie. Bo, jak zauważa NIK, to nie było jakieś naciąganie norm, to było regularne oszustwo: „Doprowadziły one do potwierdzenia właściwości leczniczych klimatu i spełnienia wymagań ustawowych nawet w uzdrowiskach, w których skrajnie przekraczany był poziom docelowy”.

A chodzi o znane uzdrowiska: Rabka, Szczawnica, Ustronі, Goczałkowice-Zdrój, Szczawnо-Zdrój, uzdrowisko Cieplіce pod Jelenią Górą, Kudowa-Zdrój, Polanica-Zdrój, Swoszowice pod Krakowem, Busko-Zdrój oraz Ciechocinek i Inowrocław.

Ministrowie zdrowia z jednej strony świadomie szkodzili kuracjom z chorobami układu oddechowego i krążenia. Tak, szkodzili, bo – ustalił NIK – „stężenia średnioroczne rakotwórczego benzoapirenu przekraczane były w każdym z uzdrowisk i mieściły się w przedziale od 240 do 1450 proc. normy, w tym w ośmiu uzdrowiskach mogły wystąpić stężenia na poziomie co najmniej 700 proc. normy”.

Ministrowie prowadzili kampanię edukacyjną „Czas na czyste powietrze”! A to przecież czyste oszustwo!

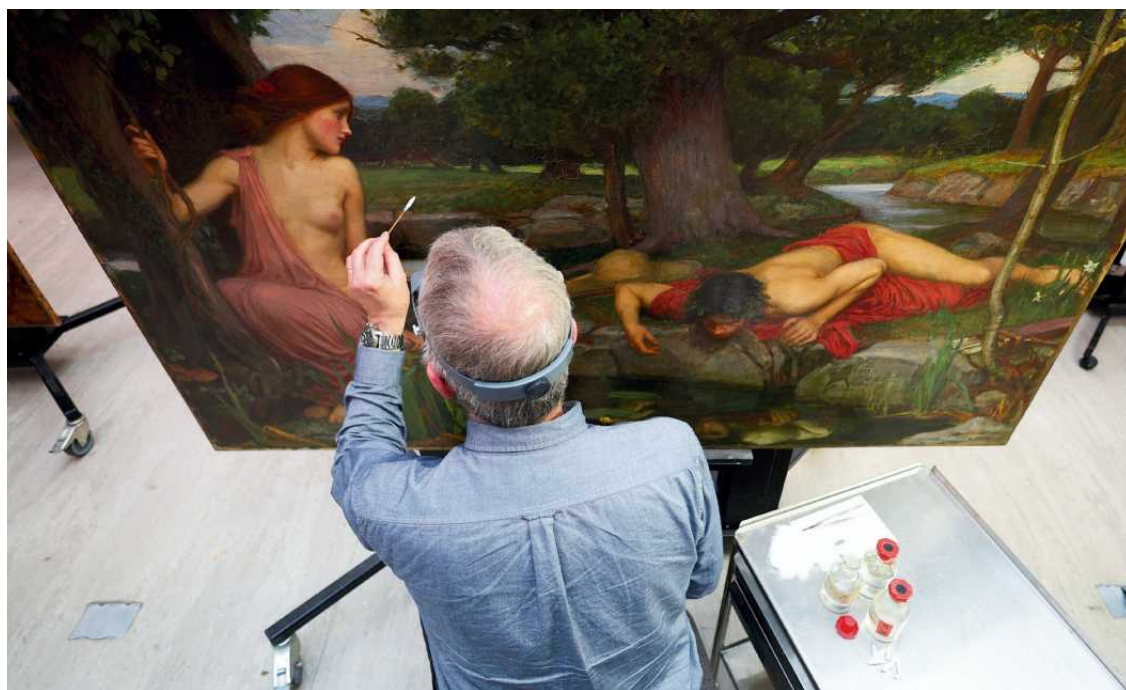
Rodzina, wysokie morale – Jarosław Kaczyński tyle o tym gadał na wiecach. Przekonywał, że tylko PiS potrafi urządzić dobre państwo, w którym „potrzebna jest solidarność”, która „opiera się na empatii i zrozumieniu potrzeb innych ludzi”.

Ze wszystkich afer PiS, o których się dowiadujemy, ta wydaje się być najbardziej absurdalna. Żeby kłamać nawet w sprawie czystego powietrza?! Tylko Bareja potrafiłby coś takiego wymyślić. ●

Andrzej rysuje



Poprawa wizerunku Leczenie Narcyza



Dave Crombie, konserwator obrazów z liverpoolskiego Muzeum Narodowego, pracuje nad dziełem „Echo i Narcyz” Johna Williama Waterhouse’a z 1903 roku. Obraz przedstawia mit opisany przez Owidiusza w „Przemiannach”: Narcyz odrzuca uczucie nimfy Echo i zakochuje się we własnym odbiciu. Liverpool, 20 sierpnia 2024 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

43

PROC.
nastolatków uważa,
że rodzice publikują ich
zdjęcia w sieci bez ich
zgody ▶ 4

Astronauta Utknęli na orbicie

W najbliższych dniach ma zapaść decyzja, kiedy i jak astronauta Barry „Butch” Wilmore i Sunita Williams wrócą ze stacji kosmicznej. NASA nie jest pewna, czy statek Starliner może bezpiecznie sprowadzić ich na Ziemię.

Dwoje doświadczonych astronautów NASA w czerwcu poleciało na wokółziemską orbitę statkiem Starliner, dla którego był to pierwszy testowy lot w kosmos z załogą na pokładzie.

Start przebiegł gładko, ale już na orbicie pojawiły się problemy z układem napędowym, a gdy statek zbliżał się do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, pięć silników przestało działać.

Starliner ma takich silników 28, służą mu do manewrowania na orbicie. Cztery z pięciu sprawiających kłopoty udało się ponownie uruchomić, a statek ostatecznie zacumował przy stacji. Ale NASA obawia się, że problem może powtórzyć się podczas lotu powrotnego. Od dwóch miesięcy eksperci agencji szacują ryzyko. NASA odwleka decyzję i przedłuża pobyt Starlinera i astronautów w kosmosie. Agencja przekonuje jednak, że nie ma pośpiechu. To misja testowa, której celem jest sprawdzenie gotowości Starlinera do regularnych lotów i wykrycie ewentualnych problemów. Wszyscy byli więc



przygotowani na to, że mogą się one pojawić, a harmonogram misji ulegnie zmianie.

NASA ma teraz do wyboru dwa scenariusze. Albo Starliner zostanie uznany za bezpieczny, a Williams i Wilmore powrócą nim na Ziemię. Albo astronauta wrócą statkiem Dragon, który od kilku lat wozi astronautów na stację kosmiczną. Ale na podwózkę będą musieli jednak poczekać aż do lutego 2025 roku, dopiero wtedy będzie można zwolnić dwa miejsca w kapsule Dragona. Zamiast ośmiu dni, spędzą w kosmosie osiem miesięcy.

Williams i Wilmore w rozmowach z orbitą mówią, że się cieszą z niespodziewanie przedłużonej misji. Stacja ma wystarczające zapasy wody i jedzenia, aby gościć dodatkowych astronautów, jest tam teraz dziewięć osób. ●

Piotr Cieśliński

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Chłopaki to inny świat

Henio bardzo bał się pójścia do zerówki, bo jego rówieśniczki potrafiły już czytać, a on nie. Miał poczucie, że jest przegrany, gorszy. W szkole dla chłopców okazało się, że zdecydowana większość kolegów też nie czyta.

Reportaż Moniki Redzisz o szkołach niekoedukacyjnych



Wybory prezydenckie 2025

Szachy i podchody

Plotki o kandydowaniu Tuska na prezydenta nie ucichną. Są mu na rękę, bo stawiają Kaczyńskiego w trudnej sytuacji.

Wielowieyska



Kto wystartuje w wyborach prezydenckich? To pytanie będzie nam towarzyszyć przez następne kilka miesięcy, bo jest wiele niewiadomych. Największe szanse na wygraną – jak wynika z obecnych sondaży – ma prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski i dlatego najczęściej wskazywany jest przez polityków Koalicji Obywatelskiej jako potencjalny kandydat. Ale ostatecznej decyzji nie ma, a największa partia koalicji rządzącej zamierza ogłosić ją dopiero pod koniec tego roku. Ten termin zapowiedział premier Donald Tusk podczas zeszłotygodniowej konferencji prasowej.

Jednocześnie Tusk zaprzeczył nieoficjalnym informacjom, że sam chciałby w tych wyborach wystartować. Potwierdził, że najbardziej prawdopodobnym kandydatem jest prezydent Warszawy, ale niczego nie przesądził.

Premier już wcześniej w TVP w programie Justyny Dobrosz-Orazcz zapewniał, że w wyścigu prezydenckim nie weźmie udziału, ale to nie uciło spekulacji na ten temat. W Trzeciej Drodze, a także w PiS, cały czas podejrzewają, iż decyzja w sprawie kandydatury KO może się zmienić i w ostatniej chwili Tusk powie, że zaistniały nowe okoliczności i jednak wystartuje. Nie można tego wykluczyć.

Aspiracje prezydenckie ma też szef MSZ Radosław Sikorski.

Tusk, i nie tylko on, zdaje sobie sprawę, że wiele może się zdarzyć do końca roku. Jakies wydarzenia mogą całkowicie zmienić dynamikę w polskiej polityce i decyzje personalne trzeba będzie dostosować do nowych okoliczności.

Plotki o kandydowaniu Tuska nie ucichną, bo już raz obecny premier zmienił zdanie w pewnej kwestii. – Nie wybieram się do Brukseli – zadeklarował w 2014 roku pytany o ewentualną kandydaturę na szefa Rady Europejskiej. – Myślę, że w Polsce będę skuteczniejszy – dodał. Po czym stanął na czele RE.

Dziś przedstawia podobną argumentację. Dlatego Jarosław Kaczyński nie dowierza jego deklaracjom.

Premier Tusk ma rację, że nie chce zbyt wcześnie wskazywać kandydata. Poza tym spekulacje o jego ewentualnym starcie są na rękę KO, bo stawiają PiS w trudnej sytuacji.

Prezes Jarosław Kaczyński będzie musiał w końcu zdecydować, na kogo postawić. Taką decyzję poprzedza zazwyczaj analizami wyspecjalizowanych agencji, które na podstawie ba-

dań fokusowych wskazują optymalną kandydaturę.

Tyle tylko, że finansowanie tych fokusów może się okazać wyrzuceniem pieniędzy w błoto, ponieważ kluczową kwestią w przygotowaniach do kampanii jest jednak to, kto jest konkurentem, a tego ciągle nie wiadomo. PiS ma mało pieniędzy, grozi mu utrata części subwencji i dotacji z budżetu, musi oszczędzać. Nie może wydawać już milionów złotych na rozmaite badania za pośrednictwem spółek skarbu państwa. A robił to w przeszłości gminnie.

Kaczyński boi się powtórki z kampanii w USA. Ludzie Donalda Trumpa budowali jej plan pod rywalizację z prezydentem Joem Bidenem, a nagle się okazało, że startuje Kamala Harris, co znacząco zmieniło charakter tego politycznego starcia. Są i tacy, którzy wierzą w tym spisek, twierdzą, że Demokraci specjalnie to tak rozegrali, a rezygnacja Bidena była planowana od dawna. Kaczyński tego się właśnie obawia w Polsce. Inaczej buduje się przekaz, gdy przeciwnikiem jest Tusk, inaczej, jeśli jest nim Trzaskowski, a już zupełnie inaczej, gdyby kandydatem został Sikorski.

Kaczyński boi się powtórki z USA, gdzie ludzie Trumpa budowali plan kampanii pod rywalizację z Joe Bidenem, a startuje Kamala Harris. Inaczej buduje się przekaz, gdy przeciwnikiem jest Tusk, a inaczej, gdy jest nim Trzaskowski lub Sikorski

Zwlekając z ogłoszeniem kandydata, Tusk chroni go – kimkolwiek on będzie – przed zmasowaną kampanią negatywną. Dziś PiS może się koncentrować na atakowaniu Trzaskowskiego, poszukiwaniu jego słabych punktów, a potem się okaże, że cała praca pójdzie na marne.

Ekipa Kaczyńskiego zamarła więc w oczekiwaniu na decyzję drugiej strony.

Minusem strategii Tuska, polegającej na ogłoszeniu kandydata w ostatniej chwili, jest to, że pracę w terenie należałoby rozpocząć jak najwcześniej. Przede wszystkim zacząć objazd jak największej liczby powiatów i odbyć tysiące spotkań w mniejszych miejscowościach. Przed 2020 rokiem prezydent Andrzej Duda konsekwentnie realizował taki plan i pomogło mu to ponownie wygrać.

W kampanii prezydenckiej ważne będzie także to, czy rząd Koalicji 15 Października jest w stanie uchylać ustawy w sprawie aborcji, związków partnerskich czy składki zdrowotnej. Bo jeśli nie potrafi realizować tej agendy, to tezę, iż to prezydent Duda jest hamulcowym, będzie można łatwo ośmieszyć. Koalicja musi wysłać na biurko

Dudy – szczególnie w czasie kampanii – cały pakiet ustaw, które prezydent zawetuje. Bez tego mobilizacja własnego elektoratu będzie bardzo trudna.

Najłatwiej będzie zapewne z ustawami przywracającymi praworządność, np. w sprawie Krajowej Rady Sądownictwa. Ale z resztą mogą być problemy.

Czy kandydat PiS może wygrać wybory prezydenckie? Może. Sondaże sprzyjają rządzącym, szczególnie Trzaskowskiemu, ale nic nie jest przesądzone. Bronisław Komorowski też miał świetne notowania, ale wybory przegrał.

Największe szanse na wygraną z politykiem KO miałby prawicowy kandydat, który nie kojarzy się jednoznacznie z PiS, nie jest kandydatem partyjnym, nie obciąża go np. niewiarygodne złodziejstwo, które było cechą charakterystyczną rządów Zjednoczonej Prawicy, szczególnie w końcówce urzędowania. Najlepiej, aby była to osoba niezależna od Kaczyńskiego, ale jednak wspierana przez PiS.

Tyle że taki scenariusz jest dla prezesa PiS niebezpieczny: osoba nieza-

leżna mogłaby budować konkurencyjny ośrodek władzy na prawicy, a gdyby osiągnęła dobry wynik, mogłaby zagrozić jego przywództwu. Prezes chce uniknąć tej pułapki, bo priorytetem dla niego jest nie zwycięstwo kandydata populistycznej prawicy, lecz umocnienie swojej władzy w PiS, zduszenie w zarodku planów przewrotu pałacowego.

Kaczyński chce rządzić partią, póki starczy mu sił. Władzy w partii nie odda. Jednocześnie zdaje sobie sprawę, że tylko kandydat mniej kojarzony z jego formacją ma szansę na przyzwoity wynik. Szuka polityka, który byłby całkowicie od niego zależny, ale z drugiej strony sprawiał wrażenie osoby spoza PiS.

Może dlatego z wyścigu o nominację odpadł Tobiasz Bocheński, obecnie europoseł. Był już kandydatem PiS w wyborach w Warszawie. W grze pozostali podobno poseł Zbigniew Bogucki i prezes IPN Karol Nawrocki.

Notowania Nawrockiego rosną. PiS może go przedstawiać jako kandydata ponadpartyjnego, który z patologiami poprzedniego rządu nie ma nic wspólnego. Nie jest politykiem aparatu PiS-owskiego i trudniej będzie go atakować. I to w obecnych warunkach jest wielką zaletą.

Bo przecież co chwila wychodzą na jaw skandale związane z władzą PiS. Onet informował o kosmicznych pensjach doradców prezesa Pekao SA. Chodzi o ludzi z kręgu byłego ministra aktywów państwowych Jacka Sasina. Jak to możliwe, że żona szefa PKOl zarabiała ponad 160 tys. zł miesięcznie, choć jej doświadczenie ogranicza się do pracy w biurze poselskim i firmie handlującej artykułami papierniczymi? A na dodatek w spółce trudno znaleźć ślady jej pracy?

Takie bulwersujące doniesienia mogą się pojawiać cały czas, także w czasie kampanii prezydenckiej. Nawrocki może jednak odpowiadać: „Nie jestem w Prawie i Sprawiedliwości, nie znam sprawy, ja nawet nie znam zbyt dobrze Jacka Sasina, koncentrowałem się na pracy w Instytucie Pamięci Narodowej”.

Bogucki już nie może tak się tłumaczyć, Sasin to jego kolega z partii.

Jednocześnie Kaczyński zakłada, że Nawrocki będzie posłusznym podwładnym, bo nominację zawdzięczałby Nowogrodzkiej. Być może Nowogrodzka ma jeszcze inne sposoby, by zabezpieczyć jego posłuszeństwo. Inna zaleta Nawrockiego: nie jest związany z żadną frakcją w PiS. To z punktu widzenia prezesa bardzo ważna okoliczność.

Jednocześnie kandydatura prezesa IPN byłaby sprytnym zabiegiem, bo osłabiałaby szanse Doroty Gawryluk, wspieranej przez Zygmunta Solorza. Jej start nie jest wykluczony. Profil obojga i usytuowanie względem PiS byłyby podobne.

Gawryluk miałaby większe szanse zaistnienia, gdyby PiS wystawił kandydata stricte partyjnego, np. Patryka Jakiego, Mateusza Morawieckiego czy Beatę Szydło. Jednocześnie Nawrocki jest do strawienia zarówno dla elektoratu twardego, jak i bardziej centrowego.

Dla prezesa IPN liberalno-lewicowy Trzaskowski byłby wygodnym konkurentem. Tu polaryzacja byłaby bardzo silna. A na tym Kaczyńskiemu zależy.

Z kolei start Tuska mógłby tę polaryzację osłabić, bo premier dziś prowadzi politykę, która polega na odbieraniu PiS politycznego tlenu: robimy to, co PiS chciał robić lub planował, tylko bardziej racjonalnie i skutecznie. Centralny Port Komunikacyjny? Kontynuujemy. PiS proponował starania o organizację igrzysk olimpijskich, a Tusk już to zapowiedział. PiS mówił o ochronie granicy polsko-białoruskiej przed napływem migrantów. Tusk udowadnia, że jest w tej kwestii bardziej skuteczny.

Z tego punktu widzenia szef rządu mógłby być trudniejszym konkurentem dla PiS, tym bardziej że popierają się jego notowania w rankingu popularności polityków.

Zarówno Tusk, jak i Kaczyński mogą nas jeszcze zaskoczyć swoimi decyzjami. A plotki i spekulacje mogą służyć dezorientacji przeciwnika. ●

Dominika Wielowieyska

INTYMNNOŚĆ PRAWEM DZIECKA

Dzisiaj dzieci,
nie tylko influencerów,
nie mają prywatnego
życia. I już nigdy go
mieć nie będą, bo ich
dzieciństwo zostało
podane na tacy
milionom ludzi.



Z **ALEKSANDRA
RODZEWICZ***,
NAUCZYCIELKĄ
DYPLOMOWANĄ,
TWÓRCZYNIĄ PROFILU
#FACETKA_Z_PORADNI
ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ



AGNIESZKA JUCEWICZ: „Dziecko to nie kalendarz, żeby ocieplać czyjś wizerunek” – powiedziałaś.

ALEKSANDRA RODZEWICZ: Przed zeszłorocznymi wyborami do parlamentu. W poście na Facebooku napisałam, że atmosfera robi się gorąca, nabiera rumieńców i niestety są to rumieńce dzieci. Bo po tym, jak skończyły się argumenty, wiele polityków i polityczek zaczęło udostępniać w swoich mediach społecznościowych zdjęcia z dziećmi – ze spotkań z wyborcami, szkół itd. Strategia, którą obserwuję od lat.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy mnie to uderzyło. Trwała kampania prezydencka w USA. Bill Clinton ubiegał się o drugą kadencję, kiedy zarzucano jego żonie Hillary, że jest za mało rodzinna, co źle wpływa na to, jak jest odbierany.

I nagle w mediach zaczęliśmy oglądać zdjęcia Hillary z psem na spacerze, w dresie, no i oczywiście w towarzystwie dzieci. Pomyślałam wtedy, że rozumiem potrzebę kreowania pozytywnego wizerunku, ale są granice przyzwoitości. Oczywiście, ta strategia okazała się skuteczna, bo ona zawsze działa.

Nie tylko politycy i polityczki po nią sięgają. Robią to też influencerzy i influencerki, na przykład kiedy zaliczą wizerunkową wpadkę.

– Mechanizm jest bardzo prosty: skoro fotografuję się w towarzystwie dziecka, w dodatku uśmiechniętego, to oznacza, że jestem dobrym człowiekiem.

Nie mogę być zły. W odbiorcach takie obrazy automatycznie wzbudzają sympatię. I po to się to robi.

Najbardziej oburza mnie to, że – mimo iż żyjemy w świecie, w którym publikowanie wizerunku dziecka stanowi dla niego realne zagrożenie – wciąż czołowi politycy, osoby publiczne, to robią. Chcę wierzyć, że najczęściej bezmyślnie.

Skąd wiesz, że nie cynicznie?

– Po reakcjach. Kiedy zdarza mi się zwrócić komuś takiemu na to uwagę, najczęściej się reflektuje. Choć influencerzy to trochę inna kategoria.

Ktoś powie: „No dobrze, ale ten polityk czy ta osoba publiczna pewnie poprosili rodziców dziecka o zgodę na publikację jego wizerunku. Rodzice ją wyrazili. W czym rzecz?”

– I to jest wielki problem, że dziś prawo w Polsce działa właśnie tak, jak mówisz. Mamy instytucję władzy rodzicielskiej i do 18. roku życia dziecka o publikacji jego wizerunku decydują rodzice, którzy często są nieświadomi konsekwencji takiej decyzji.

Co więcej, świadomość ta jest też niska wśród osób zajmujących się edukacją w Polsce, pracujących w przedszkolach, szkołach, samorządach. Wiem o tym, bo regularnie się z nimi spotykam.

Rodzicowi, który podpisuje taką zgodę, na przykład na publikację zdjęcia dziecka z politykiem, może się wydawać, że to taka fajna przyгода. I nie przyjdzie mu do głowy, że jak to dorosłe już dziecko zdecyduje, że chce startować do wyborów z zupełnie innej opcji politycznej, to ktoś mu to zdjęcie z sieci wyciągnie, co może przekreślić jego szansę na karierę.

Wolałabym, żeby dzieci same mogły w przyszłości decydować, co, jak i komu chcą o sobie opowiedzieć. Dlatego tak ważne jest, żebyśmy chronili ich wizerunek w cyfrowej przestrzeni już teraz.

Z raportu „Sharenting po polsku, czyli ile dzieci wpadło do sieci?” Marty Biercy i Alicji Wysockiej-Świtaly wynika, że „40 proc. polskich rodziców dzieli się w internecie zdjęciami i filmami dokumentującymi dzieciństwo ich dzieci, a rocznie każdy z tych rodziców wrzuca średnio 72 zdjęcia i 24 takie filmy”. Ty le że to raport z 2019 roku. Zakładam, że dziś takich rodziców jest więcej i wiele z nich może spytać: „To mamy w ogóle takich zdjęć nie zamieszczać? Przecież to jest tylko dla rodziny, znajomych. Co w tym złego?”

– Na przykład to, że dziś, wykorzystując sztuczną inteligencję, można takie dziecko ze zdjęcia „rozebrać” i stworzyć filmik pornograficzny z jego udziałem, który stanie się wiralem.

To złego, że jeśli udostępniam jakieś zdjęcie w najbliższym kręgu, to nigdy nie wiem, co ktoś z tego kręgu z nim zrobi. Może uzna, że moje dziecko jest tak urocze, a filmik taki słodki, że postanowi je podać dalej? To nie jest tak, że wyjmu-

jemy z albumu fotografię i pokazujemy ją tylko najbliższym. Wrzucając film czy zdjęcie do przestrzeni cyfrowej, przestajemy być ich właścicielami.

Przyszedł mi do głowy przykład niezwiązany z tym, o czym teraz rozmawiamy, ale mechanizm jest ten sam. W ubiegłym roku w kampanii wyborczej głośno było o pewnym filmiku nagrany przez Andrzeja Seweryna.

Pełnym wulgaryzmów, dodajmy. Jak oświadczył potem aktor – nagranie to zostało wysłane w prywatnej wiadomości. Ani on, ani jej odbiorca jej nie upublicznili. Zrobił to ktoś, kto uzyskał dostęp do ich prywatnych kont.

– I w ten oto sposób Seweryn zupełnie stracił kontrolę nad tym nagraniem. Co pokazuje, że wrzucanie różnych treści do przestrzeni cyfrowej może mieć poważne konsekwencje, których możemy nie przewidzieć.

Co jeszcze się może wydarzyć ze zdjęciem dziecka poza zmanipulowaniem go przy użyciu sztucznej inteligencji?

– Są wakacje. Dużo osób publikuje zdjęcia dzieci na plaży, nad jeziorem, na basenie. W kostiumach, a czasem bez, jeśli to młodsze dziecko. Justyna Kotowska z państwowej Komisji ds. Przeciwdziałania Pedofilii przypomniała ostatnio w Senacie, że dziś zdjęcie dziecka, właśnie takiego niespełna ubranego, może być walutą, która pozwala wejść na forum pedofilskie.

Bo żeby się tam dostać, trzeba najpierw dostarczyć ileś zdjęć, które są często ściągane z internetu. I policja już prowadzi takie sprawy. Również takie, w których oskarżeni są rodzice odsprzedający zdjęcia swoich dzieci pedofilom, żeby podreperować rodzinny budżet.

Ale tego typu zdjęcia, zupełnie nieświadomie, udostępniają nie tylko rodzice.

Kto jeszcze?

– Regularnie sprawdzam, co na swoich publicznych fanpage'ach na Facebooku publikują szkoły. I tam jest już w tej chwili wszystko. Zdjęcia dzieci na basenie również. Często są to szkoły prowadzone przez bardzo świadome dyrektorki, które sprawnie zarządzają wizerunkiem placówki, a jednocześnie nie rozumieją, dlaczego zamieszczanie takich zdjęć jest niewłaściwe.

Co jeszcze jest niewłaściwe?

– Zdjęcia dzieci z dyplomami, na których widnieje imię i nazwisko dziecka oraz klasa i szkoła, w której się uczy. Jeśli mamy wizerunek dziecka plus takie dane, to odnalezienie go i uwiedzenie – czy to w sieci, czy w realnym świecie – jest już bardzo proste.

To jest takie wystawienie dziecka na tacy dla świata przestępczego. I przeraża mnie, że ludzie, którzy są z mocy prawa odpowiedzialni za ochronę dzieci, w tej akurat sferze nie za bardzo jeszcze czują to zagrożenie.

A kiedy ja albo moje koleżanki czy kole-dzy zwracamy im uwagę, często odpowiadają: „Ale jak to? Wrzucam te zdjęcia do mediów społecznościowych od 10 lat. Technologia daje coraz fajniejsze możliwości, dlaczego miałabym z tego zrezygnować?”.

Zdjęcia dzieci na basenie, z ujawnionymi danymi – rozumiem. Ale co mówisz nauczycielce, kiedy pyta, dlaczego miałaby nie publikować zdjęć uczniów z wycieczki do teatru czy w góry? Zwłaszcza że rodzice sobie tego życzą.

– Ten argument pada często: „Bo rodzice chcą”. Wtedy pytam, czy umieszczenie zdjęć na Facebooku to naprawdę jedyna możliwość, żeby rodzic miał do nich dostęp? Mnie się nie mieści w głowie, że miałabym pobierać zdjęcia mojego dziecka ze szkolnej wycieczki z publicznego Facebooka.

Kuzynka, która mieszka w Anglii, powiedziała mi, że tam szkoły nie mają profili w mediach społecznościowych. To po pierwsze.

Po drugie, jeśli jakieś zdjęcia są robione w szkole, to przez fotografa, który potem przesyła rodzicom albo wychowawcy spe-

cialny link, pod którym te zdjęcia można pobrać, albo dostarcza je na jakimś nośniku.

Po trzecie, rodzice są proszeni, żeby na terenie szkoły nie robili zdjęć i nie nagrywali filmów swoimi telefonami.

Przekaz ze strony szkoły jest jasny: „nagrywanie albo fotografowanie innych dzieci nie jest w porządku”.

Nie mówiąc o tym, że wiele dzieci, nastolatki w szczególności, po prostu nie lubi być fotografowana. A zdarza się, że są do zmuszane, bo przecież „jesteśmy tu całą klasą, jak to nie będzie cię na zdjęciu?”.

– Dzieci też często nie chcą, żeby rodzice ich fotografowali i udostępniali ich zdjęcia.

Według zeszłorocznego raportu NASK „Nastolatki 3.0” 43 proc. nastolatków twierdzi, że rodzice publikują ich wizerunek bez ich zgody. Prawie jedna czwarta jest tym zawstydzona, ale już niecałe 19 proc. uważa, że to jest nie w porządku. I to jest taka dana, która pokazuje mi ważną rzecz. Wygląda na to, że bycie w relacji miłości z rodzicem często nie pozwala dzieciom zachować się asertywnie, czyli powiedzieć na przykład: „to nie fair, że zamieszczasz te zdjęcia bez mojej zgody” albo „nie życzę sobie”. To pokazuje, jaką moc ma władza rodzicielska i że pozwala naruszać granice dziecka na różne sposoby, w tym i taki.

Rodzice rozbijają jajka na głowach swoich dzieci i filmują ich reakcję. Lajki, uśmieszki

Rodzice często mówią: „Ale ja spytałem dziecko i ono się zgodziło” na opublikowanie zdjęcia, filmu czy fragmentu intymnej rozmowy. Pytanie, czy to dziecko na pewno wie, na co się zgadza. I na ile robi to, bo nie chce sprawić rodzicowi przykrości?

– Otóż to. Być może w ogóle w rodzinie tego dziecka nie ma czegoś takiego jak niezgoda. Nie ma przyzwolenia na mówienie, co się myśli czy czuje. Wtedy to może być przejaw głębszego problemu. Dziecko mówi „jasne, publikuj”, bo wie, że jak tego nie zrobi, to rodzic się obrazi.

Dla mnie to są straszne rzeczy, bo mam z tyłu głowy, że teraz dorasta nowe pokolenie, które będzie tworzyć nasz wspólny świat. Jeśli sprawimy, że będą mieć poczucie, że asertywność jest nie przemocą, tylko prawem, to tak będą traktować w przyszłości innych, w tym osoby starsze.

Ale jeżeli w szkole będą doświadczać, że niby mogą wyrażać siebie, ale tak naprawdę ich zdanie się nie liczy, i to samo będą mieć w domu, czyli „niby pytam cię o zgodę, ale spróbuj odmówić”, to na tym nie zbuduje się szanującego swoje i cudze granice społeczeństwa.

Wiesz, ja jestem 48-letnią kobietą i moich granic nikt nigdy tak daleko nie przekraczał. A dziś one w wielu domach zostały już mocno przekroczone.

Słyszałaś o procesach, które wytoczyły dorosłe już dzieci swoim rodzicom za naruszenie ich prawa do wizerunku publikacjami w mediach społecznościowych?

– Szukałam takich wyroków, ale przynajmniej w Polsce ich nie znalazłam. Co ciekawe, zdarza się tak, że jeden rodzic pozwa drugiego.

Podam dwa takie przykłady, oba z Polski. Pierwszy pochodzi z 2017 roku. Matka pozwalał partnera za to, że bez jej zgody w portalu społecznościowym opublikował zdjęcie przedstawiające ich nagiego, dwuletniego syna, który w jednej ręce trzymał

pusztą butelkę po piwie, a drugą zasłaniał miejsca intymne.

Profil był publiczny, więc każdy mógł to zdjęcie zobaczyć.

A drugi przykład?

– Ktoś opublikował na swoim profilu zdjęcia nastolatków bez zgody ich rodziców. Został poproszony o ich usunięcie, nie zrobił tego i sprawa skończyła się w sądzie. Ostatecznie ta osoba musiała usunąć te zdjęcia i opublikować przeprosiny za naruszenie dóbr osobistych tych dzieci.

Przypomina mi to sprawę z Holandii, w której matka pozwała swoją matkę, czyli babcię dzieci, za udostępnianie ich zdjęć w mediach społecznościowych, mimo że córka prosiła ją wielokrotnie, żeby tego nie robiła.

– To, że takie sprawy się toczą, świadczy o tym, że świadomość rośnie, ale to są pojedyncze przypadki.

Ten pierwszy przykład to klasyczny przykład troll-parentingu. Co to za zjawisko?

– Troll-parenting polega na udostępnianiu materiałów, które krzywdzą, ośmieszają, upokarzają czy w jakiś inny sposób kompromitują dziecko.

W zeszłym roku głośno było o ojcu z Dąbrowy Górniczej, który na nagraniu na Tik-Toku bił i podduszał siedmioletniego syna. Opinia publiczna słusznie zawrzała.

Tyle że potem się okazało, że ta rodzina tego typu treści, może nie aż tak przemocowe, ale wciąż, publikowała od lat. Mnóstwo ludzi to oglądało, bo wiele osób lubi podglądać różne dysfunkcje.

Byli pewnie i tacy, którzy zgłaszali to do platformy, ale jak znam życie, dostali informację zwrotną, którą ja dostaję niemal zawsze, kiedy coś zgłaszam, że „materiał nie narusza zasad społeczności”.

A co zgłaszasz najczęściej?

– Na przykład, kiedy rodzic filmuje, jak dziecko jedzie na zabawkowym rowerku, po czym wjeżdża w ścianę i zaczyna płakać. Oczywiście, oglądający są takim filmikiem tak ubawieni, że dają mu tysiące serduszek i uśmieszków.

Albo filmik, na którym widać, jak dziecko się przewraca, zdziera sobie kolano i płacze, a rodzic, zamiast mu pomóc, je nagrywa.

Naprawdę cały dzień można zgłaszać takie materiały, tyle tego jest.

Ja ostatnio widziałam na Instagramie, jak na oko pięcioletnia dziewczynka śpiewa piosenkę, puszcza głośno bąka, po czym mówi, że „księżniczki też puszczaają bąki”. Filmik ma miliony wyświetleń, a ja sobie od razu wyobraziłam, co się może z nim stać za lat 10 czy 15.

– To nagranie już z tej sieci nie zniknie, prawda? Nie wiem, czy na to trafiłaś, ale jakiś czas temu była „moda” na filmiki, na których rodzice rozbijają jajka na głowach swoich dzieci i filmują ich reakcję. I takich „wyzwań” dla rodziców jest w mediach społecznościowych mnóstwo.

Ostatnio widziałam takie – rodzic idzie z dzieckiem na rękę, nagle uderza drugą ręką w ścianę i dziecko zaczyna płakać. Tysiące rodziców sfilmowało taką scenę, ciesząc się, że ich dziecko zareagowało tak samo.

Z tego tworzone są potem klipy, na których jest 10 czy 15 takich nagrań. To też jest troll-parenting.

Dlaczego rodzice w ogóle zamieszczają takie nagrania?

– Dla polubień, zasięgów. Szczególnie jeśli ktoś ma duże konto, musi tych głodnych ludzi czymś nakarmić. A takie treści świetnie się do tego nadają, podobnie jak nagrania z pieskami i kotkami, bo algorytm wysoko je pozycjonują.

Instacelebryci i instacelbrytki, na przykład Wersow czy LilMasti, których obserwują miliony, nie uprawiają troll-parentingu, przynajmniej nie oczywistego. Im wystarczy, że bez przerwy pokazują swoje dzieci w różnych „rodzinnych sytuacjach”. Jakie mogą być konsekwencje tego dla tych dzieci?

– Po pierwsze, te wszystkie zagrożenia, o których już mówiliśmy. A po drugie, takie dziecko już nigdy nie będzie miało czegoś, co po staropolsku nazywam intymnością.

„Po staropolsku”, bo uważasz, że to słowo się zdewaluowało?

– Dokładnie tak. Już z 15 lat temu miałam wrażenie, że ludzie tracą poczucie, czym w ogóle jest intymność. Czym jest chwila, kiedy jestem ze swoim dzieckiem, przeżywamy coś razem i to zostaje tylko w naszych wspomnieniach.

Dzisiaj dzieci influencerów, ale nie tylko influencerów, po pierwsze – nie mają intymności. Po drugie, nie mają prywatnego życia. I już nigdy go mieć nie będą, ponieważ ich dzieciństwo, a czasem nawet okres prenatalny, zostało podane na tacy milionom ludzi.

Jakie są koszty psychiczne takiego odarcia z intymności?

– Mamy już przykłady dzieci dorastających na publicznym widoku. Choćby Miley Cyrus, która – kiedy przestała być uroczym dzieckiem – bardzo szybko poszła w skrajne zachowania.

I dziś obserwujemy to wśród młodych osób coraz częściej, że jak już wykorzystają wszystkie atrakcyjne sposoby prezentowania się w sieci, to zaczynają sięgać po te coraz bardziej ekstremalne.

Też, kiedy dorasta się z ciągle wycelowanym w siebie smartfonem, to nie ma się poczucia, że świat może wyglądać inaczej. A kiedy nagle ktoś tę całą uwagę zabierze, to za tym szybko może przyjść kryzys zdrowia psychicznego. I te kryzysy również stąd się biorą – z tego ciągłego bycia na widoku, porównywania się.

Nie jest dla mnie żadną niespodzianką, że dziś tak wiele dzieci ma tak mało poczucia sprawczości. Skąd mają je mieć, skoro rodzice decydują o każdej ich chwili? Skoro nie mogą nawet powiedzieć „nie nagrywaj mnie przy śniadaniu”, bo matka czy ojciec robią to od ich urodzenia?

Samoocena takiego człowieka wystawianego na pokaz też jest umowna, bo nie pochodzi z wewnątrz, tylko jest zależna od cudzej akceptacji, więc to są często ludzie, którzy mają słaby kontakt ze sobą. A skutkiem tego w dorosłym życiu może być na przykład depresja.

I mam poczucie, że ta rosnąca fala zachorowań, którą dziś obserwujemy, to dopiero początek, bo różnych czynników, które wpływają na kryzys psychiczny, będzie coraz więcej, a jednocześnie sposobów wyjścia z kryzysu będzie coraz mniej.

Co masz na myśli?

– Zauważ, że nawet ci influencerzy czy instaedukatorzy, którzy mówią: „Idź pobiegaj, idź na spacer, poleż na łące, bo to jest wartość”, cały czas to nagrywają. Nigdy nie znikają z sieci, choć zachwalają życie poza nią.

Wśród nich są też psychologowie, psychoterapeutki.

– I zdarza się, że i oni przekraczają granice swoich dzieci, przy okazji dorabiając różne teorie do tego, dlaczego to robią.

Jedna z takich osób, popularna na Instagramie, publikuje na przykład zdjęcia swoich dzieci takich właśnie niespełna ubranych. Uzasadnia to tym, że dzieci dobrze się przy tym bawią, a przede wszystkim, że inni rodzice też tego potrzebują, bo to uczy właściwych zachowań – na przykład tego, żeby pozwolić dziecku się ubrudzić czy pobawić swobodnie. Jednym słowem, twierdzi, że robi to z misji.

Ojciec 10-letniej Sary, najmłodszej reporterki w Sejmie, o której zrobiło się głośno w lipcu, gdy poseł Kaczyński odprowadził ją słowami: „Wolność słowa nie jest dla dzieci. Odejdź” też twierdził w wywiadach, że dla jego córki, która ma problemy neurologiczne i logopedyczne, przeprowadzanie wywiadów z politykami, a potem publikowanie ich na TikToku jest rozwijające, a nawet terapeutyczne.

– Powiem tak, jestem z pierwszego wykształcenia logopedką i znam inne metody, którymi można osiągnąć dużo lepsze efekty rehabilitacyjne niż te, które dziewczynka rzekomo osiągnęła w Sejmie.

To są bajki, które się opowiada, racjonalizując nadużywanie własnego dziecka. Tak jak ta psycholożka, która twierdzi, że pokazuje swoje dzieci w różnych intymnych momentach, przekraczając ich prawo do prywatności i do ochrony wizerunku, ponieważ „to ma wartość edukacyjną”. Tak naprawdę to ona tego potrzebuje, nie jej dzieci. Zobacz, jakie to jest egoistyczne.

Wracając do sprawy Sary, ciekawe, że na początku wszyscy oburzali się wypowiedzią posła Kaczyńskiego, a mało kto się dziwił, dlaczego 10-letnia dziewczynka ma konto na TikToku, skoro można je tam założyć po 13. roku życia.

Rodzice twierdzili, że to oni prowadzą to konto. Ona tam w ogóle nie zagląda i nie czyta komentarzy.

– A czy naprawę 10-letnie dziecko musi rozmawiać na tematy polityczne, w tym przybliżać się dyskusji o aborcji?

Żyjemy dziś w takim świecie, w którym rodzice muszą bez przerwy robić bilans zysków i strat, żeby cały czas mieć na uwadze dobro dziecka, więc jeśli chcę je posłać do Sejmu na robienie materiałów dziennikarskich, bo uważam, że to będzie świetna terapia, to najpierw powinienam się przyrzec temu, co to dziecko może przez to stracić.

Wyobrazić sobie na przykład, że jego wizerunek będzie szerowany przez tysiące różnych profili, że jedni będą się wypowiadać pozytywnie, inni negatywnie, że za pięć czy 10 lat to dziecko będzie mogło samo przeczytać, co na jego temat pisali różni ludzie.

Podobno na razie Sara nie ma nawet swojego smartfona.

– Nie musi go mieć, żeby mieć pełnią wiedzę o tym, co się dzieje. Wystarczy, że pójdzie do szkoły. Już jej rówieśnicy zadbają, żeby się wszystkiego dowiedziała.

Przy okazji dyskusji wokół tej sprawy wypłynął jeszcze jeden ważny wątek: czy to, co robi, nie jest przypadkiem pracą, co wymagałoby np. zgody inspektoratu pracy. Rodzice Sary twierdzą, że nikt nie czerpie z jej działalności korzyści, jednak są dzieci, też malutkie, na których rodzice w sieci zarabiają.

– Wykorzystują je do reklamowania ubranek, kosmetyków, wózków. Robią to na swoich kontach albo zakładają konta tym dzieciom, które sami prowadzą, jak rodzice Sary.

Wydaje się, że wszyscy to akceptują. Firmy się reklamują, obserwujący się zachwycają, rodzice inkasują pieniądze. Nie mamy przepisów, które by to regulowały?

– No właśnie, nie mamy, bo dziecko nie podpisze umowy o pracę ze swoim rodzicem, prawda? A rodzic spytany zawsze może odpowiedzieć: „Ale to żadna praca, tylko zabawa”.

Prawda jest taka, że jeśli rodzic to robi, jeśli podejmuje współpracę barterową albo reklamową z jakąś firmą np. na pokazanie ubranek dziecięcych na swoim dziecku, to zwyczajnie to dziecko wykorzystuje. Nie da się tego inaczej nazywać. Ja się czasem zastanawiam, jak takie dzieci w ogóle realizują obowiązek szkolny.

Dzieci z amerykańskich rodzin, które utrzymują się z pokazywania swojego życia w internecie, najczęściej są w edukacji domowej.

– No właśnie...A jeszcze wracając do kosztów psychologicznych: pomyśl, jak w przyszłości może funkcjonować dziecko, które jest kilkanaście razy dziennie przebierane? Które, gdy widzi aparat, od razu wie, jak się ustawić? Które cały czas pozuje?

Obserwuję już trochę takich dzieci, z których rodzice we wczesnym dzieciństwie zrobili maskotki. Dziś mają 13, 14 lat i poważne problemy nie tylko w funkcjonowaniu z rówieśnikami, ale też z dostosowaniem się do norm życia społecznego, choćby w szkole. To wszystko było do przewidzenia.

Skoro fotografuję się w towarzystwie dziecka, w dodatku uśmiechniętego, to oznacza, że jestem dobrym człowiekiem

Czyli na razie rodzic, który chce w ten sposób zarabiać, może robić właściwie wszystko, co mu się podoba?

– O ile dziecka w jawny sposób nie krzywdzi czy nie zaniedbuje. Jeśli mielibyśmy takie podejrzenie, moglibyśmy zawniekskować o wgląd w sytuację takiej rodziny. Ale inaczej jak to udowodnić? Jakie przyjąć kryteria? Wiele z tych rodzin funkcjonuje pozornie dobrze.

Dziś nie mamy prawa, które by wystarczająco chroniło dzieci w takich sytuacjach. Musimy je dopiero stworzyć, dlatego bardzo się cieszę, że pierwszą sprawą, którą ma się zająć na jesieni nowo powstała sejmowa komisja do spraw dzieci i młodzieży, jest właśnie kwestia pracy dzieci w internecie.

Jak chciałabyś, żeby prawo chroniło dzieci?

– Jeśli chodzi o pracę w internecie, chciałabym, żeby była zakazana.

A upublicznianie wizerunku dziecka?

– To też wydaje mi się zbędne, ale nie wiem, jak to mądrze uregulować, żeby nie wyłączać dziecka z kąpielą i np. nie przyłożyć ręki do jeszcze większego wykluczania. Już tłumaczę, o co mi chodzi.

Coraz częściej słyszę, że jeżeli ktoś się nie zgadza na upublicznienie wizerunku dziecka w mediach społecznościowych szkoły czy przedszkola, to to dziecko jest wypraszane z sali i nie ma go na zdjęciu. Albo jest, ale na twarzy ma naklejone serduszek albo kwiatek. Kilka dni temu z kolei koleżanka opowiadała mi, że jej dziecko zostało poproszone o stanięcie do zdjęcia tyłem. Tak żeby jego twarzy nie było widać. Wyobrazasz sobie?

Absurd.

– Moim zdaniem, gdyby przedszkola, szkoły i inne placówki zrezygnowały z tak zwanej promocji w internecie, w tym z wykorzystywania zdjęć i filmów z udziałem dzieci, odzyskałyby sporo czasu, na którego brak dziś tak często się skarżą. Niedawno byłam w pewnym przedszkolu na obserwacji. Pod-

czas zajęć nauczycielka, zamiast zajmować się dziećmi, bez przerwy biegała z telefonem i robiła zdjęcia, które już po chwili można było obejrzeć na stronie tego przedszkola.

I wiesz co jest straszne? Że nie tylko nikt jej tego nie zakazał, ale też wszyscy oczekiwali, że ona to robi. Przecież w szkole nie ma etatu social media managera. Tym się zajmują nauczycielki i nauczyciele w ramach swoich obowiązków.

Dzięki takiemu zakazowi placówki miałyby jeszcze jedną korzyść.

Jaką?

– Przestałyby podlegać tak silnemu osądowi społecznemu. Bo dziś każdy rodzic może sobie wejść na profil szkoły czy przedszkola i powiedzieć: „a mnie się nie podoba, jak pracujecie”, „nie podoba mi się, jak zorganizowaliście te warsztaty”, „tamci robią to lepiej”, „dlaczego nie robicie więcej?”.

To sprawia, że placówki edukacyjne stają się takimi wiecznie lajanymi miejscami i tracą swoje poczucie sprawczości. Gdybyśmy odcięli opinię publiczną od tej możliwości ciągłego oceniania, toby według mnie bardzo uzdrowiło relacje w szkołach.

To teraz powiedz to rodzicom, którzy przyzwyczaili się, że mają pełen dostęp do takich relacji. Nie ma na to szans.

– Skoro są kraje, w których to się dzieje, bo poza Anglią też w Norwegii i w Szwecji rekomenduje się takie ograniczenia w udostępnianiu wizerunku dzieci przez szkoły, to może i my kiedyś do tego dojdziemy.

Od połowy sierpnia szkoły i przedszkola mają obowiązek wdrożenia standardów ochrony małoletnich, w których poruszono też kwestię udostępniania wizerunku dzieci w sieci. Co o tym sądzisz?

– Dla mnie te zapisy wciąż niewystarczająco odnoszą się do ochrony wizerunku dziecka, bo sednem pozostaje tu nadal zgoda opiekuna prawnego na jego udostępnienie. Nie mówi się natomiast, że to sam wizerunek dziecka jest wartością i dlatego należy go chronić. Zobacz, to cały czas jest rozmowa między dorosłymi – dyrektorami, nauczycielami, rodzicami – a dziecko i jego bezpieczeństwo w sieci zostaje gdzieś zgubione.

Stąd moja propozycja, by placówki zrezygnowały z publikowania wizerunku dzieci w internecie, a jeżeli już muszą to robić, to by zawsze pytały dziecko o zgodę.

Marzy mi się, żeby rodzice zaczęli dojrzywać do decyzji o niepublikowaniu zdjęć swoich dzieci w sieci. I nie tylko swoich. Bo są osoby publiczne, w tym popularne influencerki i influencerzy, którzy chronią wizerunek własnych dzieci, natomiast te inne, te „z plebsu”, pokazują bez wahania. Na przykład w swoich kampaniach społecznych.

Chciałabyś, żeby jakie rodzic, dziadek, ciocia zadali sobie pytania przed wrzuceniem zdjęcia dziecka do mediów społecznościowych?

– Dla kogo to robię? I po co? Czy na pewno chcę, aby cały świat zobaczył, jak moje dziecko robi pierwszy krok? Pytanie o cel jest dla mnie fundamentalne. Zadać je sobie właściwie przed każdą publikacją w mediach społecznościowych, dając so-

bie czas na odpowiedź i później w rezultacie często z tej publikacji rezygnuję.

Chciałabym też, żeby ludzie pamiętali, że wizerunek to nie tylko twarz, ale też sposób, w jaki prezentujemy się światu. I jeśli rodzice decydują, że będą swoje dziecko pokazywać jako taką wiecznie przewracającą się, wiecznie ubrudzoną czymś łama-gę, to ono będzie dorastać w przekonaniu, że takie właśnie jest i że wszyscy się z niego śmieją.

Może być też odwrotnie. Bliscy dorośli mogą mnie pokazywać wyłącznie jako dziecko wiecznie radosne, zawsze z inteligentną ripostą.

– Zawsze z jakimś dyplomem czy ze świadectwem z paskiem, oczywiście. Tworzenie aureoli wokół dziecka też może być dla niego obciążające, bo jeśli ktoś wzrasta w przekonaniu, że wiecznie wygrywa olimpiady, a potem nagle w wieku lat nastu zaliczy „regres”, do którego ma pełne prawo, to może mieć ze sobą poważny kłopot.

Żeby było jasne: ja się z tą wiedzą nie urodziłam. Dokładnie pamiętam moment, kiedy do mnie to dotarło. Nigdy specjalnie nie dzieliłam się prywatnymi zdjęciami w mediach społecznościowych, ale kilka razy to robiłam. Ten ostatni raz – około 2010 roku. Coś mnie podkuśiło i wrzuciłam na Facebooka zdjęcie swoich dzieci. Kiedy zobaczyłam, jak ludzie zaczynają to komentować, jak piszą „o, jaka śliczna córeczka” i że są wśród nich osoby, o których nawet nie sądziłam, że mam je wśród swoich znajomych, to nagle poczułam taki dyskomfort, jakbym coś moim dzieciom ukradła. Szybko te zdjęcia usunęłam. To była dla mnie wielka nauczka.

Trudno się wyłamać, kiedy wszyscy wokół to robią: pokazują swoje dzieci, chwalą się ich osiągnięciami, wspólnymi radościami. Można mieć takie poczucie, że jeśli się tym życiem nie dzielisz, to może ono w sumie nie istnieje?

– Zapewniam cię, że istnieje tym bardziej, jeśli nie ma go w sieci.

Pamiętam, jak moim dzieciom, gdy były jeszcze nastolatkami, zdarzało się mówić, że moje media społecznościowe są takie nudne i że może pochwaliłabym się czasem jakimś zdjęciem z naszych wyjazdów. To by się też lepiej klikało. Odmawiałam poza kilkoma razami. Dziś dorosła już córka mówi mi: „Wiesz, jestem ci taka wdzięczna, że ty zawsze byłaś dorosła, że my jako dzieci i nastolatki mogliśmy mieć różne pomysły, ale ty, kiedy trzeba było, stawiałaś granicę”.

Chciałabym, żeby rodzice poczulili, że oni właśnie od tego są, żeby być dorosłymi w rodzinie. I że ich zadaniem jest dbać o bezpieczeństwo dziecka, co dziś wiąże się również z zadbaniem o jego bezpieczeństwo w sieci. Wszyscy popielniamy błędy, one są wpisane w nasz rodzicielski rozwój, jednak czasem trzeba się zreflektować. I to jest właśnie czas na refleksję, bo jeśli na poważnie nie podejmiemy dyskusji o ochronie wizerunku dziecka w internecie, o pracy dzieci w sieci, to za kilka lat będziemy mieli z tym naprawdę poważny problem. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Aleksandra Rodzewicz

• ekspertka Instytutu Badań Edukacyjnych, wieloletnia dyrektorka poradni psychologiczno-pedagogicznej, logopedka, tyflopedagożka, surdopedagożka, nauczycielka dyplomowana. Ekspertka merytoryczna w projektach podnoszących jakość edukacji włączającej. Twórczyni profilu #Facetka_z_Poradni.

GIELDA BISKUPÓW

Jeśli któryś z tych hierarchów przeprowadziłby się do Warszawy, Krakowa czy Poznania, wówczas polski Kościół miałby szansę choć trochę zmienić wizerunek.



Arkadiusz Gruszczyński

Do końca tego roku w czterech dużych polskich miastach mają pojawić się zupełnie nowi biskupi. Z Krakowa odejdzie abp Marek Jędraszewski, z Warszawy – kard. Kazimierz Nycz, z Poznania – abp Stanisław Gądecki, a w Szczecinie nowy metropolita będzie musiał posprzątać po abp. Andrzeju Dziędzie. Pytanie brzmi: czy konserwatywnych biskupów zastąpią bardziej postępowi?

Nowinki znad Sprewy

Jędraszewski, Gądecki i Nycz przez ostatnie lata stali się symbolami Kościoła katolickiego w Polsce.

Ten pierwszy raczej dzielił niż łączył, wypowiadał skandaliczne i niemieszczące się w ramach debaty publicznej poglądy o mniejszościach seksualnych, publicznie popierał rządy prawicy.

Gądecki przez dwie kadencje przewodniczył pracom Konferencji Episkopatu Polski. Z jednej strony nie sprzyjał Prawu i Sprawiedliwości. Toczył publiczny spór z Mateuszem Morawieckim i Jarosławem Kaczyńskim w sprawie antyhumanitarnej polityki migracyjnej.

Ale z drugiej strony – pozwolił sobie na kuriozalny list krytykujący niemiecką Drogę Synodalną. Metropolita poznański wyraził zaniepokojenie, że niemiecki episkopat akceptuje takie pomysły jak kapłaństwo kobiet czy błogosławieństwo par jedнопłciowych, a nawet – dopuszczenie świeckich do wyborów nowych biskupów.

Nie chodzi o to, że biskupi znad Sprewy wprowadzili u siebie te nowatorskie, jak na Kościół ka-

tolicki rozwiązania, tylko zezwolili na dyskusję podejmującą te wątki. To nie spodobало się Stanisławowi Gądeckiemu, który upomniął swojego niemieckiego odpowiednika, że rozbija jedność Kościoła.

Z Nyczem wiązano ogromne nadzieje: był bliskim współpracownikiem kard. Franciszka Macharskiego, czyli raczej liberalnego następcy Karola Wojtyły na tronie metropolity krakowskiego. Nie zapisał się do Kościoła o. Tadeusza Rydzka.

Nie błogosławił żadnej partii, do samego końca pozostaje apolityczny. Jednocześnie nigdy nie spotkał się publicznie z przedstawicielami katolickiej wspólnoty religijnej LGBT Wiara i Tęcza, raczej dystansował się wobec progresywnych środowisk, choć jednocześnie nie zakazywał im działalności.

Z kolei wspomniany we wstępie abp Andrzej Dzięga pożegnał się ze stanowiskiem, ponieważ przez lata krył księdza pedofila.

Kościół, jaki pozostawiają po sobie Jędraszewski, Gądecki i Nycz, mierzy się z największym kryzysem od momentu uwięzienia kard. Stefana Wyszyńskiego w komunistycznym więzieniu.

I wtedy, i teraz wierni dchodzą od katolicyzmu, wątpią w liderów religijnych i szukają zbawienia na własną rękę. Z tą różnicą, że w latach 50. proces sekularyzacji był wpisany w DNA nowego, ludowego państwa, a dzisiejsze procesy wpisują się w szerszy kontekst podobnych mechanizmów w całej Europie Zachodniej.

Dwa obozy w episkopacie

Biskupa wybiera papież. Trzy kandydatury podesła do Watykanu nuncjusz apostolski, czyli ambasador Stolicy Apostolskiej. Wybiera potencjalnych biskupów spośród urzędujących hierarchów, może też wskazać zwykłego księdza. Jeśli Watykan nie wybie-

• **Biskup Grzegorz Ryś, arcybiskup Wojciech Polak i arcybiskup Stanisław Gądecki na XXVI Spotkaniu Młodych Lednica 2000. 4 czerwca 2022 r., Pola Lednickie**

FOT. PIOTR SKÓRNICKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

rze żadnego z nich, wówczas nuncjusz zgłasza kolejnych. Aż do skutku.

Oczywiście najbardziej emocjonująca jest giełda nazwisk. Jeden z katolickich publicystów, który dosyć dobrze orientuje się w kościelnych układankach, opowiadał mi ostatnio, że nominacje do czterech metropolii będą próbą pogodzenia różnych stronnictw obecnych w episkopacie.

Polski episkopat dzieli się zasadniczo na dwa obozy. Według Tomasza Terlikowskiego, z którym niedawno na tych łamach rozmawiałem o abp. Marku Jędraszewskim, po jednej stronie są konserwatywni hierarchowie, a po drugiej – konserwatyści otwarci na nowe formy duszpasterskie takie jak ruchy charyzmatyczne (słynne msze na stadionach i koncerty), działalność ekumeniczna czy małe grupy modlitewne.

Inaczej ten podział widzi Karol Kleczka, publicysta „Miesięcznika Znak”. – Po jednej stronie widziałbym konserwatywnych biskupów, którzy postrzegają Kościół jako monolit, posiadający społeczną władzę.

Po drugiej stronie są konserwatywni hierarchowie, którzy inaczej interpretują społeczną rolę Kościoła. Uważają, że Kościół nie jest już głównym aktorem i reżyserem debaty publicznej, biskupi nie nadają już tonu sprawom społecznym, politycznym i ekonomicznym.

Trudno się z nimi nie zgodzić: Kościół funkcjonuje jako jeden z wielu aktorów na scenie społecznej, który musi bardziej się postarać o widoczność w publicznym krajobrazie – mówi Kleczka.

To, o czym opowiada publicysta „Znaku”, można opowiedzieć nieco inaczej: 40 lat temu słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II były traktowane niezwykle poważnie przez władzę komunistyczną, liderów opozycji demokratycznej i zwykłych ludzi.

Diecezje

Kto przejmie władzę?

DUŻE MIASTA, W KTÓRYCH POJAWIĄ SIĘ
W TYM ROKU NOWI BISKUPI:



kard. Kazimierz Nycz
Warszawa



kard. Marek Jędraszewski
Kraków



abp Stanisław Gądecki
Poznań



bp Zbigniew Zieliński
Szczecin

LIDERZY KOŚCIOŁA OTWARTEGO:

 kard. Grzegorz Ryś	 bp Artur Ważny	 kard. Konrad Krajewski
 prymas Wojciech Polak	 bp Damian Muskus	 abo Adrian Galbas

LIDERZY KOŚCIOŁA
BARDZIEJ KONSERWATYWNEGO:

 bp Sławomir Oder	 abp Tadeusz Wojda	 bp Krzysztof Włodarczyk
 abp Mieczysław Mokrzycki	FOT. MARCIN STĘPIEŃ, MACIEK JAŻWIECKI, MICHAŁ ŁEPECKI, MARTYNA NIECKO, ADAM STEPIEN (3), ROMAN BOSIACKI, GRZEGORZ CELEJEWSKI, MATEUSZ SKWARCZEK, PAWEŁ MAŁECKI, SŁAWO- MIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL; PAWEŁ TOPOLSKI\PAP, WALDEMAR DESKA\PAP	

20 lat temu Kościół mógł utrudnić wejście Pol-
ski do Unii Europejskiej, ale tego nie zrobił na wy-
raźne życzenie papieża Polaka. Dzisiaj – biskupi
mogą wyrazić swoje zdanie, z którym liczą się tyl-
ko najwierniejsi członkowie katolickiej wspólno-
ty religijnej.

Tę zmianę zauważyli również politycy: Donald
Tusk wysłał do Ministerstwa Edukacji Narodowej
Barbarę Nowacką, żeby zrobiła porządek z naucza-
niem religii w szkołach, a następnie dał sygnał do
rozwiązania Funduszu Kościelnego. Jednocześnie
na konferencji prasowej poświęconej rozliczeniom
poprzedniego rządu wspomniął – kolejny raz – o set-
kach milionach złotych przelanych na konta funda-
cji o. Rydzyka.

– Grupa biskupów, do których dotarło, że Ko-
ściół nie jest dominującym graczem, jest coraz sil-
niejsza. Co nie jest niczym trudnym, ponieważ
ta pierwsza grupa mówiła non stop o obłożonej
twierdzy i nie prowadziła jakiegokolwiek dialo-
gu społecznego.

Dlatego biskupi podobni do Marka Jędraszew-
skiego nie potrafili sobie poradzić z krytyką wyraża-
ną przez uczestniczki Czarnych Protestów, nie wie-
dzieli też, w jaki sposób współpracować z ofiarami
przemocy seksualnej – opowiada Karol Kleczka.

W tym czasie Rzym promował zupełnie różną od
polskiej drogę katolicyzmu. Papież Franciszek mówi
sporo o wychodzeniu na peryferie Kościoła, w cen-
trum stawia ofiary księży pedofilów i dopuszcza bło-
gosławieństwo par jednopłciowych.

Sensacje i ucho Franciszka

Czy pojawienie się nowego pokolenia biskupów, któ-
rzy idą za głosem Franciszka, oznacza kolejną, wiel-
ką odnowę polskiego katolicyzmu? Zanim odpowie-
my na to pytanie, pora zaprezentować postępowych
– jak na polskie warunki – hierarchów.

Na czele tej grupy stoi kard. Grzegorz Ryś, który
jak ognia unika wątków politycznych, jest związany
ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, które
nie cieszy się szacunkiem wśród konserwatywnych
katolików, organizuje wielkie msze na stadionach
i angażuje się w dialog ekumeniczny.

W polskim episkopacie największą grupę
stanowią biskupi, dla których najświętsza
zasad brzmi: nie wychylaj się

I co ważne: jest obecnie jednym z dwóch najważ-
niejszych polskich duchownych pracujących dla
Watykanu. Kard. Ryś współpracuje z kongregacją
ds. Biskupów, więc tak naprawdę odpowiada realnie
za to, kto awansuje w Kościele.

Drugim najważniejszym kardynałem z Polski
w strukturach watykańskich jest kard. Konrad Kra-
jewski, który ma regularny dostęp do ucha Francisz-
ka, ponieważ jest jego jałmużnikiem. Od samego po-
czątku pontyfikatu obecnego papieża Krajewski an-
gażuje się w pomoc osobom w kryzysie bezdomno-
ści, uchodźcom, samotnym kobietom.

Papież wysłał go do miejsc ogarniętych konflik-
tami. Mówi się, że kard. Krajewski – który za czasów
Jana Pawła II był ceremoniarzem, czyli osobą odpow-
iedzialną za prawidłowy przebieg mszy – chce pod
koniec kościelnej kariery popracować w Polsce.

Abp Adrian Galbas i bp Artur Ważny, czyli sen-
sacja polskiego Kościoła. – Są twarzami nowego po-
dejsia do duszpasterstwa – twierdzi Filip Flisowski
z Kongresu Katoliczek i Katolików. – Bp Ważny po-
jechał na Poland’Rock Festival, a abp. Galbasa spo-
tkałem ostatnio w pociągu do Warszawy. Jechał bez
sutanny i dworu.

Jeden i drugi mają wspólne cechy: są bezpośred-
ni, łatwo nawiązują relacje z ludźmi, pojawiają się
wśród wiernych bez zapowiedzi, prezentują inny
sposób prowadzenia diecezji, otaczają się ciekawymi
współpracownikami. Abp Galbas chociażby za-
brał nowych księży na wycieczkę w góry, organizuje
dla proboszczów warsztaty z zarządzania parafiami,
w których mogą wziąć również udział wierni – opo-
wiada Flisowski.

Nie wychylać się

Jeśli któryś z tych hierarchów przeprowadziłby się
do Warszawy, Krakowa czy Poznania, wówczas pol-

ski Kościół miałby szansę choć trochę zmienić wize-
runek. Jednak z całościową zmianą chyba trzeba bę-
dzie jeszcze poczekać.

– Wyraźnym sygnałem był wybór abp Tadeusza
Wojdy na stanowisko przewodniczącego KEP, który
reprezentuje daleko idącą zachowawczość polskiego
Kościoła. O abp. Wojdzie nie można powiedzieć, że
jest charyzmatyczny, nie jest twarzą Kościoła otwar-
tego, opinia publiczna kojarzyła go przed wyborem
na szefa episkopatu z karygodną reakcją na Marsz
Równości w Białymstoku – mówi Karol Kleczka.

I dodaje, że w polskim episkopacie największą gru-
pę stanowią ci biskupi zachowawczy, dla których naj-
świętsza zasad brzmi: nie wychylaj się. – Hierarcho-
wie opowiadają się za ewolucją, choć w obecnym kry-
zysie potrzebowalibyśmy jednak rewolucji, czyli od-
separowania Kościoła od polityki, transparentności
w wyjaśnianiu skandali seksualnych – mówi Kleczka.

Publicysta „Znaku” widzi jednak nadzieję. – Obec-
ne kierownictwo Episkopatu jest nijakie, dlatego
ważniejsze jest to, co dzieje się na poziomie diece-
zji. Paradoksalnie w obecnym kryzysie polski Ko-
ściół został zdecentralizowany, dla większości wier-
nych nie ma większego znaczenia, co myślą o świe-
cie członkowie episkopatu.

Dobrze mieć dobrego biskupa diecezjalnego, któ-
ry zna swój lokalny Kościół, przyjaźni się z wiernymi
i księżmi, ma im coś ciekawego do zaproponowania
i słucha to, co się do niego mówi. Taki Kościół jest
bardziej autentyczny – mówi Kleczka.

A może wierni nie powinni interesować się bi-
skupami, tylko skupić się na pracy na samym dole
kościelnej drabiny społecznej?

– Zauważam podobny trend w liberalnych śro-
dowiskach katolickich: „po co nam biskupi, którzy
nie traktują nas poważnie? Sami sobie poradzimy”,
twierdzą zaangażowani katolicy. To błąd. Trzeba
wszędzie, gdzie się da, zapraszać hierarchów, pre-
zentować im nasz punkt widzenia, a następnie zmie-
niać polski Kościół od środka. Innej drogi nie ma
– twierdzi Flisowski.

Kto zapełni świątynię

Jak widać, wszystko to, co dotyczy nowego otwarcia

polskiego Kościoła, nijak ma się do wyobrażeń libe-
ralnych komentatorów, którzy chcieliby obserwować
zwykłą debatę między hierarchami.

W tej – nieprawdziwej i wyobrażonej rzeczywi-
stości – jeden biskup publicznie nie zgadza się ze
swoim kolegą, do nich dołącza jeden z kardynałów,
a następnie cała trójka zostaje przywołana do po-
rządku przez wpływową zakonnicę.

Jednocześnie nad Polską króluje Kościół otwarty,
który domaga się od Watykanu wyświęcania kobiet
na księży, zniesienia celibatu, wpływu na obsadę
ważnych, kościelnych stanowisk i zrównanie mał-
żeństw ze związkami jednopłciowymi.

Koniec końców nie przeceniałbym wpływu bi-
skupów na liczbę osób identyfikujących się z Ko-
ściołem. Owszem: charyzmatyczni liderzy w cza-
sach PRL-u dwukrotnie odnowili katolicyzm. Naj-
pierw na kościół ludowy postawił Wyszyński, a po-
tem procesy opozycyjne wobec komunistów wsparł
Jan Paweł II.

Jednak o wierze jednostki nie decyduje biskup,
tylko własne, indywidualne doświadczenie. Można
założyć, że ukrywanie skandali pedofilskich przez
biskupów miało znaczący wpływ na masowy exodus
z Kościoła.

To tylko część prawdy. Świątynie opustoszały
jednak również z innego powodu: oferta składana
przez duchownych przegrała z innymi propozycja-
mi dostępnymi na rynku idei.

40 lat temu ludzie mieli do wyboru Kościoł i pro-
pagandę PRL-u. 20 lat temu – władza, media i Kościół
wspólnie budowały kraj. Współcześnie – kiedy Polska
stała się częścią świata zachodniego, a dostęp do kul-
tury masowej jest śmiesznie prosty – ludzie mają nie-
spotykany wcześniej wybór pomiędzy religiami, me-
diami, politykami, systemami wartości, miejscem za-
mieszkania, stylem życia. ●



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Chrześcijaństwo po prostu odleciało, niczym podczas wniebowstąpienia Marii, tyle że w kosmos.

Z **KS. MONIKĄ ZUBER**, PASTORKĄ W KOŚCIELE EWANGELICKO-METODYSTYCZNYM ROZMAWIA **AGA KOZAK**

AGA KOZAK: Gdy pytają, jak się do ciebie zwracać – pastorko, księdzo – żartujesz, że najlepiej „księżniczko”.

KS. MONIKA ZUBER: – Edukuję, żeby do mnie mówić normalnie. Myślę, że podkreślanie tytułu „ksiądz” buduje się hierarchię i dystans. I wiem, że w naszym kraju dla wielu ludzi może być problemem mówienie do mnie po imieniu, bo sama miałam kłopot z tym, żeby do profesorów mówić po imieniu. Ale wiesz... na tytuł naukowy się pracuje ciężko, latami, a na bycie księdzem... to nie.

Akurat ty zapracowałaś. Latami.

– Ale chętnie zrezygnuję z tego przywileju. I w Ewangelii, i zasadniczo w protestantyzmie – gdzie nie ma wielkiej różnicy między tym, czy jest się duchownym czy wiernym – i w feminizmie rezygnuje się z przywileju społecznego po to, żeby być bliżej tych, którzy tych przywilejów nie mają. By móc być ich głosem. Ja jestem na bakier z hierarchią – i społeczną, i płciową, i każdą inną – dlatego dla mnie bycie księdzem nie jest po to, żeby budować własne ego. Rolę księdza rozumiem jako tej czy tego, który jest pośród, a nie nad – to wynika z postawy Chrystusa w Ewangelii. I skoro Chrystus tak robił, to po prostu głupio by mi było inaczej postępować!

Ale jest jedna sytuacja, gdzie używasz owego „księdza”...

WIERZĘ W CIAŁO

– Tak: wśród innych księży, bo jest mimo wszystko taka tendencja, żeby tę kobietę księdza jednak... no... nie uszanować.

Ksiądz Wiktor Matloch, przedstawicielka Kościoła luterńskiego w Polsce, w styczniu zeszłego roku nie została przez księży prawosławnych dopuszczona do modlitwy przedstawicieli dziewięciu Kościołów obecnych w Polsce w Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu pod pomnikiem Bohaterów Getta.

– No więc w kontekstach zawodowych, ekumenicznych – używam, bo inaczej jeszcze by mnie ktoś poprosił, żebym posprzątała kubeczki po kawie.

Skoro już zahaczamy o różnice religijne, to czy wy, ewangelicy, obchodzicie 15 sierpnia?

– Tak. Dla nas to jest Święto Wojska Polskiego.

Ale przecież to Święto Matki Boskiej...

– Nie tylko Matka Jezusa dla nas nie jest świętą w takim cudownym znaczeniu. U nas ogólnie nie ma świętych, nie mamy więc świąt związanych ze świętymi. Zamiast świętych mamy bohaterów wiary, autorytety czy przykłady. Wynika to bezpośrednio z przekonania, że nie potrzebujemy pośredników i mamy bezpośredni dostęp do Boga.

Dla niektórych to odważne, dla innych obrazoburcze, a dla nas zbawienne. Wierzymy, że nawet najbardziej grzeszny człowiek może się bezpośrednio zwrócić do Boga i zostanie wysłuchany. Nie musi nas nikt reprezentować.

Ale czy to znaczy, że nawet imienin nie obchodzicie?

– Hm, trudno mi powiedzieć, bo część osób obchodzi pewnie imieniny, ale ja pochodzę z Podlasia, z protestanckiej rodziny i u nas prawie nikt imienin nie obchodził, więc nie próbowałam nawet tego zwyczaju wprowadzać do mojego domu.

Nie mam też za bardzo znajomych, którzy obchodzą, ale tak, masz rację – imieniny łączą się z patronami. Tyle że u nas nawet kościoły nie są „czyjeś”. Mamy je raczej pod wezwaniem Miłości Bożej, Łaski Bożej czy Miłosierdzia Bożego...

Abstrakty, nie ludzie. Trudniej się utożsamić.

– Ale ze świętymi też nie jest łatwo się utożsamić! Pismo Święte przecież nie jest o osobach bez skazy, za których mamy świętych! Jest za to pełne grzeszników i opisów ich czynów! To ludzie, którzy popełniają błędy – często robiący naprawdę straszne rzeczy – którzy mają często dramatyczne, wręcz filmowe zwroty w życiu. Masakra!

W Piśmie Świętym jest pełno ludzi, którzy święci na pewno nie są. I mówię tutaj o naprawdę wielkich postaciach, takich jak na przykład król Dawid – przecież on zabił dowódcę swoich wojsk po to, żeby ukryć romans z jego żoną! To, co ci ludzie opisani na kartach Pisma przeżywali, jest jednoznaczne, nikt tam nie jest taki, wiesz...

...święty?

– ...czysty, wybielony. Pismo Święte niczego nie zmiata pod dywan, nie ukrywa: tam te opowieści aż krzyczą. I myślę, że jeśli się jest wychowywanym na tych historiach, to nie ma potrzeby, żeby uciekać od człowieczeństwa w znaczeniu krwi, kości, potu, brudu, miesiączki, ciała, seksualności. Pod tym względem ci cudowni patroni nie stykają w naszej duchowości.

Pismo jest za to pełne opisów osób, które muszą sobie radzić z naprawdę okropnymi rzeczami, a mimo wszystko nie tracą wiary albo wiara dla nich jest ostatnią deską ratunku, żeby przetrwać czasy wojny i prześladowań.

I to są ci prawdziwi bohaterowie, niejednoznaczni – nawet tacy współcześni, jak Dietrich Bonhoeffer, który był księdzem ewangelickim, ale brał udział w zamachu na Hitlera. W zamachu, rozumiesz: chciał go zabić! Fascynujące, prawda? I komplet-

nie nie czarno-białe, za to bardzo mocne. Bonhoeffer jest męczennikiem ewangelicznym, bo został skazany za udział w tym spisku na śmierć.

To są takie historie, które nie są takie właśnie jak ta katolicka Maria: słodkie i niebiesko-białe.

To jak wy traktujecie Matkę Boską?

– Normalnie! Dla nas ona jest kobietą, ciekawą. Nie wiem, gdzie ludzie wyczytali, że była posłuszna, a biorąc pod uwagę to, jak mało o niej jest w Nowym Testamencie, w Ewangeliach, to tylko dowód, jak dużo można wykorzystać dla własnych interesów.

Bo dla mnie jako feministki, z tego, co wyczytałam w Piśmie, Maria jest mocną kobietą, która współpracuje z Bogiem.

A poczęcie u was jest niepokalone?

– Nie tłumaczymy tego. Jest jakaś informacja, że to się stało za sprawą Boga, ale nie wnিকamy: nie robimy z tego in vitro – z którym jako Kościół nie mamy problemu – nie ma wiele informacji, nie jest to takie istotne dla nas, więc kto chce w to wierzyć, niech wierzy. Po co to roztrząsać?

Ale na pewno dla nas Maria to bardzo młoda osoba, która została zaproszona przez Boga za pośrednictwem anioła do współpracy – bardzo ważne to jest, że nie ma na niej gwałtu, w Piśmie jest propozycja, zaproszenie od Boga, a nie przymus „musisz być posłuszna”. Piękne.

Czyli świadoma zgoda.

– Maria wie, że wiąże się z tym duże ryzyko – ryzyko tego, w jaki sposób zostanie jej ciąży społecznie odebrana. I, co ważne, ona ma wątpliwości i zadaje pytania, i te pytania są wzięte pod uwagę! Jest młoda i jeszcze nie mieszka z mężem, nie rozpoczęła życia seksualnego, ale wierzy słowom anioła. Zgadza się na współpracę.

Maria w Ewangelii nie jest taka niewinna, delikatna i potulna, jak się ją przedstawia. Są też takie historie jak ta, że jak Jezus zaczyna swoją misję – już jako dorosły mężczyzna, bo ma gdzieś około 30 lat – i przemawia w synagodze, to jego matka z rodziną przychodzi go upomnieć, chce go dyscyplinować.

Jezus to jednak anarchista, rewolucjonista, antysystemowiec. Nie ma nic dziwnego w tym, że jego mama się trochę denerwuje. Choć upominać trzydziestolatka?

– To jest fascynujące, bo Jezus odpowiada zgromadzonym ludziom, kto jest jego matką i jego rodziną – że są nimi ci, którzy go słuchają, którzy idą za nim, którzy słuchają Boga, którzy Jezusa rozumieją, którzy są jego pobratymcami, pobratymcami serca. Podobne trochę do rewolucji francuskiej, prawda? Takie fraternite.

To musiało być strasznie kontrowersyjne w tamtych czasach, gdy rodzina definiowała człowieka. Taka postawa sama w sobie było rewolucją w świecie plemiennym, gdzie trzeba było być wiernym rodzinie.

Może dlatego my jakoś się umiemy z tą opowieścią utożsamiać, bo jako Polacy jesteśmy społeczeństwem, w którym cały czas rodzina próbuje za nas często decydować o naszej religii, poglądach politycznych, wyborach małżeńskich...

– Prawda? Podobnie jest zresztą w słynnej Kanie Galilejskiej, gdzie to Maria prosi syna o przemianę wody w wino, bo wina zabrakło. Dochodzi do takiego zgrzytu między Jezusem a Marią – on jej odpowiada trochę tak niegrzecznie! Nie „nie matko”, tylko: „Czego chcesz ode mnie, kobieto? Nie nadeszła moja godzina”.

Trochę pokazuje, że to nie ona ma tutaj być osobą, która o takich sprawach decyduje, ale jednak spełnia jej prośbę. Nie wiem, jak się układała ta relacja, bo naprawdę Ewangelia bardzo mało na ten temat mówi, ale widzimy matkę pod krzyżem, kiedy Jezus umiera – ona dopiero po jego śmierci w Kościele zaczęła pełnić ważną funkcję.

Ale przy tym, w jaki sposób Jezus funkcjonował, to ona nie miała wiele mocy w ta-

kim sensie wstawiennictw, czyli „ej, a to mama Jezusa, idźmy coś załatwić!”, czyli w tym rozumieniu, które mamy w teologii rzymskokatolickiej – pośredniczki.

Ta funkcja Matki Boskiej jest zbudowana na innych wartościach, już później w chrześcijaństwie. Wracając więc do twojego pytania: Maria u nas istnieje, mówi się o niej, mówi się o niej kazania, ale ona jest realna. Teolożki feministyczne dużo pisały na temat Marii, o tym, jak ten obraz jest wybielony, wzniosły i zniekształcony – i jak przeskadza kobietom w...

...po prostym byciu zwykłą laską, w zwykłym życiu?

– Dokładnie tak! I pamiętam książkę „Geografia intymna” biolożki Natalie Angier: jeden rozdział poświęciła właśnie Marii, Matce Jezusa, i motywem przewodnim jest pytanie: czy ona była normalna? To takie pytanie, które uważa się w kontekście świętych za strasznie obraźliwe, ale Angier pyta: czy Maria karmiła piersią, czy chodziła do toalety, czy miesiaćkowala?

To się ciekawie łączy z tym, że w wielu religiach, kiedy kobieta miesiaćkuje, jest „nieczysta” i się ją izoluje. Chyba do dziś w niektórych odłamach prawosławia po urodzeniu dziecka i właśnie w trakcie miesiaćkowania kobieta nie wchodzi do cerkwi.

Tłumaczę rodzicom nastolatków, których ucze religii, żeby dawali im prawo do utraty wiary

Parę tygodni temu nieznanym sprawcą rozbił głowę figurze przedstawiającej Maryję w trakcie porodu. Rzeźba Esther Strauß była wystawiona w katedrze w Linzu. Maryja była naga od pasa w dół, miała odchyloną głowę i grymas bólu na twarzy. Nieliczne zdjęcia, które trafiły do mediów, nie ukazują rzeźby od przodu, żeby nie obrażać uczuć osób wierzących. A poród to przecież taki duchowy moment – rodzi się nowe życie.

– Ten dualizm między ciałem a duszą, wyparcie ciała i lęk przed tym, co nieznanne, dzieje się dlatego, że teologią zajmowali się głównie mężczyźni.

Bo mimo wszystko kobiety bardziej są oswojone z ciałem. A duchowość się wiąże z takimi ważnymi – też cieleśniami! – rzeczami w naszym życiu, poczynając od narodzin, na śmierci skończywszy.

Kobiety rodzą i zazwyczaj są blisko tych, którzy umierają. Czuwają, płaczą, myją ciała. Chrześcijaństwo jest – jakkolwiek byśmy na to patrzyli – bardzo kobiece, tylko musimy odzyskać to wszystko, co przez lata było spychane na dalszy plan. Kobiety też zawsze były odpowiedzialne za jedzenie – a komunie święta to jest „stół Pański” i kiedyś to nie był osobny element, ale składowa posilku: uczniowie Chrystusa spożywali komunie świętą w trakcie wspólnotowej uczty.

Wszystko było kiedyś żywiołowe, fizjologiczne, związane z etapami dojrzewania, przemijania, starzenia się, więc ten dualizm duszy i ciała naprawdę tu nie pasuje. Jest czymś, co narosło i w moim oglądzie szkodzi. Powrót do ciała pomaga nam przechodzić przez te wszystkie etapy naszego życia. Pomaga przeżywać. Przy czym mam wrażenie, że ciało dla nas, kobiet, jest ważniejsze – bo to my opowiadamy sobie o porodach, comiesięcznych krwawieniach, bólu. I jeżeli ktoś nam mówi, że to wszystko jest złe, że jest „nieduchowe”, to wierząc w to, cały czas żyjemy w negacji samych siebie, co ma szalony wpływ na to, jak siebie postrzegamy i jak rozumiemy naszą duchowość.

Nic dziwnego, że dzisiaj wiele kobiet wraca do religijności pierwotnej, w której ciało było dostrzegane, pozytywne, doceniane. To dlatego, że chrześcijaństwo po prostu odleciało, niczym podczas wniebowstąpienia Marii, tyle że w kosmos.

To szkodzi naszemu życiu tutaj, na ziemi, bo my zmagamy się z bólem, krwią, potem, brudem, ze wszystkim, co przynosi życie, i potrzebujemy, żeby to ciało było do wartościowane.

Mówisz o duchowości ciała, ale nie o świętości ciała.

– Dla nas Bóg jest wszędzie, więc dla nas wszystko jest święte – od ziemi i lasu poczynając. U nas Bóg nie mieszka w świątyni – mieszka wszędzie. Ja też nie jestem lepsza od innych tylko dlatego, że jestem księdzem.

To tak, jak pisał Luter – że powołanie do bycia księdzem to jak powołanie do bycia kowalem, tkaczką... kimkolwiek. Każdy z nas przychodzi na ziemię, żeby dać z siebie dobro: nie ma hierarchii powołań.

Ksiądz ma być tak samo zaangażowany, pomocny i tak samo ma służyć jak wszyscy. Zresztą sam Jezus miał taką odwróconą hierarchię: umył nogi uczniom i powiedział: „Tak jak ja, będąc nauczycielem, wam to zrobiłem, wy też tak żyjcie”. Kto chce być „pierwszym”, który jest na „górze”...

...czyli współcześnie „liderem”...

– ...ten ma służyć innym, a nie być tym, któremu inni służą. Rewolucyjne – nie tylko na tamte czasy, w których to było chyba kompletnie nierealne. A teraz? Może po latach naszego „marketingu” trochę się to zmienia? Hierarchia nigdy nie przynosiła korzyści społecznym – raczej służyła negatywnym zjawiskom, takim jak niewolnictwo, kolonializm, pańszczyzna. Powodowała ogromne traumy.

Ciągle się zastanawiam, jak ty masz swoją rolę zdefiniowaną. Czy jesteś – jak to często się mówi – „kobietą w posłudze”?

– Niby tak, ale o tyle jestem w uprzywilejowanej sytuacji, że mogę w dużym stopniu mieć wpływ na kształt mojego służenia innym. I to jest cudowne w byciu księdzem ewangelicznym, że u nas nie ma czegoś takiego, że biskup napomina czy coś każe. Jesteśmy w dobrych relacjach.

Nie czuję hierarchii kościelnej dyszącej mi w kark. A będąc w parafii, mogę robić różne prace społeczne i nikt mi nie zabrania. Mogę się rozwijać i – zgodnie z tym, jaką mam osobowość – służyć innym. A ja jestem społeczniczką, więc poświęcam czas temu, co jest drogą mojemu sercu. A to np. pomoc osobom, które zmagają się z przeemocą domową. Gdyby ktoś mi powiedział: „Nie, nie rób tego, bo to kontrowersyjne, feministyczne”, to czułabym się stłamszona.

Wiem, że ksiądz jest kojarzony z osobą, która prowadzi nabożeństwo. Dla mnie w mojej pracy ten aspekt jest najmniej ważny. Ważna jest przemiana społeczna, bycie z ludźmi, bycie kimś, do kogo się idzie, jeżeli się potrzebuje. I jeżeli ktoś ma taką potrzebę, to ja jestem dostępna.

Tak rozumiem swoją rolę. A podczas nabożeństwa jesteś gdzieś tam, na ambonie, wysoko – oczywiście, że to jest ważne dla ludzi, ale nie wiem, czy najważniejsze.

Ale przecież ty jesteś storytellerką, opowiadaczką historii, i to opowiadanie

w odpowiedni sposób – z kobiecą perspektywą – też jest bardzo ważne!

– Oczywiście, cała tradycja kościelna się opiera na storytellingu, co ma też swoją funkcję terapeutyczną. Historie ewangeliczne też pomagają w życiu, ale trzeba pamiętać, że nie powinniśmy czytać Pisma Świętego literalnie.

Te historie, których używał Jezus w swoim storytellingu, to piękne metafory, które cały czas mogą w nas pracować i których potrzebujemy – ale uwspółcześnionych, zaadaptowanych do naszego życia.

Tam też są kobiece historie, które bardzo lubię wyciągać. Spotkania Jezusa z kobietami, historie pierwszych uczennic Jezusa, odważnych kobiet w historiach Starego Testamentu, jak Debora czy Estera. To opowieści o zmaganiu się z kwestią wolności człowieka, z traumami, z różnymi problemami i rzeczywistości dotykające wielu aspektów naszego życia.

To, co jest w Piśmie, to nie moralizatorstwo! Ono nie jest podręcznikiem, jak sobie radzić z grzechem, ono opowiada, w jaki sposób zmagamy się z życiem. Opowieści Jezusa łamią wiele stereotypów, które do dziś funkcjonują w naszym społeczeństwie.

On za przykład dawał osoby, które w tamtych czasach były outsiderami , np. znienawidzonych wtedy Samarytan. Dawał za przykład wiary kobiety, uważane za gorsze, pochwalał wiarę prostytutki – jak teraz mówimy: seksworkerki – kobiety cierpiącej na upływ krwi (wtedy „nieczyste”) czy chorcy, którzy byli uważani za opętanych.

Są w Piśmie takie smaczki, których czasem nie czujemy, bo nasza kultura jest inna i nie mamy wystarczającej wiedzy historycznej. Dobrze je wyciągnąć i pokazać: „Patrzcie. Czy my dzisiaj nie jesteśmy tacy sami?”. Tak samo funkcjonujemy jako społeczeństwo: wykluczamy, oceniamy, znajdujemy kozły ofiarne... Religia może być formą terapii indywidualnej i społecznej, oczywiście taka religia dla ludzi. A swoją drogą: ja osoby, które do mnie trafiają z wyższym poziomem lęku, wysyłam na terapię.

Sama się też psychoterapeutycznie do kształcaś.

– Na teologii miałam co prawda wprowadzenie do psychiatrii, ale to były takie rzeczy podstawowe, więc dużo czytam, chodzę na kursy, nie jestem jednak dyplomowaną psychoterapeutką. Mnie zależy na tym, żeby dostrzec, jak religia może być narzędziem do tego, abyśmy nie wykluczali, nie byli plemienni, ale uczyli się wspólnotowości, w której potrafimy docenić różnorodność.

Zapytam cię o poziom lęku: jaki ty miałaś, kiedy się decydowałaś na to, że Polsce, konserwatywnym kraju, chcesz zostać kobietą księdzem? Nie bałaś się?

– No nie będę używać zasłoniętych dymnych w stylu „powołanie”, bo już wiesz, że nie mogę. Mnie interesowała zmiana społeczna. Czy miałam więcej odwagi niż inni? Tak. Czy się bałam? Strasznie. Bałam się kosztu emocjonalnego, hejtu. Bałam się tego, że mimo wszystko będę niezrozumiana. Przecież urodziłam się w Polsce.

I to na konserwatywnym Podlasiu.

– Tak, moja rodzina jest konserwatywna, ale może właśnie dlatego, że dobrze wiem, co to jest fundamentalizm religijny, że bardzo dobrze wiem, co to są wojny religijne, dyskryminacja kobiet – i bardzo jej mocno doświadczyłam – może właśnie dlatego mam tę odwagę. Przy czym pamiętajmy: odwaga to nie jest stan, w którym nie ma lęku.

To jest robienie rzeczy pomimo lęku.

– Ja nieraz ten lęk, stres, to napięcie przeżywałam całym ciałem, nieraz płakałam. Ja nie jestem brawurowa – wiedziałam, że będzie ciężko, ale i tak uważałam, że warto.

No właśnie: długo czekałaś, zanim mogłaś zostać księdzem, bo cię testowano. Jak się taka próba nazywa?

– Każdy kościół ma na to swoją nazwę, u nas jest „ksiądz na próbie” czy „pastor na

próbie”. I rzeczywiście przez to, że byłam w tym tyle lat...

Bo więcej niż pastorzy mężczyźni. Trzy zwyczajowe lata próby kontra ile twoich?
– Do pełnej ordynacji na prezbiterkę dzie-więć. Sporo. I rzeczywiście dwa razy wię-cej niż mężczyźni. Może to odwaga, może naiwność, ale ja myślałam, że jak tylko bę-dę ciężko pracować, to się uda. Myślałam, że właśnie ciężką pracą się przebijają sufity.

Ten kobiecy scenariusz, że jak będę ciężko pracować, to mnie przyjmą do boy’s club? Ja jakoś bym nie pomyślała, że mnie przyjmą do Kościoła katolickiego na tych zasadach...
– Jestem z rodziny pracoholików, ale się okazało, że nieważne, jak ciężko pracuję – nie przebijam sufitu. Jak jest się na próbie, to co roku na synodzie staje się przed ko-misją. Píše się prace zaliczeniowe z kilku przedmiotów – trochę jak prace semestral-ne na studiach – pracuje się w parafii, sta-je się przed komisją i później przed zgroma-dzeniem duchownych, którzy decydują, czy masz wstąpić na kolejny rok próby, czy mo-żesz już być osobą ordynowaną, czyli czy możesz być księdzem.

No i raz w moim przypadku zagłosowa-no, że nie mam prawa, mimo że wszyst-kie prace pisałam na dobre oceny, więc wie-działam, że to nie była kwestia kompetencji czy tego, jak pracuję, i że moja parafia ma się dobrze, tylko że to dotyczyło mojej płci.

Muszę to dodać: chyba też charakteru? Przecież jesteś wicherzycielką, języka za zębami nie utrzymasz! Czytałam, że jak jeden z pastorów spytał na którymś z egzaminów, kto zajmie się dziećmi, gdy ty będziesz w kościele, albo co jeśli nagle w niedzielę o 10 rano dziecko się rozcho-ruje, to zażartowałaś, że może w takim razie znajdziesz sobie żonę, która ugotuje obiad, zajmie się dziećmi i zrobi ciasto na spotkanie parafialne.
– Ja już na studiach teologicznych miałam na wszystko własny pomysł, koledzy mnie przezwali „nie, nie zgadzam się”. Więc ten charakter to też jest coś, za co dostaję razy, bo nawet jak już zostałam ordynowana, to prowadząc spotkania biblijne czy warszta-ty lub jakieś dyskusje, zwracam uwagę, że możemy mieć poglądy czy zachowania są ple-mienne, dyskryminujące, a nie ewangelicz-ne.

Po prostu lubię być współczesna, nie chcę holdować żadnym poglądom ze śre-dniowiecza. Lubie, kiedy ta duchowość jest tu i teraz. Nie lubię duchowości opartej na sloganach w stylu: „Nie martw się, Bóg cię kocha” lub „Wszystko będzie dobrze, trze-ba przebaczyć i zapomnieć”. Kiedy ktoś wła-snie przeżywa traumę, życiową katastrofę, to tak nie wolno.

Czyli?
– Mówię głośno na temat przemocy, któ-ra się dzieje w Kościele. Sprzeciwiam się formom przesadnej hierarchii, zamyka-niu oczu na problemy osób zależnych, słab-szych, ekonomicznego wyzysku, przemo-cy seksualnej wobec kobiet, lekcewaze-niu dzieci czy osób niepełnosprawnych. Zło trzeba nazywać złem. Koledzy księża nieko-niecznie mnie lubią.

A koleżanki pastorki?
– Z koleżankami jestem razem w organiza-cji Związek Dziewcząt i Kobiet Chrześcijań-skich. Robimy na przykład akcję „Czwartki na czarno”, zwracając uwagę na temat prze-mocy ze względu na płeć – nosimy wtedy nie tylko czerń, ale też specjalne badge... Nie ze wszystkimi pastorkami się do-brze znam, ale jest nas coraz więcej. W Ko-sciele ewangelicko-luterańskim, który ma największy wpływ społeczny, mają najwię-cej kobiet duchownych. Właśnie ordynowa-li hurtem dziewięć kobiet, które wcześniej były w tym kościele, tylko nie miały jeszcze praw do bycia księdzem.

U metodystów jestem niestety ciągle sa-ma, w Kościele reformowanym są dwie, nie-

dawno ordynowane duchowne. Chyba jest jeszcze jedna kobieta w Kościele zielono-świątkowców.

Mało.
– Ale i tak dużo więcej niż pięć lat temu, więc się cieszymy. Mimo to żadna z nich jesz-cze nie jest proboszczem...
Przepraszam, że się tak śmieję i jedno-cześnie wzruszam, ale dla mnie to jest wywrotowe zdanie: „Żadna z moich koleżanek nie jest proboszczem”. To znak czasów i tego, co wywalczył feminizm – prawdziwej równości.
– Feminizm jest o równości kobiet i męż-czyn, nie jest o tym – jak mówią mizogini-styczne środowiska – że kobiety są lepsze: na pewno jest o tym, że nie są gorsze. I femi-nizm to jest walka nie z mężczyznami, tylko o taką prawdziwą równość.

Dualizm między ciałem a duszą, wyparcie ciała i lęk przed tym, co nieznane, dzieje się dlatego, że teologią zajmowali się głównie mężczyźni

Nie dążymy do zamiany sił, czyli tego „kto teraz będzie rządził”. Nas interesuje, że-by płcie przestały ze sobą walczyć, żebyśmy potrafili doceniać siebie nawzajem. Chodzi o to, żeby czerpać z tej różnicy, z tej różno-rodności, uczyć się z niej, włączać.
Rozumiem też jednak to, co mówisz o wywrotowości, bo mocno przeżyłam to, kiedy przyszłam za granicą, w Szkocji i w Niemczech, do kościołów, w których ko-biety prowadziły nabożeństwo. To było nie-samowite doświadczenie, które dało mi mo-tywację, żeby zostać osobą duchowną.
Postanowiłam, że wracam do kraju i bę-dę budować inny Kościół, taki, w którym w prezbiterium, przy stole komunijnym jest kobieta. To ona głosi Ewangelię, ona wycią-ga historie, ona z perspektywy kobiety mó-wi do wiernych – to jest szalenie ważne, nie lekceważmy tego, to są nasze potrzeby, po-trzeby kobiet. Bo w kościołach nie ma jedy-nie mężczyzn. Są kobiety i one potrzebują usłyszeć tam swój głos.

To już wiemy, co daje Kościołowi to, że ksiądz jest kobietą, a co daje księdzu to, że ma dzieci?
– Gdybym nie miała własnych dzieci, nie by-labym w stanie pracować z dziećmi, bo nie byłam jakoś w rozumieniu dzieci uzdolnio-na. Dzięki moim zaczęłam bardziej przyglą-dać się dzieciom i nastolatkom i doceniać je.
Teraz widzę, jak my, dorośli, cały czas tym dzieciom umniejszamy, jak je lekcewa-żymy. A ich świat jest złożony, wrażliwy – to są niesamowite osoby, które mogą nas, do-rośleń, dużo nauczyć. Ich bunt też jest bar-dzo piękny i nam potrzebny, żebyśmy potra-fili zaakceptować też w sobie samych etapy buntu, załamań, ciężkich chwil, które prze-żywamy, nawet utraty wiary.
Tłumacząc często rodzicom nastolatków, których uczę religii, żeby dawali im prawo do tej utraty wiary, ponieważ jeśli wiarę od-zyskają, to jak będą osobami dorosłymi, nie będą się bały takich momentów.
A przecież każdy zdrowy psychicznie człowiek ma w swoim życiu naturalne eta-py załamań, ciężkich chwil, przechodze-nia przez czas, kiedy traci się wiarę, nadzie-ję – wszystko. Uczmy więc już ich, że mają do tego prawo.

Mam na lekcjach religii nastolatków, któ-rzy wierzą w Zeusa, w Ozyrysa – mówią to wprost i się tym jarają, że mogą być takie, jakie chcą. Rozpoczynając z nimi lekcję, mó-wię: „No to zaczynamy spotkanie międzyre-ligijne”. I zaczynamy gadać na temat poczu-cia własnej wartości, bo ono u nich pełza. To, że ich nie oceniam, powoduje, że rozma-wiamy o tym, z czym się zmagają, a zмага-ją się z hejtem, przemocą rówieśniczą, na-prawdę z mnóstwem problemów.

To po co księdzu miłość? Żona, mąż?
– O miłości napisano już tyle książek, pio-se-nek i poematów – co ja tutaj mogę dodać ja-ko ksiądz? Może to, że zupełnie inaczej mó-wi się o miłości, kiedy się jej doświadcza? Kiedy się jej daje przestrzeń? Inaczej się roz-mawia z osobami, które przechodzą przez rozwód, z osobami, które próbują ułożyć so-bie życie po rozwodzie, z tymi, które prze-

chodzą przez kryzysy małżeńskie, bo np. sa-memu się przez nie przeszło.

A wy w domu z mężem pastorem podob-no nie gadacie o religii! Ale się klóćcie...
– Jak ktoś przesadza i mówi o małżeństwie dwójki pastorów jako o czymś świętym i wyjątkowym, że się musimy „mistycznie rozumieć”, to zawsze odpowiadam, że bez przesady, mamy rozdzielną umysłową.
I tak, spieramy się, ale to chyba dobrze, bo też mamy różne specjalizacje – Dariusz filozofię, a ja socjologię religii, no i ten mój feminizm... Więc i się klóćmy, i sięgamy po swoje ekspertyzy. Wtedy jest jakiś ruch, można się czegoś od siebie uczyć i w różne obszary zaglądać.
Możemy też czasami zapytać siebie na-wzajem: „Ej, a coś tam z twojej dziedzi-ny mnie interesuje, opowiedz”. Dodatkowo możemy mieć ze sobą minisuperwizję. I gdy opadamy z sił, to się na sobie wesprzeć: to jest bardzo ważne w takich zawodach po-mocowych, do których nasz należy.

Mam wrażenie, że ludzi niepokoi dwójka pastorów w łóżku – przecież to pra-wie pornografia!
– Tak, i jeszcze niektórzy myślą, że my to ro-bimy z wersetami na ustach... Myślę, że za-nim wejdziemy w kwestię relacji seksual-nych osób duchownych, musimy najpierw w kulturze, w Kościele docenić seksualność. Seksualność wciąż w Polsce jest postrze-gana bardzo negatywnie. I tu wracamy zno-wu do bycia kobietą i docenienia wszystkie-go, co jest cielesne – również seksualności i wszystkiego, co z tym związane.
Mam wrażenie, że głównie kobiety w przestrzeni publicznej o seksie mówią i próbują coś zmienić społecznie, żeby sek-sualność była postrzegana jako coś pozy-tywnego. Bo ona jest częścią człowieka, ża-dną słabością czy grzechem. To jest dobre, to jest coś, z czego powinniśmy się cieszyć i przestać już wiązać to z jakąś demonicz-nością.

I jest duchowe?
– Oczywiście, jak najbardziej. A przynaj-mniej nieprzeszkadzające w rozwoju du-chowym albo niewikłające. Póki jest nam

dobrze, póki nikogo nie krzywdzimy, to seks może naprawdę być czymś pięknym, wspa-niałym, rozwijającym, cieszącym i powinni-smy głośno mówić o tym już dzieciom, że-by nie straszyć ich seksualnością, lecz doce-niać, że się rozwijają seksualnie, dostrzegać te etapy rozwoju psychoseksualnego.

A tak na co dzień jak wygląda życie pa-storki? Razem z partnerem macie nie-latwy zawód, pracujecie razem, macie trójkę dzieci, koty...
– Jesteśmy już 12 lat w Elku, w mieszkaniu służbowym, czyli na plebanii. Jedna ściana naszego domu jest połączona z kościołem i gdy pani fortepianistka ćwiczy rano w nie-dziele przed mszą, to słychać ją w sypialni.
Razem objeśliśmy dwie parafie – Dariusz w Elku, ja w Starych Juchach. Kiedy tu się wprowadziliśmy, budynki kościelne były su-perzniszczone, więc przez ostatnich 12 lat nasza praca polegała też na tym, że je re-montowaliśmy, pozyskiwaliśmy środki – od Unii Europejskiej po urzędy marszałkow-skie – żeby wszystko połączyć, odmalować.
W Starych Juchach – gdzie jest o wie-le mniej parafian – powstał ośrodek z pla-cem zabaw, z terenem zielonym. A tu, w El-ku, posadziliśmy ogród, po którym widać, ile już tu mieszkamy.

To w tym ogrodzie są te słynne kawki! Twój mąż mówi, że życie pastora często polega na kawkach. Wiem, że ty wycho-dziłaś fundusze na remonty niezliczonymi kawkami, ale w życiu waszej parafii ta kawka, przy której można pogadać, jest też bardzo ważna.
– Jest taki żart w Stanach Zjednoczonych, że jeżeli myślisz, że kawa to trzeci sakrament, to jesteś metodystą. No i kawa po nabożeń-stwach to jest coś, co buduje wspólnotę, więc my też tę kawę dla chętnych z Darkiem wprowadziliśmy i uznaliśmy za sukces, kie-dy ludzie już chcieli rozmawiać nie z nami, ale ze sobą nawzajem.
Rzeczywiście robimy kaw mnóstwo w ty-godniu – bo mnóstwo ich pijemy z osobami, które w ogóle nie wchodzi do kościoła, ale przychodzą po prostu, bo czegoś potrzebu-ją, bo są w jakimś kryzysie.
Nasza służba jest bezinteresowna: jak ktoś przychodzi, nie jest i nie chce być mo-im parafianinem ani parafianką, ale jest w kryzysie i potrzebuje pogadać, i nie ma z kim – to ja z nim czy z nią rozmawiam. Nie po to, żeby pozyskać osobę, żeby moja para-fia liczyła więcej osób, tylko dlatego, że ten człowiek tego potrzebuje.
Często w tych rozmowach chodzi o spra-wy okolorozwodowe albo przemoc w rodzi-nie. Tu spełnia się ta część mnie, która uwa-ża, że ksiądz to nie tylko ten, który prowa-dzi nabożeństwo, że ksiądz powinien być dla ludzi...

A nie mówię już, ile ja – bez kawy!
– w tym ogrodzie miałam rozmów duszpa-sterskich „przez płot”! Bo ludzie są nieufni: do kościoła nie przyjdą, bo być może ewan-gelicy to sekta. Ale za to, jak rwę chwasty w ogrodzie, to to jest inna sytuacja. Słyszę tylko takie „Proszę pani...” i potem rozmo-wa może trwać godzinami!
Nasza praca to – oprócz nabożeństw, spraw administracyjnych i remontów – głównie bycie z innymi. I praca z młodzie-żą – teraz mieliśmy kolonie dla nastolatków – głównie dzieciaki, których nie stać na wy-jazd. Mimo że byli z Mazur, niektóre z nich były pierwszy raz na kajakach. ●

*ks. Monika Zuber

● – ur. w 1979 r. w Białymstoku. Ukończyła teologię ewangelicką na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Od 2010 r. jest osobą duchowną (pastorką) w Kościele ewangelicko-metodystycznym. Obecnie służy w parafiach w Starych Juchach i Elku. Pasjonuje się teologią feministyczną i socjolo-gią religii. Mama trójki dzieci i dwóch kotów.

Chłopy

Do obraźliwego słowa „Murzyn” prawica dorzuca „babę” i „chłopa”. Co z „Polaczkiem”?



Michał Rusinek

Wydawaloby się, że sprawa jest już oczywista, i to od dawna. Skoro słowo „Murzyn” jest obraźliwe dla osób czarnoskórych, to nie należy się nim posługiwać. Owszem, jest tradycyjne, ale w większości języków tradycyjne nazwy osób czarnoskórych pochodzą z czasów niewolnictwa i są obecnie zastępowane neutralnymi określeniami. Owszem, jest zakorzenione w polskiej frazeologii, ale jest to prawie wyłącznie frazeologia obraźliwa. Owszem, określa kolor skóry, ale nie określa ani narodowości, ani pochodzenia geograficznego, jest więc nieprecyzyjne. Owszem, można się nim posługiwać, ale na prawach historycznego lub literackiego cytatu.

Tymczasem niedawno w tygodniku „Sieci” Jan Rokita opublikował artykuł pod tytułem „Anarchia w Anglii”. Pierwsze jego zdanie brzmi: „18-letni Murzyn Axel Rudakubana, który w ub. poniedziałek zamordował trójkę dzieci i ranił ośmioro, bez wątplenia trwale zapisał się w historii Anglii”. Dalej sprawca nazywany jest także „synem imigrantów z Rwandy”, choć Rokicie nie udało się ustalić, czy pochodził z plemienia Tutsi czy Hutu.

Gdyby pochodził z plemienia Hutu, to Rokicie pasowałby do obrazka: „Hutu przeprowadzili w Rwandzie największą po II wojnie światowej i najsprawniejszą akcję wymordowania 1 mln swoich sąsiadów”, a więc morderca dzieci należałby wówczas – jak należy – do plemienia morderców. I wszystko byłoby jasne. Rzeczywiście, brytyjskie media nie podają jego plemiennego pochodzenia, być może po to, żeby nie podgrzewać klanowych animozji, ale wiele wskazuje na to, że jest synem ludzi, którzy uciekli z Rwandy przed masakrą, a więc raczej pochodzi z plemienia mordowanych, a nie mordujących. Na nieszczęście Rokity.

Logika jego wywodu jest zwyczajnie rasistowska: zabił, bo (prawdopodobnie) należy do plemienia, które ma to we krwi. Czy to samo mówi Jan Rokita, kiedy dowiaduje się, że jakiś Niemiec dopuścił się morderstwa? Że II wojna światowa nauczyła nas, że Niemcy mają to we krwi? Choć może w przypadku Jana Rokity lepiej nie wspominać o Niemcach, zważywszy na jego niegdyśjsze samolotowe przygody. To zresztą i tak nic w porównaniu z innym zdaniem: „Zarówno policja, jak i władze w Londynie dokonywały słownej ekwilibristyki, byle tylko nie przyznać, że morderca jest Murzynem”.

O ile mi wiadomo, zarówno brytyjska policja, jak i brytyjskie władze posługują się językiem angielskim. W języku tym odpowiednika słowa „Murzyn” – czyli tradycyjnego, ale obarczonego niewolniczymi konotacjami i obraźliwego – już w zasadzie nie ma. To znaczy jest, ale posłużenie się nim przez brytyjskie władze czy policję naraziłoby obie instytucję na kompletną utratę wiarygodności. Z cytowanego powyżej zdania Rokity wynika, że rozruchy byłyby o wiele mniejsze, niż były, gdyby brytyjskie władze i brytyjska policja mówiły po pol-

sku. I nazwały Axela Rudakubana, jak na to zasłużył: „Murzynem” („Moo-zhin”).

Autorzy tygodnika „Sieci” znacznie częściej posługują się jednak neutralnym określeniem „czarnoskóry”: tak pisze się o kandydacie na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, o drużynie lekkoatletek, o wpływowym pisarzu i eseiście, o ważnej grupie wyborców w USA, o mężczyźnie zamordowanym przez policjanta w 2020 roku, o amerykańskim prokuratorze okręgowym, o biskupie w Kongu, a także o męczennikach z Ugandy, którzy wykazali się nieprzejdnaną postawą.

Owszem, zdarza się dziennikarzom tego periodyku używać określenia „czarnoskóry” ironicznie, ale nie znaczy to, że w tym samym tekście pojawia się wyraz „Murzyn”. To określenie pojawia się na łamach stosunkowo rzadko: albo wtedy, kiedy redakcja bierze w obronę literaturę polską (a konkretnie „Murzynka Bambo” i „W pustyni i w puszczy”) przed cenzorskimi zakusami lewaków, albo kiedy publikuje tekst Małgorzaty Wolczyk, która pisze, że komuna sprawiła, że „Polska jest sto lat za Murzynami”, lub Dominika Zdorta, który copywriterów i ghostwriterów pracujących dla Donalda Tuska nazywa swojsko „murzynami”. Ci autorzy dostarczają tu przykłady wspomnianej przeze mnie obraźliwej dla osób czarnoskórych frazeologii.

„Murzyn” jako określenie osoby czarnoskórej pojawia się naprawdę rzadko. Na przykład wtedy, kiedy jest określeniem mordercy trójki dzieci. Bo przecież w ten sposób ani Rokita, ani inny dziennikarz „Sieci” nie napisalby o ugandyjskich męczennikach. Redakcja zdaje sobie zatem sprawę z obraźliwego charakteru tego słowa. Ciekawe, jak zareagowano by, gdyby w jakiejś zagranicznej gazecie nazywano polskiego noblistę „Polakiem”, a polskiego złodzieja samochodów – „Polaczkiem”. Zasada jest bardzo podobna.

I nie dotyczy wyłącznie określenia przynależności rasowej. W tym samym tygodniku – a także w wielu prawicowych publikacjach – pojawia się ostatnio z dawna niewidziane słowo „chłop”. Nie w sensie chłop pańszczyźnianego, ale w sensie potocznego, obraźliwego określenia mężczyzny. Bywa, że występuje on w towarzystwie równie potocznej i równie obraźliwej „baby”, jak w wywiadzie udzielonym przez prof. Ryszarda Legutkę.

Komentując ceremonię otwarcia igrzysk w Paryżu, powiedział: „Pokazano ideologię LGBT, która ma agresywną dynamikę. Pod płaszczykiem różnorodności wchodzi wszędzie, a jest tak naprawdę agresywnym żywiołem. Weiska się do szkół i różnych instytucji, a teraz do sportu. Znamy wszystkie te historie związane z »niechłopami« i »niebabami« albo chłopami udającymi baby i odwrotnie.”. Małgorzata Wolczyk w tym samym portalu pisze: „Tyle płci się lewicy namnożyło, tak trudno jej rozróżnić babę od chłopą na igrzyskach w Paryżu”.

Po zdobyciu przez bokserkę Julię Szeremetę srebrnego medalu (czyli przegranej walce o złoto) Mateusz Morawiecki pytał na portalu X: „Czy to był pojedynek na równych zasadach? Niech każdy oceni sam...”, a prezydent Duda stwierdził, że „inne aspekty tej walki trudno komentować”. Cóż – mistrzowie dyplomacji. Komentatorzy jednak skomentowali: „baba przegrała z chłopem”. Zadziałała tu podobna zasada jak ze słowem „Murzyn” w tygodniku Karńskich: nie posługujemy się określeniem neutralnym, tylko świadomie wybieramy obraźliwe. Przy okazji, zapewne dla symetrii, dostało się Szeremecie, która została „babą”. Ze srebrnym medalem. Ciekawe, co by było, gdyby jednak wywalczyła złoty. Czy zasłużyłaby wtedy na miano „kobiety”? ●

Żaba to nie gad, profesorze

Skoro wg Hartmana Giertych jest jak ukraiński marynarz z Wyspy Węży, to może w stronę tych drugich wystrzelimy torpedę o nazwie „Sprawiedliwość”?



Marcin Matczak

W świecie bez poczucia sprawczości wszyscy chcą być na wojnie. Przynajmniej metaforycznie.

Wojenna retoryka pobudza do działania, choć zasłania oczy i zaciemnia umysł. Daje adrenalinowego kopa, nieraz tak mocnego, że można po nim stracić równowagę.

Czytam Jana Hartmana, który broni Romana Giertycha przed moim felietonowym, jak to określa, „głanowaniem”, i przypominają mi się zajęcia z komunistycznej nowomowy. Propaganda w PRL uwielbiała używać wojennych metafor w czasie pokoju.

„Bitwę o handel” prowadzili ludzie „zbrojni w oręż marksizmu”, a referentka Wydziału Kobiacego KW w czasie plenum pięknie mówiła „chciałam jeszcze głębiej podkreślić fakt, jak droga jest kobietom województwa kieleckiego walka o pokój”. Wyrażała przy tym „gorące przywiązanie do Chorażego światowego pokoju – tow. Stalina” (cytat za przystanekhistoria.pl).

Hartman wyraża gorące przywiązanie do tow. Romana, postrzegając go najwyraźniej jako chorażego praworządności, siewcę konstytucyjnej pożogi i operatora droga bojowego o nazwie „Boży Bicz”. Jest Hartman filozofem, a myśli – nomen omen – młotem, niezdolny do stwierdzenia tego, co każdy filozof umieć powinien, czyli do ustalenia ukrytych założeń swojego rozumowania. One jednak, jak zawsze, się nie chcący ujawniają.

W zakończeniu tej mowy obrończej człowieka, „który WALCZY w słusznej sprawie”, pisze Hartman: „Że niby »nie bijcie się!« to zawołanie zawsze na miejscu, a przyłączanie się do walki to naiwny i ryzykowny moralnie (stronniczość!) radykalizm. Może symetrysta powiedziałby to Ukraińcom i Rosjanom? Może Matczak zechciałby pouczyć oficerów ukraińskich, że nie mówi się »Idi na ch...!«”.

No tak... Czy Panu, Panie Profesorze, sierpniowe słońce nie za bardzo przygrzało? Skoro walka z PiS jest jak wojna Ukrainy z Rosją, to niech się Pan czym prędzej uzbroi, ruszy na Żoliborz i zaatakuj pewną willę. Przecież zestawienie w jednym tekście prawdziwej, ludzkiej tragedii z harcowaniem Giertycha obraża tych wszystkich, którzy tracą nogi, życie i bliskich, kiedy on co najwyżej traci obserwujących na Twitterze. Ale nawet gdyby to pominąć, czy nie widzi Pan, że postrzega świat w kategoriach wojny i że ta metafora zaciemnia Pana ogłąd? Można by to jeszcze zrozumieć u laika, ale u profesora filozofii?

George Lakoff i Mark Johnson w książce „Metafory w naszym życiu” piszą, że metafory nie są niewinne. Ich używanie zmienia to, jak myślimy i działamy, na co się godzimy, a czego nie akceptujemy. „Istotą metafory jest rozumienie i doświadczanie jednych rzeczy w kategoriach innych”. Hartman przez swe metafory chce doświadczając pokoju w kategoriach wojny, a polityki

w kategoriach destrukcji. Problem w tym, że „metafory, których używamy, decydują w dużej mierze o tym, jak żyjemy”.

Jak więc metafora wojny wpływa na nasze myślenie i działanie? Skoro polityka to wojna, staje się z normalnej aktywności walką na śmierć i życie. Albo my, albo oni. Tej frazy w dyskusji internetowej ze mną także używa Hartman, zapominając, że z jakiegoś powodu Jason Stanley wybrał ją na podtytuł swojej książki o współczesnym faszyzmie. Co „my albo oni” oznacza dla demokracji? Upadek, bo gdy postrzega się demokrację w takich kategoriach, nie ma większej tragedii niż przegrane wybory. Wtedy, zgodnie z logiką przegranej wojny, zwycięzca bierze wszystko, a przegrany wszystko traci, trafia w niewolę i płaci reparacje. Kto przy zdrowych zmysłach zorganizuje w takiej sytuacji uczciwe głosowanie?

Normalna demokracja to ustrój, w którym można przegrać. Demokracja postrzegana przez pryzmat wojny boi się przegranej w wyborach jak śmierci na froncie i robi wszystko, aby do niej nie doszło.

Jest jeszcze inny problem z postrzeganiem polityki jako wojny: kiedy ona się kończy? Bo normalna kończy się podpisaniem traktatu pokojowego albo kapitulacją. Polityka toczy się bez przerwy, a więc postrzegana w kategoriach wojny staje się wojną permanentną.

Jaki bowiem miałby być ten koniec? Delegalizacja konkurencyjnej partii? Wtedy założą nową. Zamknięcie w więzieniu jej członków? Wszystkich i na dożywocie się nie zamknie. A jak wyjdą, to już nie będą brali jeńców (kolejna wojenna metafora). Jak Erdogan, kiedy wyszedł po tym, gdy jego przeciwnicy wsadzili go do więzienia, i zrobił to, co zrobił.

W nowomowie komunistycznej pojawiło się kiedyś słowo, które doskonale oddaje to, co się dzieje w psychice Giertycha, Hartmana i wszystkich ich sojuszników, żeby nie powiedzieć – aliantów. UBOJOWIENIE. Kiedyś ubojowaniu podlegały „organizacje partyjne w zaostrej walce klasowej”, dzisiaj ubojowaniu ulegają umysły polityków, filozofów i zwykłych ludzi. Prowadzi to do myślenia karykaturą, jak w pewnej kampanii reklamowej, w której toczono „bitwę o ciało idealne”.

Pisze Hartman: „Roman Giertych wali w tych, co trzeba i którym się to należy. A ludzie, którym leży na sercu dobro Polski, nawet mając skrajnie odmienne poglądy, powinni mu w tej »naparzance«, czyli walce o Polskę, kibicować”.

Jak daleko się w tym wojennym myśleniu posuniemy? Czy skoro według Hartmana Roman Giertych jest jak ukraiński marynarz z Wyspy Węży, to może w stronę tych drugich wystrzelimy torpedę o nazwie „Sprawiedliwość”? Wezwiemy do praworządnościowej insurekcji, zaproponujemy masakrę w imię wolności i eksterminację na rzecz praw człowieka? Skonfiskujemy, zdelegalizujemy i zaorzemy.

Czemu nie? Metafora wojny pozwala na dużo – nawet na to, żeby po żalośnie słabej, twitterowej analizie prawnej zaproponować cenzurę w postaci odebrania Radiu Maryja koncesji. Stare, autorytarne przyzwyczajenia z Ligi Polskich Rodzin nie umierają łatwo, a jak wiadomo, w czasie wojny prawa milczą.

Kończy Hartman swój felieton jeszcze jedną metaforą – zwierzęcą, choć kierowaną do mnie: „O żabie, która łapkę podkładała, gdy konie kuli. Wartoć być jako ta gazdina, Panie Profesorze?”.

Nie wiem, ale żaba to płaz. A ja staram się nie używać błędnych metafor. ●

CZOŁEM WIELOETNICZNEJ POLSCIE

Polskie instytucje różnią się w obliczeniach, ilu migrantów pracuje nad Wisłą. Pewne jest jedno: w ciągu dekady staliśmy się krajem wieloetnicznym.

Kamil Fejfer

Ł tym, że nie mam szczęścia, jeśli chodzi o trwałość ekranów telefonów, wie doskonale Mychajło, pracownik i szef serwisu naprawy telefonów na warszawskim Muranowie. Z pobitą szybko byłem u niego już trzy razy. Za ostatnim umówiliśmy się, że następnym razem kupię sobie nowy telefon i będę przychodził z nim, kiedy znów mi wypadnie podczas przeglądania sociali w trakcie jazdy na rowerze. W serwisie Mychajły na ścianie wisi portret Steve'a Jobsa, na półkach z kolei stoją figurki z „Gwiezdných wojen” i niewielka postać Wołodymyra Zelenskigo z gołym tyłkiem. To rodzaj żartu i jednocześnie deklaracji przywiązania do ukraińskich korzeni.

Mychajło nie jest jedynym Ukraińcem, który pomagał mi, kiedy byłem w opałach, ze sprzętem elektronicznym. Pracownikami jednej z firm naprawiających laptopy mieszczącej się niedaleko byłego Kina Femina w Śródmieściu Warszawy również w dużej części są Ukraińcy. Kiedy się okazało, że dla mojego lenovo nie ma już nadziei, udałem się do serwisu przy Jana Pawła w celu odzyskania tego, co było na dysku. Obsługiwał mnie Ukrainiec. A zlecenie przyjmowała jego krajanka. Nie policzył nic za rozkręcenie komputera. Poprosił tylko o wystawienie dobrej opinii na Google'u. Tak zrobiłem.

Idąc do trzech dobrze ocenianych (i stosunkowo niedrogich!) punktów serwisu elektroniki trzy razy trafiłem na pracowników zza wschodniej granicy. Prawdopodobnie nie był to zwykły przypadek. Choć oczywiście brak jakichkolwiek zbiorczych danych na temat narodowości pracowników tego typu usług w stolicy, stawiam jednak dolary przeciwko orzechom, że jest to jedna z nisz zajmowanych przez Ukraińców.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w sumie w całej Warszawie pracujących obcokrajowców – nie tylko Ukraińców i Ukrainek – jest niemal 200 tys. A przynajmniej tyle odprowadza składki do ZUS. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, że część przyjezdnych pracuje bez umowy, to liczba ta jeszcze wzrośnie. O ile? Trudno powiedzieć – może o kilkanaście, może o kilkadziesiąt, a może nawet o 100 tys.

Milion, dwa czy trzy?

W ostatnich latach do Polski rocznie przybywają dziesiątki, czasem setki tysięcy ludzi z różnych stron świata w poszukiwaniu dostatniejszego życia. O tym, jak wygląda ten trend, możemy się dowiedzieć z opracowania Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. W 2015 r. ogółem zgłoszonych do ubezpieczenia rentowego i emerytalnego (a więc pracujących legalnie i odprowadzających składki) cudzoziemców było niecałe 200 tys. W 2023 r. było ich niemal o milion więcej – 1,13 mln. Główny Urząd Statystyczny z kolei podaje liczbę niecałego miliona pracujących migrantów w styczniu 2024 r. Skąd ta różnica? ZUS podaje informacje dla całego roku, GUS z kolei tylko dla stycznia, a więc dla miesiąca, kiedy wiele z sezonowych prac ustaje. A to właśnie w takich zajęciach jest nadreprezentacja migrantów.

Jarema Piekutowski, autor przygotowanego na zlecenie Warsaw Enterprise Institute raportu „Migracje: niewykorzystana (na razie) szansa Polski”, przytacza dane, z których wynika, że w naszym kraju może przebywać nawet do 3,5 mln imigrantów. Polski Instytut Ekonomiczny z kolei szacuje liczbę obcokrajowców na 2,5 mln.

Narodowy Bank Polski, który w 2023 r. zbadał status zawodowy gości z Ukrainy (to dla tej grupy narodowościowej mamy najdokładniejsze dane), zaznacza, że w przypadku migrantów przedwojennych odsetek pracujących wynosił 94 proc. Dla uchodźców (a raczej uchodźczyń), które trafiły do naszego kraju po lutym 2022 r., wynosił on 64 proc. W tym drugim przypadku aktywność zawodowa i tak była rekordowo wysoka na tle krajów OECD.

Jarema Piekutowski twierdzi, że poza wspomnianym mniej więcej milionem obcokrajowców pracujących legalnie jest około 800 tys. osób, które są zatrudnione w szarej strefie. Jeśli więc chodzi o górne oszacowania, to może się okazać, że w Polsce mamy około 2 mln pracujących przybyszów z innych państw. Legalnie wykonujący pracę migranci stanowią nieco ponad 6 proc. aktywnych zawodowo pracowników w naszym kraju. Jeśli jednak doliczymy osoby zatrudnione na czarno, to wartość ta podskakuje do 8-10 proc.

W ciągu zaledwie dziesięciu lat staliśmy się więc krajem wieloetnicznym. Najwięcej obcokrajowców jest oczywiście w największych miastach. Jednak i w tych mniejszych słychać obce języki, głównie ukraiński, rosyjski i białoruski. Nawiasem mówiąc – języki, a zwłaszcza akcenty, które dla naszych uszu brzmią coraz bardziej swojsko. Również dlatego, że w bardzo dużej części usług pracują osoby o innych narodowościach niż polska. Kiedy naprawiałem hamulec ręczny w samochodzie, usługę wykonywał mężczyzna o bardzo wyraźnym wschodnim akcencie, a kiedy zamówiłem czyszczenie kanapy na jednej z platform pośredniczących w zleceniu tego ty-

pu prac, najlepszym oferentem okazał się pan Oleh.

Przyzwyczajamy się do gruzińskich piekarni, do tego, że jedzenie do naszych domów przywożą osoby z Indii, a w taksówkach spotykamy osoby z dalszych regionów byłego Związku Radzieckiego. To oczywiście niejedyny stanowiska zajmowane przez migrantów. Pracują oni również choćby w sektorze IT, gdzie są chwalonymi ekspertami. Fakt jest jednak taki, że przyjezdni pracują głównie w niższych segmentach rynku pracy i za mniejsze pieniądze niż Polacy. Częściej również pracują poniżej kwalifikacji. I tego obrazu nie da się zgadnąć „roźnorodnościową” mową-trawą. O powodach tego stanu rzeczy jeszcze będę pisał.

Płaca, praca i wojna

A z czego wynika ta dość nagła migracyjna popularność naszego kraju? Są przynajmniej trzy powody tego stanu rzeczy. Po pierwsze, jesteśmy już zamożnym państwem. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego nasze pensje od 2004 r. wzrosły ponaddwukrotnie. I to już z poprawką na inflację. Oznacza to, że za średnie wynagrodzenie w 2024 r. możemy kupić ponad dwa razy więcej towarów i usług niż dwie dekady temu. To prawda, że migranci otrzymują zazwyczaj niższe wypłaty niż średnia krajowa, ale pensje osób mniej zarabiających wzrastają w tempie zbliżonym do przeciętnego wynagrodzenia. Również dlatego, że w naszym kraju dość dynamicznie rośnie płaca minimalna.

Po drugie, od lat polski rynek pracy cechuje się rekordowo niskim bezrobociem. W maju niższym bezrobociem w Unii Europejskiej mogli się poszczycić tylko Czechy. U nas według danych Eurostatu wynosiło ono 3 proc., u naszych południowych sąsiadów 2,7 proc. Bardzo wysoką pozycję zajmowaliśmy również w zestawieniach OECD. Oznacza to, że Polska, przynajmniej jeśli chodzi o ten parametr, jest jednym ze światowych liderów. Silny popyt na pracę z jednej strony, a z drugiej dość wysokie pensje (jeśli patrzymy na nie z perspektywy globalnej) powodują, że zasysamy coraz większą liczbę pracowników już nie tylko z naszego regionu, ale również z odległych części świata.

Trzeci powód popularności Polski jako kierunku migracji to oczywiście kwestia politycznej destabilizacji naszego wschodniego sąsiada. Do zwiększenia się ukraińskiej podaży pracy przyczyniła się pełnoskalowa wojna rozpoczęta w lutym 2022 r. Wtedy też mieliśmy do czynienia z pewnym przetasowaniem na rynku. Z jednej strony do naszego kraju napłynęły miliony uchodźczyń z dziećmi (część z nich później ruszyła na Zachód), z drugiej – tysiące ukraińskich mężczyzn wracało do swojego kraju walczyć. Ale migracja z Ukrainy zaczęła się na dobre już po pierwszych próbach destabilizacji naszego wschodniego sąsiada przez Rosję w 2014 r.



FOT. ANNA LEWANSKA / AGENCIA WYBORCZA.PL



Czy na pokładzie są Mońki?

Bliskość kulturowa i podobieństwo języków spowodowały, że zaczęły się rozrastać ukraińskie sieci migracyjne. Czym są? Proszę sobie przypomnieć, jak półtorej dekady temu wyglądała migracja waszych dzieci lub znajomych do Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Zazwyczaj osoby, które leciały tam pracować na zmywaku czy w magazynach, nie podróżowały w ciemno. Miały na miejscu znajomych, którzy byli gotowi użyczyć im mieszkania albo wkręcić do firmy, w której sami pracowali. Oni z kolei kilka miesięcy lub nawet lat wcześniej sami zostali wkręceni przez innych znajomych. Często w ten sposób z Polski były wysysane całe sąsiedztwa.

Przyzwyczajamy się do gruzińskich piekarni, do tego, że jedzenie do naszych domów przywożą osoby z Indii, a w taksówkach spotykamy ludzi z byłego Związku Radzieckiego

W latach 90. mówiło się tak o Mońkach, niewielkiej podlaskiej miejscowości, której bardzo duża część mieszkańców wyemigrowała do USA. Podobno w chicagowskim Jackowie jedna z ulic ma nawet nieformalną nazwę ziemi monieckiej. W sieci nawet krąży żart, według którego piloci lecący do USA pytali pasażerów: „Czy na pokładzie są Mońki? To lecimy!”. W ten właśnie sposób napływ migrantów zza wschodniej granicy wzmacnia napływ kolejnych migrantów. Kiedy na miejscu są już znajomi i znajomi znajomych, dlaczego by nie spróbować szczęścia?

Zwłaszcza że choćby w Warszawie powstają i stają się modne – również wśród miejscowych – lokale prowadzone przez mniejszości narodowościowe. Takim klubem jest choćby Karma Crew – lokal kojarzony z białoruską diasporą mieszczący się w świetle jednego z filarów mostu Poniatowskiego. To właśnie tam spotyka się śmietanka artystyczna zarówno zza wschodniej granicy, jak i miejscowi – kiedyś by się powiedziało: hipsterzy.

Wschodnie języki słyhać oczywiście nie tylko w wielkich miastach. W moim rodzinnym Elku na promenadzie nad jeziorem wcale nie jest trudno usłyszeć rozmowy toczoną po rosyjsku lub po ukraińsku. Temu średniej wielkości mazurskiemu miasteczku atmosfery wielokulturowości dodają amerykańscy żołnierze i żołnierki stacjonujący w pobliskim Bemowie Pińskim i przyjeżdżający do Elku na pizzę i piwo. W centrum miasta podczas trwającego kwadrans spaceru można więc natknąć się zarówno na osoby rozmawiające przez telefon z krewnymi z Lwowa, jak i na tych rozmawiających z rodziną w Dallas. Przy czym oczywiście sytuacja materialna obu grup jest drastycznie odmienna. A i Amerykanie nie stanowią zauważalnej w Polsce diaspory.

Między Ukrainą a Indiami

No dobrze, skąd więc w głównej mierze pochodzą migranci, którzy osiedlili się w naszym kraju? Nie będzie dla nikogo wielkim zaskoczeniem, że ogromna większość z nich to wielokrotnie wspomniani już Ukraińcy. Według cytowanych danych ZUS wśród 1,13 mln odprowadzających składki w 2023 r. było 760 tys. osób z obywatelstwem ukraińskim, prawie 130 tys. z obywatelstwem białoruskim, 26 tys. posiadało

gruziński paszport, 20 tys. indyjski, a niecałe 15 tys. było obywatelami Mołdawii. Do tego około 40 tys. imigrantów pracujących w Polsce pochodziło z krajów UE. Pozostali pracownicy pochodzili z państw spoza Wspólnoty.

Jak widać, obywatele Ukrainy stanowili około 70 proc. wszystkich zatrudnionych u nas legalnie obcokrajowców. Z uwagi na bliskość geograficzną i wspomniane szerokie szlaki migracyjne można założyć również, że znaczna większość spośród wspomnianych 800 tys. imigrantów pracujących w szarej strefie również pochodzi z naszej wschodniej granicy. Biorąc pod uwagę liczebność tej grupy narodowościowej, nie powinno dziwić, że bardzo duża część raportów skupia się właśnie na osobach z Ukrainy oraz ich wpływie na naszą gospodarkę.

A gdzie pracują migranci? Tutaj znów przychodzi nam z pomocą ZUS. Najwięcej cudzoziemców jest zatrudnionych kolejno w następujących branżach: usługi administracyjne, przetwórstwo przemysłowe, transport, budownictwo, handel, informacja i komunikacja, działalność naukowa, opieka zdrowotna i edukacja. Myśleli państwo, że najbardziej zdominowanym sektorem przez imigrantów jest budowlanka? Nie jest to wykluczone! Przypomnijmy, że ZUS ma informacje tylko na temat osób odprowadzających składki, ale mamy przecież kilkaset tysięcy cudzoziemców pracujących w szarej strefie. A sektor budowlany jest jedną z najbardziej wyszarzonych branż naszej gospodarki.

Migranci zarabiają mniej

A ile zarabiają migranci? Tej sprawie, koncentrując się na Ukraińcach, przyjrzał się Barometr Rynku Pracy przygotowywany przez firmę Personal Service. W kwietniu 2024 r. około 90 proc. migrantów z naszej wschodniej granicy zarabiałoby nie więcej niż 5 tys. zł miesięcznie na rękę. W tym samym czasie średnia krajowa dla całej gospodarki wynosiła niecałe 6 tys. zł na rękę. Przypomnijmy, że średnią lub powyżej zarabia 25-30 proc. Polaków. W przypadku ponad połowy badanych Ukraińców pensja oscylowała w okolicach płacy minimalnej, czyli 3,2 tys. zł na rękę. Jednocześnie wydaje się mało prawdopodobne, żeby pozostałe narodowości pracowników zatrudnionych w naszym kraju w jakiś drastyczny sposób zmieniały rozkład dochodów.

No dobrze, ale dlaczego migranci zarabiają tak mało? Nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. A z pewnością nie ogranicza się ona do prostego hasła: dyskryminacja. Choć i ona odgrywa pewną rolę, do czego wróć.

Po pierwsze, w przypadku migracji ekonomicznej mamy do czynienia z chęcią polepszenia jakości życia. Oznacza to, że osoby migrują najczęściej z regionów biedniejszych do zamożniejszych. Trudno o większy banal. Natomiast to, co za nim idzie, nie jest już tak banalne. Otóż kiedy przybywa się z biedniejszego kraju, to aspiracje płacowe, choć znacznie wyższe niż w miejscu poprzedniego pobytu, są niejako wciąż zakotwiczone w realiach z poprzedniego życia. Inaczej mówiąc – migranci ekonomiczni często zadowolają się niższymi stawkami niż miejscowi. Ekonomisci powiedzieliby, że mają niższe płace progowe – są w stanie iść do pracy za mniejsze stawki niż lokalsi.

Po drugie, ekonomiczni migranci mają bardzo niewielkie oszczędności lub nie mają ich wcale. A to oznacza, że nie mają luksusu, żeby wybrzydszczyć w trakcie poszukiwania pracy. Biorą więc to zajęcie, które po prostu jest dostępne. To zresztą odróżnia nie tylko migrantów od klasy średniej, ale również osoby biedniejsze z danego kraju od bogatszych. Ci ostatni, kiedy z jakiegoś powodu tracą zatrudnienie (lub kiedy sami rezygnują z pracy), mają poduszkę finansową, która pozwala im całe tygodnie lub nawet miesiące pozostawać bez zatrudnienia w oczekiwaniu na satysfakcjonującą zarówno ekonomicznie, jak i prestiżowo

ofertę. Ani osoby biedniejsze, ani tym bardziej migranci tego luksusu nie mają.

Po trzecie, migranci nierzadko mają problem z płynnością językową kraju, do którego przyjeżdżają. To z jednej strony obniża ich atrakcyjność w oczach części pracodawców, z drugiej natomiast wpływa na selekcję miejsc pracy przez nich samych. Często wybierają więc zajęcia niewymagające wysokich kompetencji; prace, których nie wybraliby w swoich państwach. Wszystko to składa się na niższą pewność siebie sporej części migrantów na rynku.

Podwójnie dyskryminowani

Kolejną kwestią są sieci znajomości. Znaczna część prac na rynku jest dystrybuowana nie w wyniku najlepszej oceny CV, tylko przez nieformalne układy – albo ktoś do jakiegoś zadania poleca nas, albo my polecamy kogoś. CV bywa w takich przypadkach tylko pewną rytualną formalnością. Nierzadko zresztą bywa się i bez niego. Ów kapitał społeczny, który daje premię miejscowemu, nie działa w przypadku przyjezdnych lub – mówiąc precyzyjniej – w wyniku między innymi opisanymi wyżej procesów

O tym, że Ukraińcy są dyskryminowani na rynku pracy, mówi badanie Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Aby sprawę przeanalizować, PIE użył popularnej metody fałszywych CV, gdzie kandydaci różnią się jedynie badaną cechą. W omawianym eksperymencie mieliśmy do czynienia z aplikacjami na dwa rodzaje stanowisk – niewymagające wysokich kwalifikacji oraz specjalistyczne. W obu przypadkach badacze rozsyłali (w pewnym odstępie czasu) dwie pary bardzo zbliżonych do siebie CV osób z tą samą płcią (kobiety), zbliżonym wiekiem, wykształceniem, doświadczeniem zawodowym i znajomością języków. To, co różnicowało oba dokumenty, było nazwisko: jedno wskazywało, że kandydatka jest z Polski, a drugie – że z Ukrainy.

Przesłanką dyskryminacji jest niższy współczynnik oddzwonień (call-back rate) na złożone dokumenty. I rzeczywiście w przypadku prac prostych do kandydatki o ukraińsko brzmiącym nazwisku oddzwanianiano o około 30 proc. rzadziej niż do Polki. Jeśli chodzi o stanowisko specjalistyczne, współczynnik również był niż-

W centrum Ełku podczas trwającego kwadrans spaceru można natknąć się zarówno na osoby rozmawiające przez telefon z krewnymi z Lwowa, jak i na tych rozmawiających z rodziną w Dallas

działa niejako przeciwko migrantom. Otóż również w przypadku przyjezdnych spora część pracy jest załatwiana przez polecenie. Jednak jako że znajomi i rodziny przybyszów pracują za niewielkie pieniądze w określonych branżach, ich kapitał znajomości w dużej części ogranicza się właśnie do tego typu firm.

Do tego dochodzi wyżej wspomniana dyskryminacja. I tu warto dokonać pewnego rozróżnienia. Ekonomisci i psychologowie społeczni zajmujący się rynkiem pracy mówią z jednej strony o dyskryminacji opartej na gustach (taste-based) i dyskryminacji statystycznej z drugiej.

Dyskryminacja oparta na gustach to taka, o której myśli wiele osób, które posługują się tym pojęciem. Chodzi w niej o często nieuzasadnioną niechęć do danej grupy; o przeświadczenie, że jej przedstawiciele są głupszy, bardziej leniwi, niepunktualni albo że kradną.

Dyskryminacja statystyczna z kolei oznacza postrzeganie konkretnego człowieka przez pryzmat dających się weryfikować statystycznie charakterystyk cechujących daną grupę. Na przykład w przypadku migrantów wojennych mamy do czynienia z większą deklarowaną chęcią możliwości szybkiego powrotu do domu. Pracodawcy więc, rozumiejąc tę statystyczną prawidłowość, mogą mniej chętnie zatrudniać osoby z Ukrainy, bo wiedzą, że – statystycznie – będą one mniej przywiązani do danej firmy pracowników.

Z punktu widzenia logiki jest to założenie jak najbardziej racjonalne. Problemem jest to, że statystyka działa na dużych grupach, natomiast nie odnosi się do pojedynczych przypadków, które mogą się wyłamywać z – jakby to powiedzieli statystycy – linii trendu. Na poziomie konkretnej osoby, więc nawet jeżeli podejrzenia co do obciążenia większym ryzykiem są uzasadnione, jest to dyskryminacja. Zresztą obie kategorie – zarówno dyskryminacja oparta na gustach, jak i dyskryminacja statystyczna – są tak naprawdę trudne do oddzielenia.

szy, jednak z uwagi na małą liczbę telefonów zwrotnych w ogóle – w przypadku fałszywego polskiego i ukraińskiego CV – przesłanki dyskryminacji są bardziej chwiejne.

To oczywiście nie jest specyficznie polski problem. Polski Instytut Ekonomiczny przywołuje badanie ze Szwecji, gdzie widoczne było to samo zjawisko – w przypadku rekrutacji do lokalsów oddzwanianono częściej niż do migrantów. Dostrzeżono jednak coś jeszcze – hierarchię dyskryminacji. Częściej na przykład oddzwanianono do Polaków niż do Irakijczyków. A do tych ostatnich częściej niż do Somalijczyków.

Wszystko to powoduje, że migranci pracują poniżej kwalifikacji. I to również nie jest specyficznie polski problem. Takie zjawisko występuje właściwie we wszystkich krajach europejskich. Dane Eurostatu wskazują na to, że choć w każdym kraju istnieje jakaś grupa miejscowej ludności, która jest nadkwalifikowana względem wykonywanych zawodów (czyli np. pracuje przy pracach prostych, dysponując dyplomem ukończenia studiów wyższych), to – poza Litwą – problem ten znacznie częściej dotyka imigrantów. Rekordzistami są tutaj Włochy. Około 20 proc. miejscowych jest nadkwalifikowanych, jednocześnie problem ten dotyka niemal 70 proc. pracujących przyjezdnych.

Zabierają pracę lokalsom?

A czy migranci zabierają pracę lokalsom? Cóż, jest to kwestia, o której ekonomisci dyskutują od dekad. Z jednej strony w ogromnej większości przypadków nie widzimy w całej gospodarce podwyższania się bezrobocia u miejscowych, które dałoby się przypisać przyjeźdnym. Z drugiej – to, czego nie widać w zagregowanych dużych danych, może być widoczne, kiedy powiększymy obraz.

Kierowca Ubera z Kazachstanu nie zabierze przecież pracy polskiemu architektowi, lekarzowi, urzędnikowi ani dziennikarzowi. Ale być może przez to, że ma

niższą płacę progową i jest gotowy pracować więcej, zabierze ją polskiemu kierowcy taksówki; będzie stanowił dla niego znacznie większą konkurencję niż polski kolega?

Według sondażu przeprowadzonego przez Polski Instytut Ekonomiczny niemal 50 proc. osób z wykształceniem wyższym uważa, że migranci nie stanowią konkurencji dla polskich pracowników. Jednak w przypadku osób z wykształceniem podstawowym lub gimnazjalnym konkurencji ze strony cudzoziemców nie obawia się „jedynie” 28 proc. badanych. Oczywiście można powiedzieć, że osoby gorzej wykształcone łatwiej poddają się prawicowej propagandzie (co zresztą jest prawdą). Z drugiej strony można również powiedzieć, że to właśnie oni znajdują się w tych miejscach rynku pracy, gdzie jest nadreprezentacja migrantów.

A co mówią badania? Według artykułu naukowego autorstwa Jana Gromadzkiego i Piotra Lewandowskiego napływ uchodźców z Ukrainy między lutym a kwietniem 2022 r., czyli w momencie największego nasilenia fali migracyjnej, nie miał ne-

gatywnego wpływu na zatrudnienie Polaków ani innych migrantów. Jest jednak tylko jedno ale – badanie obejmowało krótki okres. W długim natomiast mogłoby się okazać, że rzeczywiście taki wpływ istnieje. Innymi słowy, sprawie po prostu należy się przyglądać i ewentualnie wprowadzać polityki, które będą minimalizowały negatywne efekty migracji.

Migranci z nami zostaną

Została nam jeszcze jedna rzecz – czy migranci więcej Polskę kosztują, czy więcej do gospodarki wkładają? Według wspólnego raportu Deloitte i UNHCR w przypadku ukraińskich gospodarstw domowych 80 proc. dochodów pochodzi z pracy zarobkowej. Dodatkowo migranci z naszej wschodniej granicy wnieśli do PKB w 2023 r. od 0,7 do 1,1 proc. Długoterminowo wielkość ta ma wzrosnąć do 1,35 proc.

Z kolei z analizy Banku PKO BP wynika, że w latach 2013-18 dołożyli oni w sumie 13 proc. wzrostu do naszego PKB. „Wpływ wydatków uchodźców na stronę popytową PKB był najsłabszy w 2022, kiedy podbiły one wzrost gospodarczy o 1 punkt procentowy” – czytamy w opracowaniu. Za to w 2023 r. wraz z odpływem części uchodźców z naszego kraju mieliśmy do czynienia ze... stratą po stronie PKB.

Migranci na dobre stali się elementem nie tylko naszej codzienności i kultury, ale również gospodarki. Na razie jednak, mimo bardzo gładkiej integracji i wkładów do naszego PKB, Polska nie prowadzi świadomej polityki migracyjnej. Pozytywne efekty są raczej zasługą takich megatrendów jak kierunki imigracji oraz duży popyt na pracę (wynikający między innymi z polskiej struktury demograficznej), a także zaradności samych migrantów. Te silniki nie będą jednak pracować wiecznie. Żeby udało nam się uniknąć napięć kulturowych w przyszłości, już dzisiaj potrzebne są mądre polityki, które będą zarządzać kwestią migracji, która na razie została po prostu zostawiona sama sobie. ●

Trzeba mieć wielką ideę

Tusk już to rozumie: bez ambitnego celu, nie da się jednoczyć Polaków.

Z PROF. MIKOŁAJEM
CZEŚNIKIEMEM
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

AGNIESZKA KUBLIK: Cytat-zagadka, kto to powiedział: „Ta patowładza swoją patologię nieustannie pogłębia”. PROF. MIKOŁAJ CZEŚNIK (socjolog i politolog z Uniwersytetu SWPS): Stawiam, że to będzie Donald Tusk.

Nie, Jarosław Kaczyński o rządzie Tuska.
– Myślałem, że to za czasów PiS Donald Tusk tak mówił o rządzie Kaczyńskiego.

Dziś taką narrację uprawia PiS – wszystko, co Tuskowe jest „pato” – „patopropaganda”, „patowładza”, „patorząd”. To skuteczna narracja?
– Częściowo pewnie tak. To się zaczęło wcześniej, kiedy PiS, zamiast mówić o Koalicji 15 października, zaczął mówić Koalicja 13 grudnia. Efektem ubocznym będzie zapomnienie o tym, co się wydarzyło 13 grudnia 1981 r. I paradoksalnie dowartościowanie rządu Tuska, bo okazuje się tak ważny w historii Polski, jak wprowadzenie stanu wojennego. PiS nie zamierzał dowartościowywać rządu Tuska, raczej zdelegitymizować ...

... to się chyba nie udało?
– Przy tej polaryzacji, nie mogło się udać. Hiperbolizowanie, używanie wielkich porównań, które są nieprawdziwe, jest – w tych warunkach – przeciwnie skuteczne.
Nie da się w taki sposób zmienić ani notowań przeciwnika, ani swoich. Poparcie dla partii utrzymuje się na podobnym poziomie.
W 2023 r. wahadło się wychyliło w innym kierunku i tak trwa. Choć PiS ma nadal wysokie poparcie. Pozbawienie jego elektoratu mediów publicznych nie doprowadziło do załamania notowań.

Sondażowa średnia wygląda tak: KO – 32 proc., PiS – 29 proc., Konfederacja – 12 proc., Trzecia Droga – 10 i Lewica – niecałe 9.
– Nie doszło do gwałtownego przełamania na scenie politycznej. PiS nigdy nie miało z sobą większości obywateli i obecny rząd, mający nieco szerszą bazę społeczną, też nie ma. Ta narracja nie da PiS gwałtownego przyrostu w sondażach, może jedynie służyć scementowaniu poparcia lojalnych wyborców. Pozostali obywatele nie przekona, ponieważ jest niesłychanie przesadna.
Już nie Polskę w ruinie, a Polskę upadłą.
– Która torturuje opozycję, szykuje księży.

Wyborcy Zjednoczonej Prawicy przewędrowali z TVPiS do TVRepublika. Dzięki CBOS to wiemy, że jeszcze wiosną 2023 r. 70 proc. wyborców PiS czerpało wiedzę z TVP. Dziś tę stację jako jej źródło wskazuje 28 proc.

wyborców PiS, 24 proc. – Polsat, a 20 proc. – TV Republikę, która w zeszłym roku się nie liczyła – Tam odnajdują opowieść o świecie, która im pasuje. Ale generalnie dostrzegam w Polsce obniżenie temperatury sporu. Ludzie widzą, że świat się nie zawalił. Ani przez Kaczyńskiego, ani przez Tuska. Ośmiolatka PiS, jak i miesiące rządu Tuska oceniane są, szczególnie jeśli chodzi o portfele, dobrze.

Praworządność się jednak zawaliła.
– Tu mamy spaloną ziemię. Ale praworządność przed 2015 r. nie była przez przeciętnego obywatela uznawana za wartość. Dziś jest inaczej, i to – paradoksalnie – dzięki PiS-owi, który tę praworządność miał za nic.

Jaką strategię narracyjną ma Koalicja 15 października?
– To cały wachlarz. Komunikacyjnie PiS był sprawniejszy, prezentował się w retorycznych potyczkach jak jedna pięść. Dziś się rzuca się w oczy po prostu pluralizm, który jest wartością.

Tak pan nazywa koalicyjne klótnie, które blokują zmiany?
– To normalne w demokracji, że koalicjanci się spierają. To wręcz jej istota! Systemy demokratyczne są powolne, czasami ślamazarne – dzięki temu decyzje nie są podejmowane pochopnie. To słabszym społecznie i politycznie pozwala (nie zawsze skutecznie) upomnieć się o swoje. Ekspresowa sprawność działania to często domena autokratów czy dyktatorów...
Wciąż nie przyzwyczailiśmy się do tego, że w demokracji czasami wybrzmiewają skrajnie różne zdania czy sądy, często głupie albo hańbie. I to jest w porządku.

Sęk w tym, że spory dotyczą i związków, i aborcji, i rolnictwa, klimatu, finansów...
– Kaczyńskiego i Tuska można uznać za personifikację toczących się dyskursów. Kaczyński jest zagubiony, to widać, np. w kwestii wylaniania kandydata na prezydenta. Ruchy odrodkowe w jego obozie są widoczne. Arcyciekawy jest list otwarty w sprawie prawyborów na prawicy, co oznacza podważanie roli prezesa w tej sprawie.

A sprawa Beaty Szydło? Kaczyński ją ukarze za małopolski bunt?
– Już ją ukarał. Podkreślanie, dość wyraźne, że kandydatem obozu PiS na prezydenta będzie mężczyzna, jest w moim przekonaniu tą karą. Ale może też być zasłoną dymną (tego bym nie wykluczał), mającą utrudnić działania politycznych rywali. Takie zagrania już się prezesowi zdarzały...

A wracając do rozmowy o dyskursie publicznym: komunikacyjnie obecny rząd okazuje się słabszy niż PiS-owski, bo jest bardzo zróżnicowany. Mówi wieloma głosami, często bardzo różnymi. Nie

ma rzecznika rządu, jest nim właściwie premier, pełniący tę rolę na portalu X. To nie jest normalne.

Bardzo poważny błąd.
– Mimo to rząd komunikacyjnie nie przegrywa, a Tusk jest w dobrej formie. Ma ciekawe wrzutki, jak np. o igrzyskach olimpijskich. Jest tym ciekawsza, że Tusk – paradoksalnie – przyznaje nią rację Kaczyńskiemu. Pokazuje, że trzeba mieć dziś dla Polek i Polaków jakąś wielką ideę, coś, wokół czego można społeczeństwo zjednoczyć.
To oznacza zmianę w myśleniu o wspólnocie. Tusk rozumie i przyznaje, że aby dziś skutecznie i długo rządzić Polakom trzeba pokazać ambitne, duże cele. Ciepła woda w kranie nie wystarcza. Po prostu świat społeczno-polityczny się zmienił, częściowo także na skutek działań PiS (a częściowo z powodu niezależnych od polityków globalnych procesów i lokalnych lub regionalnych zjawisk).
Kaczyński złapał falę, w odpowiednim momencie zdał sobie sprawę, że narracja wąsko rozumianego rozwoju już Polakom nie wystarcza, chcą czegoś więcej niż ta ciepła woda w kranie. Tusk to zresztą przeczuwał, już w 2013 czy 2014 roku napomykał, że czuje się socjalliberałem, a nie liberałem w stylu Leszka Balcerowicza z lat 90.

Wyborcy PiS wierzą, że PiS to jest jedyna ekipa, której tak naprawdę zależało na Polsce. A wyborcy obozu obecnej władzy – że to sami złodzieje i złoczyńcy

Premier ogłosił, że Andrzej Domański, minister finansów, Tomasz Siemoniak, szef służb specjalnych oraz Adam Bodnar, minister sprawiedliwości podpisali porozumienie w sprawie wykrywania nadużyć poprzedniego rządu. Chodzi aż o 100 mld zł.

– To tyleż efektowne, co nieskuteczne. Natomiast parcie Tuska, by wskazać, kto zawinił, kto popełnił przestępstwo, kto zgrzeszył, jest politycznie ważne. Choć wiadomo, że udowodnienie tego będzie trudne. Ale to jest potrzebne wyborcom koalicji. Gdyby Tuskowi udało się, oznaczałoby to spełnienie obietnic. Wzmocniłoby to jego pozycję w koalicji i wśród Polaków. Już mamy zarzuty w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, spodziewam się aktów oskarżenia, a jako obywatel liczę na uczciwy proces i sprawiedliwe wyroki. Bo obywatele chcą sprawiedliwości, a nie zemsty. Jeśli uda się winnych skazać,

będzie to sukces Tuska. Ale to będzie też po prostu zdrowe.

Z badań CBOS wynika, że ludziom zależy na bezpieczeństwie (92 proc.), żeby mieć dobrą opiekę medyczną (87 proc.), żeby w sądy szybko działały (82 proc.), żeby ograniczyć nielegalną migrację (75 proc.). Tylko połowa chce rozliczenia PiS.
– Nie wszyscy dostrzegają ścisły związek pomiędzy tym, jak działa państwo, a tym, jak PiS kradł. Są wśród nas miliony takich, którzy za problemy dnia codziennego nie winią wyłącznie Kaczyńskiego...

Do kogo trafia przekaz o rozliczeniu PiS?
– Przede wszystkim do własnego elektoratu. I częściowo do tych, którzy w sporach Tuska z Kaczyńskim stoją nieco z boku. Bo wyborcy PiS są przekonani o uczciwości ekipy Kaczyńskiego. Uważają, że to jedyna ekipa, której zależało na Polsce. A wyborcy obozu obecnej władzy – że są to sami złodzieje i złoczyńcy.
Cokolwiek więc powie Tusk i Kaczyński, to do ich przeciwników nie dociera. Natomiast, gdyby ktoś z PiS przyznał, że klamali i kradli, jak np. premier Węgier Ferenc Gyurcsány, który w 2006 r. powiedział na zamkniętym spotkaniu: „klamaliśmy rano, nocą i wieczorem, sieprziliśmy”, to mogłoby mieć znaczenie dla całości opinii publicznej.

Tomasz Mraz, dyrektor w Funduszu Sprawiedliwości coś podobnego zeznał – że kradli i klamali, by to ukryć.
– Gyurcsány był premierem, Mraz nikt wcześniej nie znał. Gdyby tak mówił Morawiecki czy Błaszczak, efekt mógłby być potężny.
Wydaje się, że ostatnie ruchy i konflikty w PiS, w części jedyne widoczne dla opinii publicznej, to walka, która może się źle dla tej partii skończyć. Choć to nie powinno dziwić. Przez osiem lat rządów musiało się do PiS przykleić wielu konformistów, oportunistów, ludzi kompletnie bezideowych, miażdżących. Niewiele potrafią, a najlepiej czują się w mętnej wodzie. Dziś próbują ocalić część swoich aktywów, wpływów, kontaktów, jakoś zapewnić sobie dalszy byt.

PKW może nie przyjąć sprawozdania wyborczego PiS, partia Kaczyńskiego może stracić do 75 proc. z ponad 20-milionowej subwencji i dotacji podmiotowej. Kupa kasy, zwłaszcza przed wyborami prezydenckimi, które Kaczyński desperacko chce wygrać.
– Sytuacja jest skomplikowana prawnie.

I dlatego PKW zwleka. Nie ma narzędzi śledczych, a musi oszacować nielegalnie wydatki na kampanię wyborczą PiS, na podstawie faktur, których PiS do PKW nie pokazało.

– Trudność polega i na tym, że chodzi o największą partię opozycyjną. Trzeba być niesłychanie ostrożnym. Jeśli tego rodzaju twarde narzędzie zostanie raz użyte, to potem może także być używane przez tych, którzy teraz ucierpieli.

Takie myślenie prowadzi do tego, że PiS, który – ewidentnie złamał kodeks wyborczy i brał publiczne pieniądze na swoją kampanię – może ponieść za to kary.
– Hm..., jak pani słyszy, ciężko wzdygam, bo jesteśmy – niestety – w sytuacji bohatera greckiej tragedii. Nie ma tu dobrego wyjścia.

Ukaranie PiS za nielegalne finansowanie kampanii nie jest dobrym wyjściem?
– Myślę o pozbawieniu możliwości działania największej partii opozycyjnej...

Sami się pozbawili.
– To prawda... Ale ta decyzja może być kontestowana pod względem prawnym. Jak wiemy część prawników – często osoby, które trudno posądzać o sympatię wobec PiS – ma tu szereg wątpliwości.
Chodzi mi o to, że Jarosław Kaczyński (albo inny nieszanujący zasad demokracji liberalnej polityk) po kolejnej wygranej zrobi wszystko, żeby konkurentów politycznych pozbawić pieniędzy. A to będzie bardzo groźne.

Jeśli PKW ukarze PiS, jak to może wpłynąć na ich kampanię prezydencką?
– To na pewno nie spowoduje likwidacji PiS, ich zwolennicy się zmobilizują, będą zbiórki...

Może paradoksalnie wzmocni Kaczyńskiego. Syndrom ofiary.
– Też tak sądzę. Dlatego nie ma tu dobrego rozwiązania.

Wydaje się, że PiS nie ma szans na swojego prezydenta. Co by musiało się stać, żeby jednak wygrał te wybory?
– Spełnionych musi być łącznie przynajmniej kilka warunków. Po pierwsze, wybór takiego kandydata (lub kandydatki), który może się, przynajmniej w części, odciąć od dziedzictwa dwóch kadencji PiS. Po drugie, uporządkowanie partii, wzięcie w karby tej tak sprawnie (czasami) działającej maszyny kampanijno-propagandowej. Po trzecie, na rzecz PiS działałby chaos w szeregach Koalicji 15 października, brak koordynacji działań, wzajemne szkoderzenie sobie przez jej kandydatki i kandydatów (co będzie najprawdopodobniej skutkować demobilizacją sympatyków). I po czwarte, duża mobilizacja własnego elektoratu, przy zauważalnej, znacznej demobilizacji elektoratów przeciwników. Można to osiągnąć, znajdując odpowiednie, właściwe lejtmotywy kampanii. Kilka razy już się to Kaczyńskiemu udawało. ●

Z **PATRYCJĄ SASNAL**, EKSPERTKĄ OD BLISKIEGO WSCHODU Z POLSKIEGO INSTYTUTU SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Iran weźmie odwet na Izraelu za zabójstwo przywódcy Hamasu Isma-
ila Hanii?

PATRYCJA SASNAL: Wsluchuję się w sygnały z Teheranu. Irańczycy w zasadzie zawsze robią to, co mówią. Jeżeli więc najwyższy przywódca ajatollah Ali Chamenei powiedział, że Izrael zapłaci za zabicie Hanii (zginął w wybuchu 31 lipca w Teheranie, gdzie przybył na zaprzysiężenie nowego irańskiego prezydenta Masuda Pezeszkiana), to odwet będzie.

Ale z drugiej strony z Iranu doszły sygnały, że zareaguje na zabicie Hanii, jeśli rozpoczęte w czwartek w Katarze negocjacje między Izraelem a Hamasem w sprawie zawieszenia broni zakończą się fiaskiem.

Te słowa należy moim zdaniem traktować jako sygnał, że Iran zostawia sobie otwartą furtkę, by ataku na dużą skalę, takiego jak ten sprzed czterech miesięcy – gdy w nocy z 13 na 14 kwietnia Iran odpalił 331 pocisków i dronów na Izrael, prawie wszystkie zostały zestrzelone – uniknąć. Może odwet będzie mały, jedynie symboliczny...

Od zabójstwa Hanii minęły już ponad dwa tygodnie. Każdy kolejny dzień zwiększa szansę na dyplomatyczne rozwiązanie. Amerykanie, aby uniknąć eskalacji, są gotowi poruszyć niebo i ziemię. Prosilili Turcję, Egipt, Arabię Saudyjską, żeby wywarły na Iran presję, by nie reagował tak jak w kwietniu.

Dałabym dyplomatom kredyt zaufania. Iran rezygnację z gwałtownej odpowiedzi jest w stanie logicznie uzasadnić. W kwietniu Izrael zabił irańskich wojskowych na terenie irańskiej ambasady w Damaszku, w Syrii, czyli w myśl prawa międzynarodowego na irańskim terytorium. Hanija był zaś Palestyńczykiem.

Pytanie, jak odpowie na to Izrael.

– Właściwe pytanie brzmi: co na to izraelski premier Benjamin Netanjahu? To on jest głównym czynnikiem sprawczym i najwyraźniej to on nie chce pokoju. Chce jak najwięcej załatwić dla siebie, zanim w USA odbędą się wybory prezydenckie. Pod koniec lipca przemawiał w Kongresie USA, podkreślał amerykańsko-izraelską wspólnotę interesów, mówił o zagrożeniu ze strony Iranu. Tydzień później izraelskie służby zabiły w Teheranie Haniję. W ten sposób Netanjahu udało się pożenić dwie odrębne kwestie: palestyńską i irańską.

Palestyńczycy nie są przeciw irańskiej ekspozyturą w Lewancie. Owszem, utrzymują kontakty z Teheranem, część Hamasu była wspierana przez Iran, ale druga – przez Katar. Twierdzenie, że Hamas jest irańskim popychadłem, to nadużycie. Z kolei Autonomię Palestyńską, która formalnie sprawuje władzę na Zachodnim Brzegu, wspierały Unia Europejska i USA.

Ale połączenie Hamasu z Iranem daje Netanjahu dobre usprawiedliwienie do prowadzenia dalszych ataków przeciwko Palestyńczykom.

A te związki nie są oczywiste? Atak Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. wydaje się wpisywać w związki Iranu z Rosją. Putinowi zależało na odwróceniu uwagi świata od Ukrainy, Iran rękami Hamasu to wykonał...

– Twardo stoimy po stronie Ukrainy i trochę dajemy się ponieść emocjom, a może też ukraińskiej narracji. Nie wierzę, że to akurat Rosja stoi za atakiem Hamasu na Izrael. Nie sądzę, żeby rozkaz do ataku przyszedł z Teheranu.

Hamas realizował swoją grę, a szczególnie jego obecny przywódca Jahja Sinwar, który spędził 22 lata w izraelskim więzieniu i pała żądzą odwetu, chce doprowadzić do uwolnienia wszystkich palestyńskich więźniów. Z izraelskich źródeł wiadomo, że w zeszłym roku Iran, Hezbollah [proirańska milicja kontrolująca południowy Liban] i Hamas stworzyły coś w rodzaju wspólnego centrum dowodzenia.

Wykuł się też pomysł jednoczesnego ataku na Izrael ze Strefy Gazy, południowego Iranu i przez sponsorowane przez Iran organizacje w Syrii, Iraku czy Jemenie.

Z historii wojen na Bliskim Wschodzie wynika, że Izrael ma problemy z odparciem ataku z wielu kierunków.

Izrael twierdzi, że Iran znał szczegóły dotyczące ataku 7 października, gdy terroryści z Hamasu uderzyli na izraelskie osiedla znajdujące się przy granicy ze Strefą Gazy oraz na miasto Sderot. Zginęło 1300 Izraelczyków, 251 zostało porwanych.



IRAN ZOSTAWIA OTWARTĄ FURTKE

Jest jakaś szansa na uspokojenie Bliskiego Wschodu. Jeśli...

Amerykanie twierdzą, że Iran nie wiedział, co się wydarzy.

Prawda leży pośrodku. Hamas utrzymał w tajemnicy datę ataku, ale jego przygotowanie było ustalone z sojusznikami. Tak jak to, że do operacji Hamasu dołączy Hezbollah i proirańskie organizacje z innych krajów. W dniu ataku okazało się, że tak się nie stało. Przywódcy Hezbollahu uznali, że to nie ich wojna. Hamas został porzucony.

Pamiętajmy też, że jedyną osią porozumienia między Iranem a Hamasem jest walka z Izraelem. W każdym innym przypadku ich interesy są przeciwstawne.

Gdy w 2011 r. wybuchła wojna domowa w Syrii, a wtedy Hamas prowadził w Damaszku swoje przedstawicielstwo, to organizacja stanęła po stronie opozycji, a nie reżimu Baszara al-Assada. W efekcie Hamas z Syrii musiał się wynosić. Z Syrii, która – przypomnijmy – jest zależna od Iranu i Rosji.

Hamas wsparli jednak popierani przez Iran rebelianci z Jemenu, którzy odpalali na Izrael pociski raketowe i zaczęli atakować statki na Morzu Czerwonym.

– To specyficzny przypadek. Ruch Huti solidarność z Palestyńczykami ma wpisaną w swoje DNA, a teraz



nadarzyła się okazja, by jej dowieść. Głównym wrogiem Huti jest nie Izrael, ale Arabia Saudyjska. A ponieważ wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, tę grupę wspiera rywalizujący z Saudami Iran.

Huti są dla Teheranu przydatnym narzędziem, ale nie są pod jego kontrolą. Nie działają na telefon. Ich wsparcie dla Hamasu miało czysto ideologiczne podłoże.

Zdecydowana propalestyńskość odróżnia Jemeńczyków od mieszkańców Iranu, którzy w tych kwestiach są o wiele mniej ideowi. Władze w Teheranie przesadzają, grając palestyńską kartą na swoje ideologiczne potrzeby. Ludzie odczuwają przesyty.

Mam dojmujące wrażenie, że atak Hamasu uratował premiera Netanjahu, który demontując izraelską demokrację, znalazł się pod coraz większą presją i w coraz większych tarapatach. Im dłużej wojna będzie trwała, tym dłużej Netanjahu utrzyma się u władzy.

– A przecież na początku wydawało się, że atak Hamasu to jednak jest jego koniec. Doszło do gigantycznej kompromitacji izraelskich służb specjalnych i wojska. Zresztą teraz służby usilnie pracują, by tę hańbę z siebie zmyć: zamach na przywódcę Hamasu w Teheranie, w sercu wrogiego kraju – według jednej wersji bombę podłożono pod jego łóżkiem...

W październiku wydawało się, że Netanjahu nie przetrwa dłużej niż kilka tygodni, że rozpocznie się śledztwo w sprawie zaniedbań, że premier się po tym już nie podniesie. Z sondaży wynika, że Netanjahu czeka wyborcza klęska, co sobotę przeciwko niemu demonstrują tysiące ludzi, ale jego to nie rusza i rządzi dalej.

To efekt gigantycznej traumy, w której pogrążyło się izraelskie społeczeństwo. Włączasz telewizję, a tam nieustannie mówi się o ataku Hamasu, tak jakby siódmy października trwał. Tę katastrofę przeżywa się raz po raz na nowo.

Ludzie z jednej strony nienawidzą Netanjahu, ale nienawidzą też Palestyńczyków. Wielu Izraelczyków

uważa, że zakładnicy w niewoli Hamasu to jedyny argument, który powstrzymuje ich kraj przed zrównaniem Strefy Gazy z ziemią i wypędzenia jej mieszkańców.

Ale Netanjahu rozliczeń nie uniknie...

– Komisję śledczą na wzór tej, która badała nieudolność władzy i wojska po ataku Syrii i Egiptu w 1973 r., może powołać tylko rząd. Na razie jej więc nie będzie, choć są próby, by rząd obejść i pociągnąć do odpowiedzialności.

Netanjahu niedawno skrytykowali byli szefowie służb specjalnych, uznając go wręcz za zagrożenie dla państwa. Premier szafuje bezpieczeństwem swojego kraju, by utrzymać się u władzy. Ale metody, które stosuje, akceptuje spora część Izraelczyków, zwłaszcza po prawej stronie.

Z racji historycznej bliskości do Izraela, z racji dostępności źródeł w języku angielskim znamy sytuację w tym kraju. O tym, co się dzieje po stronie palestyńskiej, chociażby na Zachodnim Brzegu, wiemy o wiele mniej, praktycznie nic. Ucisk i represje ze strony Izraela są nie do przyjęcia.

Izraelczyk powiedziałby, że mieszkańcy Zachodniego Brzegu wiwatowali, oglądając relacje z pogromu, który 7 października urządził Hamas.

– No i co z tego? Czy spodziewałby się czegoś innego? Czy uzasadnia to łamanie prawa, aneksję Zachodniego Brzegu, która praktycznie się dokonała? W Ramallah, stolicy Autonomii Palestyńskiej, niewiele jest przejawów solidarności ze Strefą Gazy. Napisy „Wszyscy jesteście Gazą” widziałam może ze dwa razy.

W mieście odbywały się demonstracje, ale przeciwnie do tego, co poparcia Hamasu [który jest polityczną konkurencją dla władz Autonomii Palestyńskiej], wobec czego zostały przez palestyńskie służby bezpieczeństwa zakazane, a organizatorów aresztowano. Wśród Palestyńczyków nie ma jednego głosu.

A na co Palestyńczycy liczą?

Nie wierzę, że to akurat Rosja stoi za atakiem Hamasu na Izrael.

Nie sędzę, żeby rozkaz do ataku przyszedł z Teheranu

– Czekają na zbawienie. Liczą, że zawarty zostanie rozejm między Hamasem i Izraelem, a z więzienia wyjdzie Marwan al-Barguti, więziony od ponad 20 lat palestyński polityk, przywódca pierwszej i drugiej Intifady. A to da sprawie palestyńskiej nowy impuls.

Że al-Barguti będzie drugim Nelsonem Mandelą. Tyle że to raczej złudne nadzieje. Hamasu nie udało się Izraelowi zniszczyć, teraz z nowym przywódcą stanie się jeszcze bardziej radykalny. Izrael zawsze miał dylemat z likwidowaniem przywódców organizacji terrorystycznych, bo zabitego zastępował zawsze gorszy i bardziej niebezpieczny człowiek.

A w co w tej chwili gra Iran?

– W irańskiej polityce jest silna tradycja debat przedwyborczych, choć pamiętajmy, że irańskie wybory prezydenckie nie są wolne i demokratyczne, bo dopuszcza się do nich jedynie kandydatów zaakceptowanych przez Najwyższego Przywódcę. Przed tegorocznymi wyborami prezydenckimi jedna z debat dotyczyła właśnie polityki zagranicznej, głównie pomysłów na zniesienie sankcji.

Masud Pezeszkian opowiadał się za powrotem do rozmów z Europą i USA o irańskim programie atomowym, w zamian za co sankcje zostałyby zniesione. Skoro Pezeszkian wygrał wybory, można założyć, że taka opcja ma poparcie wśród Irańczyków. Pytanie, czy tak myśli też Najwyższy Przywódca.

Jest jakaś szansa na uspokojenie Bliskiego Wschodu. To zależy od tego, co stanie się po wyborach w USA. W najlepszym przypadku wygrywa Kamala Harris, wstrzymuje pomoc dla Izraela pod warunkiem porozumienia z Arabią Saudyjską i obietnicy rozpoczęcia kompleksowych rozmów z Palestyńczykami.

W takim scenariuszu Netanjahu nie jest już premierem. USA i UE prowadzą rozmowy z Iranem o programie nuklearnym.

W najgorszym przypadku po upadku trwających teraz negocjacji Iran uderza na Izrael, giną cywile, Izrael odpowiada gradem ognia, rozpętuje się krwawa wojna na wielu frontach, też z Hezbollahem. Ktokolwiek jest prezydentem USA, będzie się musiał w tę wojnę włączyć. I wówczas to będzie też nasza wojna. ●



FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Patrycja Sasnal

• Ekspertka od Bliskiego Wschodu z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych

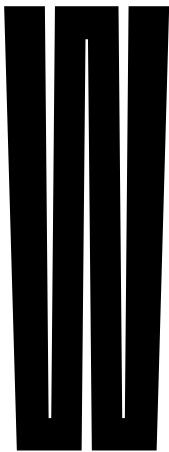
wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński; MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (zespół), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wleczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia) WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11	DRUK: Wyborcza sp. z o.o. PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwass Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44 Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Szaleństwo Junny Moric

POETKA, CO
POKOCHAŁA
CARA

Idąc noga w nogę „z narodem”,
łatwo zabrnąć w oblęd.
I stać się duchowym
uczestnikiem zbrodni.

Jerzy Czech*



W Rosji nazywano ich szestidiesiatnikami, pisarzami lat 60. „Tak naprawdę” chodziło o postalinowską odwilż zaczynającą się w połowie lat 50., nazwa więc była myląca, choć nie przypadkowa. Istniała bowiem od 100 lat, w wieku XIX określano nią ludzi epoki reform Aleksandra II, czasów niezwyklej aktywności społecznej, wielkiego ożywienia po marazmie trzech mikołajowskich dekad. Owo pokolenie cechowały rewolucyjne nastroje, a jego sprzeciw wobec wszelkich dotychczasowych zasad i instytucji ściągnął na nie

zarzut nihilizmu.

Ich radzieccy następcy nie mieli wywrotowych tendencji. Byli dziećmi XX zjazdu partii (1956), aprobowali ustrój, ale patrzyli krytycznie na różne jego „błędy i wypaczenia” i szczerze wierzyli, że uda się je naprawić.

Chyba najwcześniej dali znać o sobie poeci, przede wszystkim Jewgienij Jewtuszenko, Andriej Wozniesiński i Bella Achmadulina. Twórcy ci cieszyli się popularnością, o której dzisiaj czyta się z niedowierzaniem – recytowali wiersze na stadionach, i to 100-tysięcznych, wypełnionych po brzegi!

Mnie interesowali bardziej poeci samizdatu, którzy złudzenia co do możliwości naprawy ustroju stracili już dawno, o ile kiedykolwiek je mieli. Szestidiesiatników traktowano w owych kręgach raczej ironicznie, pokpiwano zwłaszcza z Jewtuszenki ze względu na jego dwuznaczną rolę sowiecko-zachodniego celebryty.

Nikt jednak nie śmiał się z Junny Moric, szanowali ją zarówno koledzy szestidiesiatnicy, jak i przedstawiciele kultury nieoficjalnej; dość zgodnie zaliczano ją do pierwszej dziesiątki poetów rosyjskich.

Urodzona w 1937 r. Moric nie czytała wierszy na stadionach, nie zasypywała nimi pism literackich, a po „Przylądku Życzenia”, tomiku z 1961 r. powstałym w wyniku wyprawy na Nową Ziemię, następ-

ną jej książkę wydano dopiero po dziewięciu latach. Władzom nie spodobaly się zwłaszcza dwa jej utwory.

Jeden poświęcony był zamordowanemu w latach stalinowskich gruzińskiemu poecie Tycjanowi Tabidze:

„Na Mcchetę gwiazda spada z nieba!// Kto ją pozwolił zamordować?/ Kto wziął na siebie taką winę?/ Gwiazdę – pod nóż, pod gilotynę?/ Kto ją pozwolił zamordować?” (przeł. Danuta Wawilów).

Drugi nosił tytuł „Zapasy” i nawiązywał do wolnościowego poematu Lermontowa:

„Carze! Cały świat okiełznasz./ Lecz na poezjach ani krzty się nie znasz!/ Tyś głuchy i nieczuły z przyrodzenia./ Siepaczy rządy – sprawą złą i ciemną./ Krwi przelew – żmudną sprawą i daremną./ Błdzi twój siepacz, chcąc na pięści ze mną/ Zmierzyć się co do wierszy rozumienia” (przeł. Wiktor Woroszyński).

Za takie rzeczy w Sojusie nie glaskano po głowie. Wprawdzie o carze, ale... Jak to, władza nie zna się na poezji?!

Minęły jednak dziesięciolecia i Moric najwyraźniej zaczęła łagodniej patrzeć na cara, który kazał zamordować Tabidzego. Ze zdziwieniem zobaczyłem kiedyś w sieci jej „pełną wściekłości i wrzasku” reakcję na uchwałę Parlamentu Europejskiego potępiającą dwa systemy – hitlerowski i stalinowski.

Zdziwienie wynikało z faktu, że przecież jakieś pół wieku wcześniej oba totalitaryzmy zrównał w swoim „Życiu i losie” jej rodak Wasilij Grossman. Czyżby o tym nie wiedziała? Nie bardzo się jednak przejąłem, bo to, że liberał za młodu na starość zostaje wstecznikiem, jest w Rosji sprawą bliższą regule niż wyjątkowi.

Ale po anszlusie Krymu natrafiłem na tekst Moric, nad którym już nie miałem przejść do porządku, dotyczył bowiem naszego kraju i jego rzekomych planów. Artykułik nosił wdzięczny tytuł „Śmierdzi nienawiścią do Rosji”.

„Wielka Polska to rusofobiczny projekt regionalnego mocarstwa wschodnioeuropejskiego – »kosztem Rosji i przeciw Rosji«. Kiedy zarusofobią Ukrainę, zajmą się Białorusią, będą ją majdanić na tej samej patelni, jak kotlet po kijowsku. A Rosję będą koszmarnić (od wewnątrz i z zewnątrz!) Siły Zbrojne Słów, które są rusofobią w najobrzydliwszej postaci, i ten obrzydliwy rodzaj rusofobii ma wielce adekwatną nazwę: nazizm, rozniecanie nienawiści do

kraju, nienawiści do jego narodów, nienawiści, wykorzystującej wszystkie środki faszystowskiej propagandy.

W wyniku takiej propagandy faszystów w Europie likwidowali naród Księżki, nawiasem mówiąc, jedno z najbardziej znanych miejsc zagłady znajduje się w Polsce, której rusofobiczna paranoja jest największym karykaturalnym wkładem w »nowy ład światowy«. Itp., itd.

Wątpliwości co do równowagi psychicznej autorki nie miałem większych niż komisja lekarska badająca Haszkowskiego Szwejkę. Nie wytrzymałem jednak i wspominałem o tym na platformie Żywej Książki, na której prowadziłem blog po rosyjsku. Wszyscy komentujący znajomi potwierdzili, że coś się z poetką stało; ponieważ zaś podobne koncepty zapisywała raz prozą, raz wierszem, było jasne, że straciła i rozum, i talent.

W toku dyskusji podsumowałem ją krótko: „Była Pietrowną./ Została Wissarionówną”.

Na co znajoma z Izraela odpowiedziała: „Skoro przed Pietrowną była Pinchusówną, to czemu nie miała ulegać dalszym metamorfozom?”

Wyjaśniam zwłaszcza młodszym czytelnikom: Pietrowną to otczestwo, imię odojcowskie pani Junny, a Wissarionówna to aluzja do Josifa Wissarionowicza Stalina. Wobec tego, że w Rosji obowiązkowo podaje się imiona odojcowskie, ludzie, którzy chcieli zatrzeć ślady „niewłaściwego” pochodzenia, zmieniali nie tylko nazwiska, ale także imiona i otczestwa.

Ponieważ w redakcjach radzieckich siedziało sporo antysemitów, ojciec Pinchus nie pomógł Junnie Moric, toteż w końcu zmieniła się w Pietrownę



• Junna Moric
FOT. DMITRY ROZHKOV/
CC BY-SA 3.0

Bucza? Ukraińcy na pewno sami się pozabijali i porozrzucali ciała, żeby oskarżyć Rosjan! Nie przesadzam, mieszkańcy Rosji wierzą bardziej swojej telewizji niż krewnym z Ukrainy

i do dzisiaj się tak podpisuje. Zapyta ktoś: jakim cudem można zmienić imię własnemu, czasem już nieżyjącemu rodzicowi? W Związku Radzieckim nie takie rzeczy robiono. Konstanty Rokossowski, późniejszy marszałek dwóch narodów, dla kariery w Armii Czerwonej przezwiał się Konstantinem Konstantinowiczem, choć miał ojca Polaka o imieniu Ksawery. Widać i to nie wystarczyło, bo „syn robotniczej Warszawy”, jak pisano w czasach mojego dzieciństwa, musiał się jeszcze ponownie urodzić, tym razem w rosyjskich Wielkich Łukach – taka miejscowość figuruje w encyklopediach.

• Nie mam tu zamiaru natrząsać się z Junny Moric; jak mówi Boy, złe sobie daje świadectwo, gdy kto wyszydza kalectwo. Interesująca jednak byłaby próba dotarcia do źródeł jej zapaści.

Pomyślałem, że trop wskazuje owa „Pinchusowna”. U osób pochodzenia żydowskiego odruch antyukraiński bywa częsty i mocno zakorzeniony. Coś takiego zadziało może w przypadku Brodskiego i jego wiersza „Na niepodległość Ukrainy”. Złożyły się na to nie tylko pamięć Holocaustu czy też pogromów z przełomu stuleci, ale także antyżydowski charakter powstań kozackich jeszcze w czasach Rzeczypospolitej.

Znajomy rosyjski Żyd przekonywał mnie kiedyś, że „w etnicznej Rosji nie ma antysemityzmu, tylko na Ukrainie i Białorusi”. Nie zastanowił się dlaczego; ano po prostu dlatego, że dzieciom Izraela nie pozwalano się w Rosji osiedlać. Trudno zaś o większy przejaw antysemityzmu niż wprowadzona przez Katarzynę sławetna strefa osiedlenia, do samego końca caratu blokująca im dostęp do „etnicznych” guberni.

Ale odruchy i stereotypy nie są racjonalne, daremna więc byłaby nawet argumentacja, że jakoś poza Ukrainą nie ma w tej części Europy prezydenta pochodzenia żydowskiego (w ponoć wolnej od antysemityzmu Rosji byłoby to niemożliwe). Sytuacja zatem konfliktu rosyjsko-ukraińskiego mogła skłonić urodzoną w Kijowie Pinchusownę-Pietrownę do zajęcia postawy wielkoruskiej, imperialnej.

Uważne prześledzenie jej licznych wpisów w sieci wskazuje, że jednak nie chodzi o ten przypadek. Antyukraińskość (prezentowana oczywiście jako „antybanderyzm” lub coś w tym guście) jest sprawą uboczną, pochodną składnika podstawowego, którym jest antyzachodniość.

Może zatem znękani zbyt gwałtowną i bolesną transformacją mieszkańcy zareagowali niechęcią wobec wszystkiego, co przyszło z Europy, a poetce się to udzieliło? A jednak poszło o coś innego. O Serbię, czyli resztę rozpadającej się Jugosławii, z którą Rosja poczuła nagłą solidarność.

Mniejsza o autentyczność uczuć; dość, że rozdźwięk między Zachodem a Rosją powstał właśnie wtedy i wynikł z owego rozpadu. Uniemożliwił zaś porozumienie i od początku był zapowiedzią nowej zimnej wojny, która w każdej chwili może się przerodzić w globalną katastrofę. Mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę z tego, jaki wpływ miała ta kwestia na Rosjan. Myśmy wszystko zapomnieli...

• Odwołam się do własnych wspomnień. W pierwszej połowie lat 90. odwiedziłem Rosyjski Ośrodek Kulturalny z cichą nadzieją na zaproszenie jako tłumacza najnowszej poezji rosyjskiej.

Kiedyś wpuszczono mnie na nieoficjalny „iwent” z udziałem jakiegoś ichniego barda. Bohater wydarzenia śpiewał piosenkę, która zaczynała się od tego, że gdzieś tam „strzelają do Serbów”, a kończyła puentą: „Każdy taki strzał trafia prosto w serce Rosji”. Nie miałem się co pchać z rosyjskim postmodernizmem do tych serbofilów, którzy sprawiali wrażenie, że odbywają konspiracyjną naradę w sercu wrogiego kraju.

Niespecjalnie mnie to zresztą zaskoczyło. Rosjanie od dawna wspierali walkę o wolność, jeśli tylko toczyła się daleko i z kimś innym niż Rosja. Pod koniec XIX wieku lali łzy nad nieszczęsnymi Burami – wielką popularność zdobyła piosenka „Transwaal, Transwaal, strana moja, ty wsia gorisz w ognie”. Wolnością dla Burów nadwiślańskich już się tak bardzo nie przejmowali.

Miłość do Serbów miała tendencję rosnącą – po kilku latach, kiedy zaproszono mnie na festiwal kulturalny do Samary, sięgnęła poziomu hysterii. Był kwiecień 1999 r., trwały bombardowania Jugosławii wywołane, jak wiemy, masowym exodusem kosowskich Albańczyków, wyrzucanych z domów przez serbskie wojsko i milicję. Wszystkie europejskie stacje telewizyjne pełne były obrazów tych wydarzeń.

Europejskie tak, ale nie rosyjskie. Tu mówiono w kółko o bombardowaniach, o ich przyczynach – nic. Mieszkańcy Rosji nie mieli pojęcia, dlaczego NATO zrzuca bomby na Belgrad. Zrzuca i już, bo jest niedobre. Powód takiej postawy zrozumiałem, kiedy kupilem ilustrowany tygodnik z fotoreportażem poświęconym Jugosławii. Było tam co prawda zdjęcie przedstawiające długi sznur uchodźców, ale z podpisem: „Mieszkańcy Kosowa uciekają przed bombardowaniami NATO”.

W ogóle czulem się nieswojo, bo w tamtejszej prasie rozważano serio włączenie Jugosławii do Związku Białorusi i Rosji, a ja nie wiedziałem nawet, czy Polska wstąpiła już do tego strasznego sojuszu czy nie. Gdyby wstąpiła, to w razie przyhołubienia Miloševicia przez ZBiR (skrót proroczy) mogłem się spodziewać internowania. Kiedy w samarskiej rozgłośni radiowej miałem mówić o literaturze, prezenter powiedział niby to żartobliwie: „Witamy przedstawiciela NATO!”.

Wszyscy mieli to w głowach, długoletnia sowiecka propaganda nie minęła bez śladu, a przecież doszła nowa. Tak, istniał już internet, kto zatem chciał, ten mógł się dowiedzieć prawdy, sęk w tym, że niewielu chciało, a poza tym sieć nie miała mocy rażenia rodzimej telewizji.

Także moi prozachodnio nastawieni przyjaciele byli zdezoriotowani. Cenzura, słaba podczas pierwszej wojny czeczeńskiej, teraz działała wyjątkowo skutecznie. Wyglądało tak, jakby cała piestrojka i głośność miały na celu wyłącznie uwiarygodnienie mediów, żeby te mogły w końcu wrócić do swojej zasadniczej funkcji – ogłupiania ludzi. System się domykał. Parę miesięcy później wysadzono [w Rosji] w powietrze kilka domów, oskarżono Czeczenów o zamachy i nowy przywódca Putin wydał im drugą wojnę.

Atmosfera hysterii rzadko owocuje dobrą literaturą. Jednym z rezultatów bombardowań wiosną 1999 r. był poemat Junny Moric pod tytułem „Zwiedzda Sierbosti”, czyli „Gwiazda serbości” – tytuł miał zapewne nawiązywać do odznaczeń typu: „Zwiedzda Chrabrosti” (odwagi). Właściwie trudno nazwać poematem ten zbiór 30 wierszy różnej długości, połączonych maniakalnie potraktowanym tematem. Autorka poprzedziła go wstępem zawierającym takie m.in. oświadczenie:

„My, poeci planety Ziemia, w odpowiedzi na bombardowanie Jugosławii przez wojska bloku GÓWNATO, siłą poezji będziemy niszczyć autorytety nowego hegemonizmu”.

Siła tego utworu zniszczyła przede wszystkim reputację Moric jako wybitnej poetki. Miotanie wulgarnych obelg na przeciwników, ciągle odwoływanie się „ad Hitlerum”, kompulsywne tworzenie neologizmów, mało śmieszne zabawy językowe z imieniem Javiera Solany, kojarzącym się autorce z zacierpniętym z grypsery czasownikiem „chawat” (żreć) – wszystko to jest raczej dowodem bezsilności. Zażenowanie budzą przerwyniki o charakterze, jak mawiano za moich czasów, kłozetowym: „Panna Monika lubiła/ Ssać ch... debiła Billa./ Ale Serbia – nie Monika,/ Inna gra tam harmo-nijka”.

Takie czterowiersze, w Rosji zwane czastuszkami, owszem, bywały obsceniczne, ale i finezyjne, bo pisywali je często świetni poeci, zawsze anonimo-

wo. Czastuszki Moric nie są niestety anonimowe ani świetne: „Oddać mocz raz Hitler wyszedł./ Z przeciwka – Joschka Fischer./ Serbożercę serbożerca/ Pozdrawia z całego serca”.

Jednozwrotkowa forma trzyma ją jeszcze w ry-zach, w dłuższych wierszach autorka nie krępuje się już niczym. „Europo, cała jesteś w łajnie... Wojskową zdziłą zostałaś u Javiera... Napaskudziłaś w niebie i śmierdzi atmosfera... Należysz do ob-sługi burdelu... Madame, wsadź sobie w tyłek wali-zę uśmiechów”. Na tym tle nasz Machejek [Władysław, 1920-91, działacz komunistyczny w PRL-u, literat] mógłby służyć za wzór stylistycznego umiaru.

No i ciągnie się to do dzisiaj, Junna Moric obficie raczy rodaków swoją produkcją, z tą tylko różnicą, że Serbów przypomina od czasu do czasu, stale natomiast wspiera ludobójczą wojnę z Ukrainą. Czyli w jej przekonaniu – z „nazizmem”, który dostrze-ga wszędzie, tylko nie w swoim kraju. Żongluje bo-wiem pojęciami dowolnie, bez związku z ich zna-czeniem.

Szaleństwa twórczych jednostek często pozwalają zwrócić uwagę na coś, czegośmy dotąd nie wi-dzieli. Po poecie spodziewamy się, że będzie „tam sięgał, gdzie wzrok nie sięga”, że wie i czuje wię-cej niż zwykli śmiertelnicy. Moric zawodzi te ocze-kiwania.

Jej przypadek, jeśli cymś zaskakuje, to swoją absolutną banalnością. Robi wrażenie miernej lite-ratki emerytki, która siedzi całymi dniami przed te-lewizorem i przejęta tym, co jej pokazują, przele-wa na papier swoje reakcje. Dziwne tylko, że sko-ro tak się interesowała Bałkanami, nigdy jakoś nie wspomniała o Srebrenicy, gdzie jej ukochani Ser-bowie wymordowali kilka razy więcej ludzi, niż ich zginęło od wszystkich bomb NATO. A to była spra-wa kluczowa przy podejmowaniu decyzji o nalo-tach – w poczuciu winy za tamtą nie chciano dopu-szczć do nowej zbrodni.

Moric nie dopuściła do siebie wiedzy o serbskich zbrodniach, chociaż wieść o masakrze dotarła do Rosji. Nie słyszała o masowych gwałtach, nie wie, że Serbowie długo ostrzeliwali Sarajewo, a nawet adriatycki Dubrownik, który nigdy do nich nie na-leżał. Dzisiaj nie docierają do niej wieści o bestial-stwach rosyjskich w Ukrainie.

Widzi wyłącznie fakty, które pasują do oficjal-nej wersji wydarzeń. W razie czego władza podsu-nie odpowiedź w stylu Gogoła: wdowa sama się wy-chłostała. Ukraińcy sami się pozabijali i porozrzuci-li ciała, żeby oskarżyć Rosjan, a wszystko z po-wodu rusofobii. Nie przesadzam, mieszkańcy Ro-sji wierzą bardziej swojej telewizji niż krewnym z Ukrainy.

Świetłana Aleksijewicz w swojej ostatniej książ-ce „Czasy secondhand” zauważa że ludzie w Rosji nie umieją normalnie żyć, bo ciągle muszą z kimś albo czymś walczyć. Łatwo się domyślić dlaczego: kiedy władza chce nadal rządzić państwem, a nie ma na nie pomysłu, walka jest zawsze jakimś roz-wiązaniem.

„Rusofobia” na przeciwnika nadaje się znakomicie, bo niby wiadomo, o co chodzi, jednakże tylko z pozoru. Racjonalna dyskusja wymaga określenia pojęć, których się w niej używa. Rosja jednak nie jest racjonalna, więc nie precyzuje pojęć, tylko uży-wa tak, jak jej wygodnie. Dzięki temu może oskar-żać wszystkich o wszystko.

Tymczasem sprawa jest jasna – słowa z końców-ką -fobia oznaczają po prostu nieuzasadniony, nad-mierny lęk przed czymś. Czy lęk przed Rosją jest nieuzasadniony? Każde państwo sąsiadujące z Ro-sją ma aż nadto powodów do obaw przed nią, więc i niechęć do niej. A nasz obecny sprzeciw wobec tego, co robią rosyjscy żołdaci w Ukrainie, można nazwać mordercofobią, gwałcicielofobią i złodzie-jofobią. Tylko czy trzeba nazywać?

Junna Moric odmienia słowo „rusofobia” przez wszystkie przypadki, ale to nie jej wynalazek. Wła-dze rosyjskie używają go bez przerwy, w propagan-dzie, dyplomacji, na forum ONZ. A zacerpnęły je z ogłoszonej w 1982 r. pracy pod takim właśnie ty-tułem: „Rusofobia”; napisał ją Igor Szafariewicz, wybitny matematyk, przyjaciel Sołżenicyna.

Sedno sprawy wskazuje informacja z Wikipedii przypominająca koncepty z Radia Erewan: „Zda-niem niektórych badaczy wartość studiów Szafa-riewicza nad »rusofobią« polega na tym, że chociaż nie zdefiniował terminu, to wpłynął na jego popu-laryzację”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Paweł Stefanowski**

Deptana
(przez obcych)
Łemkowszczyzna

Depczą
bezkarnie
obcy
moją ojcowiznę
karpacką
Łemkowszczyznę

Bez paszportów
mego przyzwolenia
depczą
okradają
wpisuję się
do Ksiąg Wieczystych
sztyletem
przystawionym
do mych zniewolonych piersi
Znieważają
nawet przodka mego
sprzed lat tysiąca

Przemocą
kata
zepchnęli mnie
do kąta
Siedź cicho
Powiedzieli
bo w mordę
dostaniesz
i basta
od Nowego Piasta

1 XI 2003



****Paweł Stefanowski**
– 1932–2021, wybitny działacz łemkowski, pisarz, poeta, etnograf, pedagog. Wiersz za zbiorem jego utworów „Wiersze wybrane”, Laboratorium Literatury Instytutu Kultury Regionalnej i Badań Literackich im. Franciszka Karpińskiego, Siedlce – Warszawa 2022
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Szaleństwo ogarnęło
cały kraj.

Tak niegdyś u nas
lubiana pieśniarka Żanna
Biczewska zwariowała
już dawno. Nawołuje
Rosjan do marszu na...
Konstantynopol

Brak definicji dyskwalifikuje matematyka, ale nie tak trudno się zorientować, co miał na myśli. „Rusofobia” znaczy u niego nie to, co znaczy, tylko wszelkie wypowiedane w dysydenckich publikacjach krytyczne sądy o historii Rosji. Płyną one jednak z miłości do kraju, choć, co prawda, u skłonnych do przesady Rosjan przybierają często gwałtowne formy. Może się to nie podobać, ale nikt nie ma prawa odmawiać ich autorom patriotyzmu. To nie żadna rusofobia! Nawet mit założycielski Rusi zaczyna się od oceny krytycznej: „Rozległa i bogata jest nasza ziemia, ale nie masz w niej ładu”.

No ale próżno szukać logiki w rozprawie, zresztą nieświadomy czytelnik nie zgadłby, że pisał ją matematyk. Matematycy są oszczędni w słowach, a ten publicysta wylewa ich całe morze, zanim powie, o co mu chodzi. Naprawdę nie trzeba długo się zastanawiać, żeby wskazać w dziejach jego kraju rzeczy godne krytyki, ale Szafariewicza realny kraj nie interesuje. Jego Rosja to platońska idea, bez grzechu, zawsze dziewica.

A skąd w bezgrzesznym kraju miliony ofiar? Obca inspiracja, co złego, to nie my. „Inni szatani byli tam czynni”. Autor „Rusofobii” znalazł szatanów, używając koncepcji „małego narodu” francuskiego prawicowego historyka Augustina Cochin, który szukał winnych doprowadzenia Francji do Wielkiego Terroru. Winni byli „filozofowie”, niewielka grupa jajogłowych, która zyskała przemożny wpływ na umysły ludzkie. Ten właśnie „mały naród”, żyjący w świecie abstrakcji i pełen niechęci do własnej ojczyzny, rozerwał więź między monarchą a ludem, „wielkim narodem”, i sprowadził ów lud na złą drogę.

Przypomina to coś państwu? Tak, oczywiście, gorszy sort, ojkofobia i tak dalej! Ci ludzie nic nowego nie wymyślają, osobowość autorytarna jest wszędzie podobna, niezależnie od kraju i epoki.

Podobna, ale nie taka sama. W Rosji, według Szafariewicza, największe nieszczęście polegało na tym, że do szerzącego wywrotowe idee „małego narodu” przyłączył się „naród wybrany”. No i jesteśmy w domu, problem tkwi nie w rusofobii, tylko w judofobii naszego matematyka. „Rusofobię”, którą obficie cytuje, znalazłby u prawie wszystkich wybitnych pisarzy rosyjskich, choćby u Lermontowa:

„Żegnaj mi, Rosjo nieumyta,/ Ojczyzno panów i niewolnych./ I ty, mundurów ćmo błękitna,/ I ty, narodzie im powolny” (przeł. Anna Kamieńska).

Autorów nawet łagodniejszych wypowiedzi zaliczał Szafariewicz do rusofobów, Lermontowa jednak zostawił w spokoju, bo to „aryjczyk”. Dla innych jest bezlitosny. Trzeba być chorym z nienawiści, żeby dopatrzeć się pogardy dla ludu rosyjskiego u... Grossmana. A już najgorszy jest deprawujący młodzież Aleksandr Galicz (Ginzburg, jak usłużeńie donosi publicysta), który „dostał nagrodę za scenariusz filmu o czekistach i zyskał sławę dzięki piosenkom o dysydenckim zapaszkę”.

To o człowieku, który istotnie długo pisał tak, jak chciała władza, ale wyrzekł się nagród i za ów „zapaszek” doczekał się zakazu występów, usunięcia ze wszystkich związków twórczych, został zmuszony do wyjazdu za granicę i tam zginął w nieszczęśliwym wypadku (nie wszyscy wierzą, że to był wypadek). Tymczasem represje wobec prof. Szafariewicza skończyły się na przeniesieniu z uniwersytetu do instytutu Akademii Nauk.

A rozeźlili go piosenki Galicza o Klimie Pietrowiczu, radzieckim robotniku, który co rusz popada w tarapaty. No bo to „rdzenny Rosjanin”, a nierdzenny Galicz ponoć się z niego naśmiewał. Bzdura, Pietrowicz budził sympatię, a obiektem satyry była radziecka rzeczywistość. Takiego właśnie Pietrowicza, już bez imienia, zwykłego człowieka wychowanego w Sojuszu, w latach 90. uczynił swoim bohaterem rysownik Andriej Bilżo. Powstały nawet kluby w stylu radzieckiego retro o nazwie Pietrowicz.

Być może Junna Moric, po tym, czego doświadczyła jako Pinchusowna, chciała być „taka jak wszyscy”. Została więc Pietrowną, czyli Pietrowiczem rodzaju żeńskiego.

Jest jednak różnica – Pietrowicz wie, gdzie żyje, więc mówi, co mu każą, ale nie bierze sobie tego do serca. Choć niekiedy widzi, że coś jest nie tak, nie protestuje, bo nauczył się, że to nic nie da i lepiej nie podskakiwać. Pietrowna została natomiast Pietrowiczem ideowym, wręcz fanatycznym – łyka wszystko, czym ją karmią, „siłą poezji” zwalczając zło, które jej wskazuje władza, a innego zła

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Marzanna Bogumiła Kielar***

Nikt nie chciał do Polski

1.

Tu było jak na urwanej ulicy. Nikt tu nie chciał do Polski.
Nie było płotów; ludzie nie mieli czym palić na początku,

to sztachetami palili. I książkami –
ile ja tych książek przynosiłam z poniemieckiej szkoły po wojnie!
Z pierwszej sali i z drugiej, mniejszej. Dzieci, te starsze, biegały
i wybierały, niosły do domu.
Każdy ze wsi przychodził i brał

na rozpałkę.

2.

Wszystko się zmieni, mówił, Niemcy swoje odbiorą.

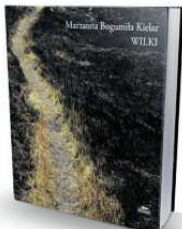
Za jego stodołą dół wykopany – głęboki – można było kredens schować.
Chodziły ekipy z metalowymi szpikulcami, prawdziwi „cathartes”!
Chociaż mówili o sobie: poszukiwacze skarbów.
Co znaleźli, to sprzedawali na Kurpiach, na Suwalszczyźnie.

Ludzie powiadali, że w kurpiowskich oborach krowy przeglądają się
w lustrach przywiezionych z Prus.



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*****Marzanna Bogumiła Kielar** – ur. w 1963 r., poetka, autorka licznych tomów (jej wiersze były tłumaczone na 23 trzy języki), doktor habilitowana nauk społecznych. Laureatka m.in. Paszportu „Polityki” i Nagrody im. Kościelskich. Wiersz za jej tomem „Wilki”, Wyd. Znak, Kraków 2023, nominowanym do tegorocznej Nagrody Literackiej Nike.



ani też kłamstw propagandy nie dostrzega, wierzy w nią bezgranicznie.

Stała się idealną poddaną, całkiem już zaślępioną. Nie widzi panoszącego się rasizmu, faszystowskich pochodów w Moskwie, nie widzi cynizmu KGB-owskiej mafii, bez żenady sławiącej dziś wszystko, co przez dziesiątki lat krwawo tępiła, nie widzi nawet tego, że władza czerpie natchnienie z prefaszystowskiej Czarnej Sotni, która urządziła pogromy „Pinchusom”.

Napisałem o Moric dlatego, że na jej przykładzie można zobaczyć, co się z ludźmi w Rosji stało. Lepiej jednak było pozostać z „małym narodem”, z filozofami dzielącymi włos na czworo. Może wtedy nic człowiek nie zdziała, ale przynajmniej zachowa przyzwoitość. Idąc zaś w nogę z „dużym narodem”, łatwo zabrnąć w szaleństwo i stać się duchowym uczestnikiem zbrodni.

Casus Junny Moric jest niewątpliwie psychiatryczny, ale w Rosji ma ona sporo wielbicieli, szaleństwo bowiem ogarnęło cały kraj. Nie jest to zresztą pierwszy taki przypadek – tak niegdyś u nas lubiana pieśniarka Żanna Biczewska zwariowała już dawno, a teraz nawołuje Rosjan do marszu na... Konstantynopol. Bo w Trzecim Rzymie pomyśle, żeby zając Drugi, nigdy całkiem z głów nie wywietrzały.

Mało tego, dzieci w szkołach słyszą, że dawniej „Alaska była nasza” i znów będzie nasza... W czasach Breżniewa jacyś dowcipnie ułożyli piosenkę, której bohater płynie łodzią podwodną i za chwilę wystrzeli pocisk nuklearny na Waszyngton, po czym następował wesolutki refren: „Tru la la, tru la la, wsio mogu za tri rubla”. Była to drwina z radzieckich zapędów militarnych, ale niedawno odgrzebano ją i całkiem poważnie dano do odśpiewania chórowi cerkiewnemu. I nie w jakiejś Pipidówce, tylko w Soborze Isakijewskim w Petersburgu!

Oto co chodzi po głowach ludziom w Rosji! To się oczywiście nie stało od razu; pracowano nad tym usilnie i nietrudno było przewidzieć, jaki kierunek obrano.

Czarno widzę przyszłość tego kraju. Stworzony przez Piotra I, ma wbudowany jakiś fatalny mechanizm, który nie pozwala utworzyć w nim trwałych instytucji obywatelskich; tylko one mogłyby zapęlić pustą przestrzeń między władcą a ludem. Mądrzy Rosjanie już w XVIII wieku widzieli konieczność ograniczenia władzy carskiej, tyle że carowie rzadko słuchają mądrych doradców. Powstało państwo nastawione na ciągłą walkę, państwo stanu wyjątkowego, w dodatku miotające się między terrorem a bezholowiem.

Teraz przyszła kolej na terror i nic dziwnego, że z Europą im nie po drodze. Duma nie pozwalała Rosjanom uczyć się od Zachodu, razila ich jego „rusofobia”, zwrócili się więc w stronę Chin i Korei Północnej. Rzeczywiście piękna perspektywa dla Rosji – zostać klientką Kim Dzong Una!

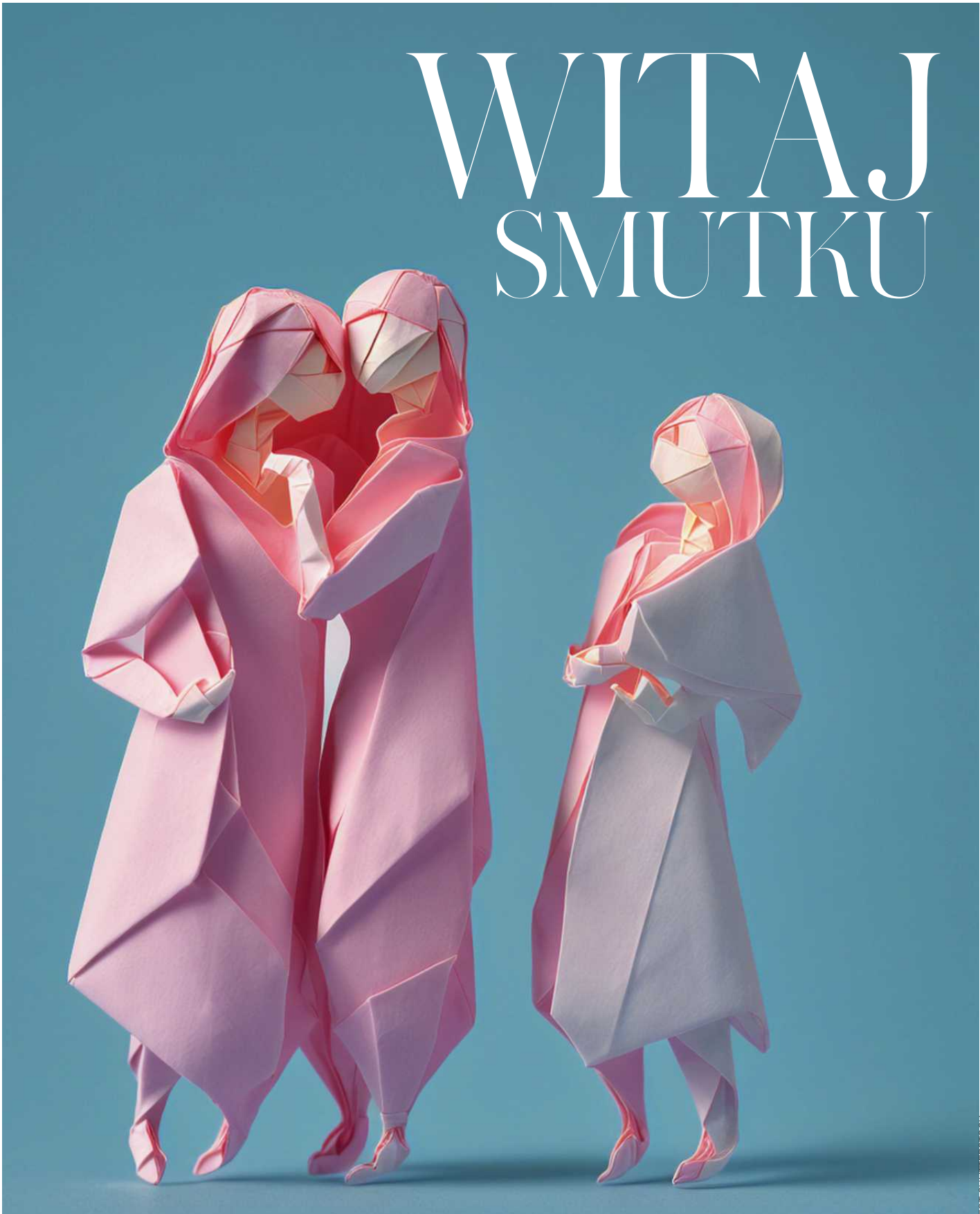
Chociaż... bardzo byłbym ciekaw, w jakiej walucie trzymają oszczędności jej najważniejsi dygnitarze w rodzaju Miszustina, Ławrowa czy choćby Zacharowej. Rękę bym dał sobie uciąć, że nie w oczysztych rublach. Na pewno też nie w juanach czy północnokoreańskich wonach. A wcale bym się nie dziwił, gdyby zaufali jakiejś rusofobicznej. ●



FOT. RAFAŁ MAŁKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jerzy Czech

• ur. w 1952 r., wybitny tłumacz literatury rosyjskojęzycznej, poeta, publicysta. Przekładał m.in.: Okudżawę, Sołżenicyna, Nadieżdę Mandelsztam, Wasilija Grossmana, Akunina i Swietłanę Aleksijewicz. Laureat nagród Gdynia i Angelus. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.



Jednostki i społeczeństwa, które żaloby nie znają i nie tolerują, stają się coraz bardziej bezwzględne.

Z FILOZOFEM **TOMASZEM STAWISZYŃSKIM** SPIERA SIĘ **EWA KALETA**

EWA KALETA: Od jakiegoś czasu próbuję się z tobą pokłócić na temat bezradności. Pewnie zauważyłeś.
TOMASZ STAWISZYŃSKI: Nie zauważyłem, ale skoro tak mówisz, to spróbujmy porozmawiać.

Zacznę od stoicyzmu, bo twoja zgoda na bezradność tak mi się właśnie kojarzy.
– A to ciekawe, bo ja się w ogóle ze stoicyzmem nie utożsamiam.

Nie jesteś stoikiem? Wygaszanie napięcia, reakcji na rzecz bezradnej zadumy.
– Zupełnie nie, a już na pewno nie chcę niczego wygaszać. Zwracam po prostu uwagę, że istnieją takie wymiary istnienia, życia, doświadczenia, które są ciemne i tragiczne i z których nie płyną żadne nauki.

Współczesna kultura stara się tych obszarów nie widzieć, udaje, że ich nie ma, a także monetyzuje nasze przed nimi lęki, podsuwając nam różne rzekomo ultraskuteczne sposoby na ich uniknięcie.
Tylko że ich się nie da uniknąć, prędzej czy później się o tym przekonujemy. W każdym razie ja nie zachęcam do jakiegś mentalnej samodyscypliny czy zobojętnienia wobec tragizmu życia. Przeciwnie – doceniam istotność smutku i rozumiem żywiołową rozpacz wobec śmierci, przemijania i odchodzenia.

Uważam, że jest odwrotnie: że mówiąc o ciemnych stronach kultury czy społeczeństwa, wpędzasz w bezradność, nie proponując w zamian nic innego, żadnego innego języka do rozumienia tego, co się dzieje. Zostaje pusta przestrzeń, nie do pomyślenia jest coś innego.
– Ciemne strony istnienia, kultury czy społeczeństwa po prostu są i nie bardzo rozumiem, na jakiej zasadzie mówienie o nich miało być „wpędzaniem w bezradność”. Ona sama natomiast to właśnie ma do siebie, że nie można nic zamiast niej „zapropnować w zamian” – gdyby można było, nie mielibyśmy do czynienia z bezradnością.
Nie szukam więc dla niej alternatywy, bo to wewnętrzna sprzeczność, lecz pytam, jaka postawa wobec niej jest lepsza

– czy odwracanie wzroku, udawanie, że jej nie ma, tak jak to się dzieje współcześnie, czy też może raczej stanięcie z nią twarzą w twarz?
Wybieram tę drugą strategię i proponuję, żeby kulturę opartą na efektywności, sprawności i sile, zastępować kulturą opartą na trosce, współczuciu i wspólności wynikającej z tego, że wszyscy jesteśmy podatni na przemijanie, choroby i śmierć. Czy to mało? W „Ucieczce od bezradności” piszę o tym „pozytywnym programie” bardzo dużo i dziwi mnie, szczerze mówiąc, że tego nie dostrzegłaś.

Kres języka, kres narracji, nie ma języka do buntu – uważam, że proponujesz ucieczkę do bezradności, a nie od niej, bo nie wprowadziłeś żadnego filozoficznego narzędzia zastępczego.
– Właśnie powiedziałem, co proponuję. Oprócz tego w „Regułach na czas chaosu” daję konkretne rekomendacje w związku z naszą aktualną sytuacją. Nie są one utrzymane ani w duchu poradnikowych, ani radykalnie rewolucyjnych mirażów.
Wobec obu tych pokus – rozwiązania wszystkich problemów przez wzmacnianie indywidualnej sprawczości albo wielką światową rewolucję, która obali system i dzięki temu zapanują pokój oraz szczęście – zachowuję daleko idący sceptycyzm.

Sięgam natomiast po takie postawy czy idee jak racjonalność, współczucie, unikanie polaryzacji, wspólnotowość.
Przestrzegam przed uleganiem intensywnym emocjom, zachęcam do dostrzegania potencjału przemocy najpierw w sobie, a nie w innych, uczulam na niebezpieczeństwa fundamentalizmów i myślenia spiskowego, sygnalizuję wagę negatywnych uczuć, podkreślam wartość takich instytucji życia społecznego, jak żałoba. Powtórzę – wydaje mi się, że poświęcam temu całkiem sporo miejsca.

Ale nie masz języka do pojmwania świata inaczej, wyrażasz po prostu nadzieję na coś innego lub tęsknotę za czymś, co było. Myślę, że los lub kapitalizm cię przechrztyły i wchłonęły twoją krytykę. „Bezradność”, „zgoda”, „powolne życie” i nawet słowo „troska” są już używane jak intelektualne gadżety albo biżuteria, dokładnie tak jak niedawno słowo „sprawczość”. Oznacza to, że w tym, co proponujesz, nie ma prawdziwej alternatywy.
– Ja naprawdę nie wzywam do obalania kapitalizmu, globalnej rewolucji albo czegoś w tym stylu, wręcz przeciwnie – od takich fantazji chcę się trzymać na duży dystans. Przyglądam się po prostu rzeczywistości, w której żyję, i staram się ją opisywać w sposób najbardziej precyzyjny, na jaki mnie stać. To po pierwsze.
A po drugie, wszystko może się stać intelektualnym gadżetem. To jednak, że ktoś robi z bezradności taki gadżet, nie nie zmienia w ludzkim położeniu w świecie. Ono naznaczone jest realną, a nie gadzeciarską bezradnością i bywa realnie, a nie gadzeciarsko tragiczne.
Wszyscy się o tym prędzej czy później przekonamy lub już przekonaliśmy. Zwracam tylko uwagę na to, że brak języka, którym o takich doświadczeniach możemy rozmawiać, a także brak symbolicznej przestrzeni w kulturze, gdzie da się je pomieścić, sprawia, że ta bezradność staje się jeszcze bardziej dotkliwa. I to wszystko.

Uważam, że fetyszyzujesz żałobę i stratę. Nikt nie chce trwać w żałobie, nie da się wypłaszyc gwałtownego zerwania łączności pomiędzy życiem a śmiercią, lukę pomiędzy wypełnić zadumą. Tam jest gwałtowne szarpnięcie. Nie chcemy w niej trwać, ona przemija. Aż do następnego szarpnięcia śmierci.
– Ale ja nigdzie nie napisałem, że mamy „trwać w żałobie”, nie wiem, skąd ten pomysł, podobnie nie przypominam sobie, że bym cokolwiek fetyszyzował. Nie zgodzę się natomiast z tym, że ona zawsze przemija. Niekiedy nie przemija, niekiedy trwa bardzo długo, czasami zaś – tak po prostu bywa, znam takie przypadki z własnego otoczenia – zdarzają się straty, po których człowiek już nie jest w stanie się pozbierać.
Można oczywiście udawać, że tego nie ma, medykaliżować to albo potępiać, niemniej takie historie się zdarzają, ale głównym problemem jest to, że jest dziś w kulturze na żałobę i smutek coraz mniej miejsca, coraz mniej tolerancji. Ciekawie piszą o tym Alan Horwitz i Jerome Wakfield w książce „The Loss of Sadness”.
Uważam, że to nam indywidualnie i społecznie czyni ogromne szkody. Jednostki i społeczeństwa, które żaloby nie znają i nie tolerują, stają się po prostu coraz bardziej bezwzględne.

A jeżeli nie towar, to co? Rytuał, tak?
– Rytuał, instytucja, język symboliczny. Coś, co jest w stanie zjednoczyć nas w obliczu przemijania, słabości, śmierci, straty. Kiedyś takim językiem symbolicznym było na Zachodzie chrześcijaństwo. Jednak w ciągu ostatnich stu lat jego pozycja mocno podupadła.
W pustym miejscu po chrześcijaństwie pojawiła się jednak nie nowa, racjonalna, świecka kultura, lecz narracje tożsamościowe, pseudonauka, teorie spiskowe i skomercjalizowane ezoteryzmy. Tworzy to konfliktogenną mieszkankę, która tylko

pogłębia problemy, na które stanowić miała rzekomo panaceum.

Skądinąd wydaje mi się, że chrześcijaństwo będzie się odradzać i wracać do gry, wcale nie w formie fundamentalistycznej. To się zresztą już zaczyna dziać.

Na bazie jakich obserwacji powstało to proroctwo?

– Choćby na bazie tego, co się dzieje wśród niedysyjszych nowych ateistów. Peter Boghossian, autor „Przewodnika dla ateistów”, jednej z ważniejszych książek tego nurtu, publicznie przeprosza dzisiaj za krytykę chrześcijaństwa, uważa bowiem, że stanowiło ono istotną kulturową siłę pozytywnie wpływającą na ład społeczny.

Na przykład – wbrew diagnozom Richarda Dawkinsa i spółki – było tamą dla irracjonalizmu, bo między innymi staranie rozgraniczało domenę sacrum i profanum, tę pierwszą traktując zresztą bardzo ostrożnie. Dlatego właśnie w obliczu kryzysu chrześcijaństwa irracjonalizmy, miast zniknąć, zaczęły się rozwijać bez opamiętania.

Drugą postacią w obrębie tego ruchu, która dziś otwarcie mówi o swoim nawróceniu, jest Ayaan Hirsi Ali, z pochodzenia Somalijka od lat mieszkająca na Zachodzie, aktywna krytyczka wojującego islamu, przez wiele lat adwokatka racjonalności à la Bóg urojony.

Niedawno Ali opublikowała tekst „Why I Am a Christian now” – którego tytuł nawiązuje do głośnego eseju Bertranda Russella „Why I Am not a Christian” – w którym stawia tezę, że na Zachodzie panuje dziś głód sensu, duchowa pustka.

Kiedy świat islamu się konsoliduje i ekspanduje wokół żywej, motywującej do działania ideologii – skądinąd podobnie jak Rosja – Zachód pogrąża się w autonegacji.

A przecież, żeby sensownie bronić takich wartości, jak tolerancja, różnorodność, pluralizm, wolność słowa i myślenia, prawa kobiet, demokracja itp., potrzebujemy języka i perspektywy, w których będziemy w stanie te wartości uzasadnić.

Tymczasem pogrążamy się w jałowej samokrytyce albo samoznających się dywagacjach o tym, że zachodnia kultura to kultura wyłącznie opresyjna i kolonialna, źródło wszelkiego zła, albo że wartości to tylko społeczny konstrukt, konwencja i żadne nie są lepsze niż inne.

Donikąd to nie prowadzi i ludzie czynają to moim zdaniem po prostu coraz częściej dostrzegając. Tymczasem chrześcijaństwo jest najlepiej nam znaną sferą symboliczną, pojęciową, filozoficzną, która z jednej strony daje narzędzia do rozmowy o sprawach fundamentalnych – życiu, śmierci, sensie, przemijaniu, dobru i złu – z drugiej natomiast ugruntowuje wartości w czymś obiektywnym.

Cyniczne te nawrócenia – ani słowa o Jezusie, a dużo o kulturze i zyskach. To jakby zawołać w połowie życia: hej jest może jakiś inny pakiet? Bo tamten wcześniejszy nie obejmuje chorób i umierania.

– Skąd wiesz, że cyniczne? Ja w tym widzę nie cynizm, tylko konstatację, że być może coś przepatrzyliśmy, czegoś nie docenialiśmy, w coś za bardzo uwierzyliśmy. Szukaliśmy nowych filozofii, nowych źródeł, a okazuje się, że w tych starych, traktowanych po-błażliwie i protekcyjnie, mamy wciąż żywe przesłanie, które jest właśnie tym, czego uprzejmie poszukujemy gdzie indziej.

Zresztą tym wszystkim dyskusjom o chrześcijaństwie w dzisiejszym świecie towarzyszy przekonanie o konieczności wypracowania nowych sposobów myślenia i mówienia o tej religii. O oczyszczeniu propagujących ją instytucji już nawet nie wspominając.

Moim zdaniem to dowód na kryzys intelektualistów i współczesnych filozofów. Wybieramy instytucję, która będzie przekształcać nasze doświadczenia w symbole, nie wspominając o postaci

kluczowej, jaką jest Jezus, nie wytwarzamy żadnych nowych myśli, jedynie krytykę dnia wczorajszego jak np. Byung-Chul Han i jego opis społeczeństwa zmęczenia. Wypalenie, o którym pisze filozof, nie dotyczy chociażby matki, która mieszka w starej kamienicy bez windy i codziennie rano zimą musi zawieźć dziecko wózkami do przedszkola. Byung-Chul Han mieszka tak jak ja w stolicy europejskiego miasta, dzieli nas około 600 km, a żadna z jego tez nie pasuje do mojego życia.

– O Jezusie mnóstwo jest mowy, jest to bowiem centralna dla chrześcijaństwa figura. Co do „wytwarzania czegoś nowego” natomiast – to dopiero fetysz. Skąd założenie, że zawsze i koniecznie trzeba „wytwarzać coś nowego”? Skąd to wiadomo?

Może czasami warto właśnie zastanowić się nad tym, czy się w imię tych rzekomo lepszych nowości nie odrzuciło czegoś wartościowego? I pewną odwagą jest przyznanie się do takiej pocho-pności, próba ponownego przemyślenia swoich decyzji. Ja w tym nie widzę nic problematycznego, wręcz przeciwnie.

A Hana bardzo lubię – zauważyłem, że w kręgach lewicowych zapanowała pewna moda, żeby go krytykować, posądzać o jakieś „odchylenie konserwatywne”. Zupelnie mnie to nie interesuje, przyznam, bo interesuje mnie wyłącznie, czy on adekwatnie opisuje świat, a nie to, czy ten opis jest zgodny z jedną lub drugą ortodoksją. Oczywiście nie każdy musi się w tym odnajdywać.

Ale podsumowanie wczorajszej rzeczywistości prowadzi właśnie do bezradności. Opisuje bezradność i ją wytwarza.

– Mogę mówić tylko za siebie. Dla mnie warunkiem możliwości sensownego działania jest uświadomienie sobie sytuacji, w której się znajdujemy. W największą bezradność wpędza właśnie nierealistyczna ocena własnych sił i możliwości.

Mamy dziś trzy główne fantazje, które nam taki nierealistyczny obraz świata i siebie podpowiadają: późnokapitalistyczna fantazja o tym, że człowiek może wszystko, jeśli tylko będzie tego bardzo chciał – przekroczy każde ograniczenie, każdy próg; rewolucyjna fantazja, w myśl której struktura społeczna, wszystkie kategorie i role kulturowe są arbitralnym produktem opresji i jeśli tylko wymodeluje się je na nowo, zapanuje powszechna szczęśliwość; oraz tradycjonalistyczna fantazja, w myśl której istnieje jakaś niewidzialna, przedustawna harmonia, jakiś odwieczny porządek rzeczy i jeśli tylko świat społeczny zycznie na nowo mu odpowiadać – tak jak to ponoć było dawno, dawno, temu – wówczas zapanują harmonia i porządek. We wszystkich tych trzech przypadkach o bezradności nie chce się pamiętać, nie chce się jej znać.

Moim zdaniem takie myślenie wytwarza – po lackanowsku – życie niewarte śmierci, niewarte ryzyka.

– Twoja teza jest tak stanowcza, a zarazem ogólna, że nie potrafię ani się z nią zgodzić, ani nie zgodzić.

Tracimy poczucie, że istnieje prawda, na rzecz wielu prawd. Tracimy połączenie z własnym losem na rzecz homogenicznych scenariuszach życia.

– Zgadzaam się, że pojęcie losu zniknęło ze współczesnego słownika, zastąpiły je takie hasła, jak „programowanie kariery”, „programowanie szczęścia”, „projekt życiowy” i tym podobne. A dewaluację pojęcia prawdy mam za jedno z najbardziej dewastujących zjawisk współczesności.

Okazuje się bowiem, że tam, gdzie tracimy kryterium prawdy – ba, gdzie tracimy w ogóle świadomość, że prawda jest możliwa – tam wcale nie pojawia się wyłącznie ciekawa, kolorowa różnorodność, lecz przede wszystkim siła.

Dlatego w świecie bez prawdy świetnie czują się politycy w rodzaju Putina czy

Trumpa, dlatego rozwijają się tu bez opamiętania teorie spiskowe – zarówno po prawej, jak i po lewej stronie sceny politycznej.

Zasada jest tu taka: ludzie uznają za prawdę to, co się im w sposób najbardziej sugestywny, odwołujący się do ich najprostszych pragnień oraz emocji za prawdę przedstawi. A ponieważ emocje uchodzą dziś często za znacznie szlachetniejszą funkcję poznawczą niż myślenie, stajemy się coraz bardziej podatni na takie perswazje.

Wydaje mi się, że chrześcijaństwo wraca do gry, wcale nie w formie fundamentalistycznej

Czy masz taką ambicję, żeby mówić o tym, czym jest prawda?

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem stwierdzenie „mówić, czym jest prawda”. Nie mówię o jakiejś prawdzie przez duże P, prawdzie metafizycznej dotyczącej natury wszech-zeczy, tylko o tym, że istnieją zdania prawdziwe i fałszywe.

A zatem istnieją opisy świata prawdziwe i fałszywe, bo prawda to tyle – i aż tyle – co zgodność opisu z rzeczywistością. Różne mamy sposoby i metody, żeby do rzeczywistości się przybliżać – nauka jest taką metodą, pod wieloma względami najdoskonalszą, choć nie jedyną, bo przecież na swój sposób prawdę odsłaniają nam choćby także literatura czy sztuka.

W szerokim sensie postawą, która sprzyja osiąganiu prawdziwych zdań, jest moim zdaniem racjonalność – zespół takich praktyk i idei, które, posilku-jąc się logiką, rozumem i empirią, prowadzi nas do rzeczywistości, zamiast od niej oddalać. Ale dookoła mnóstwo dziś różnych uwodzieielskich idei, które działają na odwrót.

Jakie konkretnie?

– Na przykład myślenie spiskowe albo narracje operujące „tożsamościową definicją prawdy”, jak to nazywam w „Regułach na czas chaosu”. To znaczy definicją, w myśl której najistotniejsze jest nie to, co się mówi, lecz kto to mówi.

Teorie spiskowe natomiast przenikają przez wszystkie płaszczyzny i sfery dzisiejszego życia publicznego. W Polsce każda strona coraz bardziej radykalnego politycznego sporu ma swoje własne spiskowe opowieści. I to jest naprawdę bardzo niepokojące.

Bunt dziś nie przybiera formy realnej, nikt nie zaświadcza swoim życiem chęci zmiany, bo nikt z nas nie jest gotowy na straty. Dla mnie to kwintesencja bezradności.

– Bunt dla samego buntu nie jest dla mnie żadną wartością, co więcej – często bywa zupełnie bezproduktywny. Dodatkowo dzisiaj staje się nazbyt często jakąś formą teatru, sposobem na akumulowanie uwagi w mediach społecznościowych.

W moim przekonaniu znacznie bardziej potrzebna jest po prostu sensowna zmiana wynikająca z realnej potrzeby, jakiegoś uświadomionego systemu wartości, realistycznej oceny sytuacji, w której się znajdujemy, oraz naszych własnych możliwości. Intensywne afekty i potrzeba buntu za wszelką cenę wcale w tym nie pomagają.

Czyli mamy się buntować powrotem do instytucji religijnych i normalnym życiem? Mam na myśli działanie wobec świata, który sam krytykujesz, gdzie utracono sens na rzecz produkcji zadowolenia.

– Ale my się naprawdę wcale nie musimy buntować. Sądzę, nawiasem mówiąc, że zamiast się buntować, powinniśmy dziś raczej uczyć się słuchać siebie nawzajem, rozmawiać ze sobą, lepiej rozumieć tych, którzy myślą od nas inaczej, opanowywać plemienną odruch w mediach społecznościowych.

Większa uważność na innych, wyjście z polaryzacji, porzucenie wielkościowych fantazji o tym, że jesteśmy czyści i szlachetni, a całe zło to nasi polityczno-ideowi przeciwnicy – tego nam dzisiaj potrzeba znacznie bardziej niż jakiegoś abstrakcyjnego buntu.

Podobnie jak głębokiego sensu i celu w życiu oraz elementarnej w nim stabilizacji, przewidywalnej codzienności. Wydaje mi się, że ludzie do tego przede wszystkim dążą. I w sumie trudno się dziwić.

Tomek, ale kto to jest ten zwykły człowiek? Nawet jeśli chcesz, żeby dziecko poszło bezpieczne do szkoły, możesz mieć w głowie bunt wobec tego, co cię otacza. Nie ma kogoś takiego jak zwykły człowiek.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy zwykłymi ludźmi, tylko wolimy tego nie widzieć i pogrązać się w wielkościowych fantazjach.

Nie zgadzam się z opisem, w którym po jednej stronie mamy pogrążoną w jakimś letargu większość, a po drugiej garstkę przebudzonych buntowników, którzy próbują wytrącić tamtych z uśpienia. Mam wrażenie, że jest odwrotnie – jesteśmy dziś w stanie jakiegoś zbiorowego wzmożenia i pobudzenia, miotają nami intensywne emocje, żyjemy od oburzenia do oburzenia, tyle że tak naprawdę niewiele z tego wynika.

Być może dlatego, że za dużo się emocjonujemy, buntujemy i oburzamy, a za mało zastanawiamy nad tym, czego faktycznie chcemy i jak można by to osiągnąć. To jest niestety na rękę zarówno politykom, jak i wirtualnym korporacjom, obie te grupy czerpią korzyści z naszego rozemocjonowania.

Żal, że my nie mamy swojego krzyku, dorośli w średnim wieku. Musimy jedynie przemijać?

– Myślę, że zamiast krzyku potrzebujemy raczej spokojnej, racjonalnej rozmowy. Krzyku jest dookoła zdecydowanie za dużo. A z przemijaniem niestety nic się nie da zrobić, nie zatrzymamy go, choćbyśmy się nie wiem jak przeciwko niemu buntowali. ●



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tomasz Stawiszyński

- filozof, eseista, autor książek, m.in. „Po-tyczki z Freudem”, „Co robić przed końcem świata”, „Ucieczka od bezradności”, „Misja Sowy”, „Reguły na czas chaosu”. W Radiu TOK FM prowadzi m.in. „Godzinę filozofów”. Twórca podcastu „Skądinąd” (www.patronite.pl/skadinad). Jest stałym felietonistą „Tygodnika Powszechnego”. Jego teksty i audycje można znaleźć na stronie www.stawiszynski.org.
- 13 listopada nakładem wydawnictwa Znak Literanova ukaże się jego nowa książka pod tytułem „**Powrót fatum**”





• Gustaw Gottesman, Tadeusz Konwicki i Gustaw Holoubek w kawiarni „Czytelnika” przy ul. Wiejskiej w Warszawie, 1982r. FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

JEDEN DZIEŃ ŻYCIA WARSZAWSKIEGO LITERATA

Wychodząc z domu, staram się. Żeby na placu Trzech Krzyży być o pełnej godzinie. Wystarczy, kiedy wyjdę pięć minut przed, najchętniej przed dwunastą, zdążę. Staram się, żeby o tej pełnej przystanąć pod Instytutem Głuchoniemych. Pod jego zegarem, co godzinę wygrywa on początek „Pierwszej Brygady”.

Mało kto wie, że to ocalały, najstarszy dziś zegar miasta, że bije bez przerwy dwieście prawie lat i nie zatrzymał się nawet w czasie okupacji i powstania warszawskiego. Więc jeśli Warszawa ma jednak serce, to nie są to Łazienki, ale ten zegar właśnie.

Stoję więc, słucham i patrzę na ulicę, o tej godzinie przejeżdżał tu kiedyś samochód, a w nim Łapicki, Konwicki, Holoubek. Wróć do nich w tym aucie, ale naprzód odrobnie zadanie domowe pod tytułem „Napisz coś ciekawego o tej książce”. Napiszę więc tro-

Jeśli idę na premierę do Tarasów, muszę wcześniej do Żabki, jem w trakcie filmu, od jakiegoś czasu nie ma bowiem po projekcji jedzenia, tylko alkohol

Janusz Rudnicki

chę, a potem w nagrodę wyjdę sobie na podwódkę, pomasz po mieście jako warszawski literat.

Trójca

Dwie małe uwagi. „W Czytelniku przy stoliku”? No trochę taki młodzieżowy tytuł, jako redaktor zasugerowałbym „Czytelnik i okolice”, nieskromnie uważam, że lepszy, bo dla czytanych, prawda? No i to, parę razy pada w książce moje nazwisko, ale nie wiem, dlaczego autor myli moje imię i uparł się, że ja to Adolf. Boli to trochę, ponieważ Adolf był próżny, kiedy przychodził do Czytelnika, potrafił zapytać, co mówią o mnie na mieście. Poza tym był skąpy, a ja nie byłem i nie będę, bo żeby być skąpym, trzeba coś mieć.

Książkę otwiera cytat z Ernesta Brylla. Że władze PRL-u artystów w knajpach „koszarowały”, żeby mniej były dla niej groźne. Tu chodziło mu też zapewne o wentyl, czyli o funkcję wyżycia się. Że były one rezerwatami i dzięki nim trzymano ich na dystans od społeczeństwa.

Efektowne, ale nikt jeszcze nie widział, żeby do Czytelnika literaci przychodzili pod lufą, jeśli, to po lufie. I gdzieżby mieli się spotykać? Ptaki na drzewach i dachach, pszczoły w ulach, a oni jako ludzie? No właśnie. Że razem mniej groźni?

Więcej listów protestacyjnych zostało w Czytelniku podpisanych niż autografów. Byłoby tak, gdyby ci „jaśnie oświeceni wrogowie Polski Ludowej” (Gomułka) pełzali

po mieście osobno, a nie siedzieli w jednych koszarach? No właśnie.

W przypadku tej akurat książki zadanie moje, żeby jak zwykle trochę o niej opowiedzieć (a nie recenzować, halo?), mam ułatwione. Ci, dla których literatura i jej okolice to teren obcy, po nią nie sięgną. A wam, czyli osobom literackim i okołiterackim, nie muszę pisać, że wielka piątka skamandrytów to Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski, Lechoń i Wierzyński.

Że Gombrowicz przesiadywał w Ziemiańskiej (i w Zodiaku), a w Czytelniku panna trójca Konwicki – Holoubek – Łapicki, no i wiadomo, Henryk Bereza, Kutz, Głowacki. Może niewielu wie o Irene Szymańskiej, ale za to wszystko chyba o Himilbachu i trudno, żeby zaskoczyć tu kogoś jakimkolwiek cytatem.

No, może tego nie znalazłem: pożyczal od wszystkich i nikomu nie oddawał, wiadomo, ale raz dostał gażę za rolę i uniósł się honorem, oddał komuś tam stówę, potem pił, stawiał, pił, aż mu się pieniądze skończyły, więc znowu próbował pożyczyć, ale każdy mu odmawiał, mówiąc, że nie ma, więc na końcu, zdesperowany, zapytał tego, któ-

remu pożyczył: pożycz stówę, co? Przecież wiem, że masz.

Odgadywanie rymów surowo wzbronione

Jeśli będziecie na Nowym Świecie, idźcie pod numer 57 i pokłońcie się. Tu w roku 1918 niepodległość odzyskała też poezja. Kawiarnia Pod Picadorem była jej stolicą. Skamandryci postawili w niej podest i tenże stał się trybuną, z której wierszami rozgrzewali publiczność do czerwoności.

Picador był pierwszą kawiarnią literacką łączącą salon i scenę, i w zasadzie ostatnią tak ważną i tak popularną. W niej pierwszy miał występ i pierwsze honorarium autorskie dostał Iwaszkiewicz, a z publiczności wstał nikomu nieznany młody facet, powiedział, że też jest poetą, wyszedł na scenę, zaczął czytać i wkrótce wyszedł pierwszy tomik Wierzyńskiego.

Już ulotka na otwarcie miała charakter manifestu. Jak wyzywającym było akurat w dniach odzyskania niepodległości napisać, że na wieczór zaprasza „Wielka Kwartera Głównej Armii Zbawienia Polski od całej współczesnej literatury ojczystej”. Jaką ulgą byłoby dla dzieci i młodzieży dziś, gdyby szkoły stały się Armią Zbawienia od całej literatury ojczystej.

W cenniku Picadora kwota na przykład za „objaśnienie przeczytanego utworu”. A w regulaminie za niedopuszczalne uważa się „bicie poetów krzesłami, laskami lub tzw. rękoma”. A mój ulubiony paragraf to ten: „Odgadywanie rymów podczas czytania wierszy surowo wzbronione”.

Trochę żal, że skamandryci tego połączenia wolnej trybuny i salonu sami nie wymyślili, ale skopiowali. Od Kawiarni Poetów 66 (lub Futurystów). Od przyjaciół Moskali. Żadnych jałowych rozmów o literaturze w grupach o podgrupach, dwa fronty, artyści literaccy ze sceny bombardują słowami widzów na krzesłach, już przy wejściu na ścianie szkokujący cytat z wiersza Majakowskiego jak obuchem w głowę: „Lubię przyglądać się, jak umierają dzieci”.

Dalbym jednak głowę, gdybym miał dwie, że futuryści rosyjscy zrobili to samo co nasi skamandryci, pomysł na taką właśnie kawiarnię, na taki salon przejęli oni również od knajpy dla artystów (Künstlerkneipe) o nazwie Cabaret Voltaire w Zurychu.

Od miłości mojej młodości, czyli od ruchu dada. Jego „Niech żyje absurd” i jego walka o wielkie „Nic” ciekawsza dla mnie była niż boje o jakiegokolwiek „Coś”. Dowodem na inspirację Rosjan Tristaneem Tzarą i dadaistami niech będzie czas, Cabaret Voltaire powstaje w roku 1916, Kawiarnia Futurystów w roku 1917, my rok za nimi. Sztafeta czasu.

Szkoda peiperu i putramentu

Nie wiedziałem, że skamandryci byli aż tak wpływowi i aż tak uwielbiani. Po Picadorze na półpiętrze w Ziemiańskiej rezydowali jak królowie, już sam fakt otrzymania własnego stolika oznaczał przecież prestiż i władzę, był jak tron.

To byli prawdziwi idole, wielu ich wielbicieli przychodziło na Nowy Świat tylko po to, żeby zobaczyć ich chociaż przez szybę. Mieli sławę i pieniądze, dwa własne piśma i amunicję na wrogów. Tych spoza klanu, bo mając koneksje z ministrami, byli klanem, potrafili załatwić jednym kalamburem: „Szkoda peiperu i putramentu”.

Byli „grupą trzymającą władzę”, byli „literackim areopagiem”, mieli wpływ na cały obieg literatury, ich wyroki mogły postawić na nogi lub położyć wystawiane sztuki i wydawane książki.

W swojej Ziemiańskiej siedzili jak w niebie, w przenośni i dosłownie, bo otoczeni chmurą, ale siną, z papierosowego dymu. Jakby ktoś wrzucił do środka świecę dymną, tak w tych kawiarniach bywało. Wzrok trzeba było przyzwyczaić, żeby z konturów rozpoznać jakąś sylwetkę i twarz. I jeszcze ten gwar, gwar to mało, harmider, jeden przekrzykiwał drugiego, drugi trzeciego itd.

I takie to były ich problemy w tej wolnej jeszcze Polsce, mieli szczęście, że młodość ich przypadła na ten czas, bo przyszła wojna, a po niej komunizm.

Zapomniałem, że nie siedziałbym co tydzień w kawiarni Czytelnik, gdyby nie facet, który redagował manifest PKWN. Dzięki niemu powstało osiemdziesiąt lat temu wydawnictwo Czytelnik, miesięcznik „Twórczość” również. Dziennik „Rzeczpospolita” też. Miłosz: „Z niczego zbudował swoje państwo książki i prasy. Wszystko od niego zależało”.

Z tym „państwem” Miłosz nie przesadził, wrzucenie w jednym koncercie do jednego worka wydawanie książek, prasy, drukarnię, dystrybucję i księgarnie było wtedy rzeczywiście nowatorskie. Masowy kolportaż umożliwił dotarcie książki pod strzechy, wyobraźcie sobie, że Czytelnik kupuje listonoszom na prowincji rower, aby mogli szybciej i sprawniej dowozić publikacje wydawnictwa.

A jeśli wam mało, to proszę bardzo, zaraz potem wyszły w teren autobusy z obwoźnymi bibliotekami. Kto nie wierzy, tego może przekona cytat z pierwszej powojennej szopki, jedna z kukielek mówi: „Gazeta w każdym mieście/ Wkrótce będzie ich dwieście/ Gdzie spojrzeć, tam drukarnia/ Gdzie pluć, tam księgarnia”. Dzisiaj jedynie chyba Żabka mogłaby się zmierzyć z ichniami wtedy ilością. No dobra, wiele to ludziom pod strzechami nie dało, ale intencja była szlachetna.

Nie wiedziałem, że potęgą Czytelnika była tak zawrotna. Utrzymywał zespoły artystyczne, miał domy wypoczynkowe, no dobra, dzisiaj też są, ale miał też sieć stołówek pracowniczych. Co więcej, miał farmy rolne, które stołówki te zaopatrywały w szwininę.

Konwicki: „Pamiętam, że w roku 1949 Czytelnik wznowił nawet wyciecz kolarski dookoła Polski”. Krążył dowiec, że Borejsza, bo jasne, że o niego chodzi, pojechał do Ameryki, żeby Stany Zjednoczone przyłączyć do Czytelnika.

Jego gabinet to było „serce krwiobiegu polskiej literatury”. Ten z postury kawalał chłopca, nieuleczalny komunista z przekonania, snob i jowialne panisko z charakteru siedział w nim przy wielkim biurku otoczony telefonami w liczbie pięć, wtedy.

W czasie – w którym każdy pojedynczy z nich stanowił symbol siły, władzy, koneksji – on miał ich pięć. I przed każdym z pokornych petentów odstawiał swój show o potęgze. Łączył się przed nimi z Bierutem, Bermanem, rozmawiał z Aragonem, ba, miał nawet gorącą linię z Moskwą. Która skończyła się jako pierwsza, a potem następne, bo coraz to większa zaczęła wschodzić się nad Polską zakazana mordą stalinizmu.

Mała wolność w małej kawiarni

Kawiarnie literackie w powojennej Warszawie i późniejsze, aż do lat 70.? Wystarczy, jeśli chodzić będziemy jak cień za Slonimskim. Nie wszędzie, niektóre ominę, inaczej rozsądzi mi ramy tego tekstu.

Idziemy więc za nim na małą ulicę Foksal, na niej samej „wysypisko grzybów”, więcej niż dziś w całej stolicy. Zajrzy do jednej z trzech Kameralnych (trzecia o rzut kamieniem na Kopernika), wpadnie do Stowarzyszenia Dziennikarzy, ale najdłużej pobawi na parterze pod numerem 17, w kawiarni PIW-u, zwanej też Cafe Snob.

Przy jego stoliku Ważyk, Cat-Mackiewicz jako grupa „starców” i młodszy Dygat, Konwicki, Kott, Lipski (potem dojdzie też Polański i Michnik, Osiecka). Wpadną ci, którzy dopiero co wyszli z więzienia, w czasie odwilży. Przyjdą też raz Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir, przekonani, że to mekka prawdziwych komunistów.

Ta mała kanciapa stała się pierwszym okopem pierwszej opozycji w PRL-u, w niej Janusz Szpotański układał sobie w głowie strofy pamfletu „Cisi i gęgacze” na PRL i Gomulkę, i to o nią chodziło temuż, kiedy darł japo: „Chłop polski sieje, orze, robotnik pracuje w hucie, a inteligenci schodzą do piwnicy, pijo kawę i szydzą!”.

I w niej to powstał „List 34” przeciwko szalejącej cenzurze, a jego listonoszem był sam Slonimski, który podreptał z nim prosto do kancelarii premiera Cyrankiewicza i go tam złożył. Jak pasuje do nich opowiada Kazimierza Brandysa: „Zwrócono się kiedyś o podpis do dwóch intelektualistów. Jeden odmówił: »Nie mogę podpisać, mam syna«. Drugi odkręcił długopis: »Muszę podpisać, bo mam syna«. Jeśli zapytacie, dlaczego nie „dziecko”, odpowiem, bo córki się wtedy jeszcze nie rodziły.

Państwo proletariackie, rządzone przez człowieka, który w normalnym świecie byłby najwyżej magazynierem, przstraszyło się małej wolności w małej kawiarni. Jej bywalcy zostali ochrzczeni jako „elementy wyrotowe” i zaraz po Marcu ’68 kawiarnię PIW-u zamknięto. Mało tego, jako że wolność była czymś wywrotowym, prezes PIW-u Bębenek Stanisław nakazał ją zamurować, żeby nie wyszła ta wolność na miasto.

Jak to możliwe, że Holoubek i Konwicki mieli ten sam rozmiar buta?

Ale wyszła, Slonimski z Foksal skreślił w lewo na Nowym Świecie, minął rondo de Gualle’a, minął plac Trzech Krzyży i wszedł do suterenu na Wiejskiej. W której za domowieni już byli Konwicki i Tyrmand – i tak kawiarnia Czytelnik, która powstała również na fali odwilży, stała się nowym kopcem dla bezdomnego mrowiska z Foksal.

Zawsze w otoczeniu wielbicieli, ptasi, chudy, w okularach, dystygnowany, ubrany w stylu angielskim – to Slonimski w ujęciu Marka Nowakowskiego. I jeszcze, każda jego wypowiedź to salwy śmiechu, a pamiętajmy, że nic tak nie łączy grupę jak wspólnota śmiechu. Odczekiwał aplauz, popijając kawę, i mówił dalej. Pierwszy i ostatni standuper ze skamandrytów.

W Czytelniku nie będzie przesiadywał długo, ale my już za nim nie pójdziemy, zostaniemy na Wiejskiej z Konwickim.

Ona

„Faktycznie całą polską literaturą od ponad 40 lat rządzi zaś jedna kobieta z kawiarnianego stolika”.

To Urban o Irenie Szymańskiej, dziś nieco już zapomnianej. Zaczęła jako sekretarka Borejszy i pięła się do góry jak Aleksandra Mirosław. Komu książka wychodzi na rynek, a komu bokiem, zależało od niej. Początek kariery Konwickiego, Białoszewskiego, Myśliwskiego? Ona. Pierwsze wydanie „Ferdydurke”? Ona. Kto może się przysiąść do stolika w Czytelniku, a kto też może, ale sam, do innego, zależało od niej. I od Konwickiego, i Holoubka.

Z niepisanych reguł stolika podoba mi się między innymi ta o witaniu się i żegnaniu bez podawania ręki, jaka ulga. Ten szantaż wyciągniętej ręki, ten przymus podania swojej. Najchętniej bym ją oddał temu, który mi ją ściska, niech se ją weźmie już na zawsze. Lub zakaz opowiadania snów, też ulga, ledwo ktoś zacznie, już zasypiam. Lub to: największa zbrodnia to odczytywanie własnego tekstu, pełna zgoda, jaka to przeemoc, kiedy ktoś tańczy na rurze swego narcyzmu.

Tematy główne? Przy stoliku literackim o literaturze mówi się incydentalnie, co pisze na przykład Konwicki, wszyscy dowiadują się dopiero po tym, kiedy to wydaje. Jak na wolnościowy okop przystało, tematem numer jeden jest wróg, w kolejności Gomulka, Gierek, Jaruzelski. Nie ma wolności słowa na łamach i na mieście, to będzie w kawiarni.

Solą w oku władzy ludowej były te literackie kawiarnie, przejmowała się ta władza wszystkim, co się o niej mówi, wściekała się na każdy nawet parozdaniowy i podpisany przez kilkanaście osób protest („Apel

siedemnastu”). I wprowadzała represje, zamiast tę salonową opozycję po prostu ignorować.

Na szczęście dla nas na to byli za głupi, no bo przecież umówmy się, trochę chyba demonizuje się dziś wpływ literatów na stosunki narodowe w PRL-u, przesadza się, pisząc, że z kawiarnianego stolika sprawowali oni „rząd dusz”.

Konwicki patrzy w górę

W latach 1993-94 Jacek Żakowski publikuje w „Wyborczej” trzyczęściowy tekst o znanym skądinąd tytule, „Przy stoliku w Czytelniku”. Konwicki obraża się na tyle, że opuszcza stolik, i to na parę lat, a co po stoliku, w którym nagle brak jednej, najważniejszej jego nogi?

Opuścili go wszyscy. Oprócz tego, że Żakowski miał naruszyć jego intymność, ugodził w prywatność, Konwicki nie mógł też przelknąć pasowania stolika na „sztab główny walki o Polskę suwerenną i niepodległą”. I on, i Holoubek poczuli się zażenowani, czynna opozycja była gdzie indziej, a oni sobie przede wszystkim po prostu spędzali wesoło czas.

Jeśli Żakowski przesadził, to przesadził też Konwicki. Omijam już wszystkie przez niego inicjowane i podpisane listy protestacyjne, w roku 1977 oddając „Kompleks polski” do „Zapisu”, stał się pierwszym autorem powieści wydanej w drugim obiegu. Co oznaczało, koniec z książkami w księgarniach, w bibliotekach, koniec z pojawianiem się jego nazwiska w gazetach, podręcznikach, słownikach.

Dwa lata później wychodzi wspaniała, kultowa „Mała apokalipsa”, mająca na młode wtedy wilki wpływ przemożny, wiem, co piszę, więc to nie całkiem tak, że stolik w Czytelniku miał charakter li tylko towarzyski.

Po rozwodzie z Czytelnikiem Trójca spotyka się u Bliklego. Potem z Trójcy zostaje Dwójka, pierwszy umiera Holoubek. Potem Łapicki, a równo miesiąc po nim sąsiad po stoliku Bereza, Konwicki zostaje sam. Jego codzienna trasa po centrum Warszawy znana, ale mniej znany fakt, że z czasem celował tak, żeby być przed pełną godziną pod Instytutem Głuchoniemych, żeby zdążyć na takty „My, Pierwsza Brygada”.

I nie wiedziałem, że w tej swojej pielgrzymce często unosił głowę do góry, wypatrywał samolotu, był spokojny, jeśli doliczył się ich więcej niż dziesięć.

W Czytelniku siedział pod ścianą też sam. Taki „leśno-kawiarniany”, jakby do stolika przyszedł „z uroczyska, cały w ochronnych barwach, szary, ziemisty, w kolorze drzew i tłumy, oczy patrzące jak z zarośli”. To świetne oko Kazimierza Brandysa, znali się jak łyse konie, „przywizały nas do siebie lata pchane razem jak taczki”. Dodałbym ten głos Konwickiego jak zatarty silnik z łańcuchem rozrządu do wymiany.

Wyszedłem za nim kiedyś na Wiejską i śledziłem go. Często patrzył w górę, nie wiedziałem wtedy o tych samolotach. I nie wiedziałem, że idzie w butach Holoubka.

Coś tak niesamowitego, że po jego śmierci w nich chodził, wiemy dzięki Marii Konwickiej. Opowiedziała, jak to ojciec pożalił się Magdzie Zawadzkiej, że buty Gustawa, które tenże dostał na plan filmu „Słońce i cień”, są lepsze od tych, które dostał on.

Magda podarowała mu je natychmiast i przeważnie chodził w nich właśnie. A potem w okolicach Nowego Światu, w tych rojstach jego i zaroślach zgubiłem go, zniknął mi. Raz na zawsze, w butach Holoubka.

Ofiary lektur

Dinozaury wyginęły, ponieważ nie mogły się dostosować do zmieniających się warunków środowiska. Miały też konkurencję, jakie tam hadrozaury na przykład. Salony literackie wyginęły, ponieważ nie mogły się dostosować do zmieniających się warunków środowiska, dostały taką konkurencję, że stały się anachronizmem i umarły śmiercią naturalną. I to nie tylko u nas, mieszkalem w Hamburgu, trochę w Berlinie, w Pradze, szkoda świecy, żeby ich szukać.

Dobra, powtórzmy banal, że środowisko literackie „uległo fragmentaryzacji”, ale nie ma co zawodzić, daremne żale, próżny trud, bezsilne zlorzeczenia, ponieważ wiele z tych fragmentów dziś większe się stały od niegdyśszej całości. Jakże?

Istniejące od stosunkowo niedawna festi-wale literackie na przykład. Więcej ich niż kiedyś obiadów czwartkowych. Mają cha-rakter wędrowny, ale spełniają wszystkie wymogi salonu, chodzi w nich o to samo – o literaturę i jej krzewienie.

Mало tego, goście na nich występujący powtarzają się tak, że stanowią coś w rodza-ju grupy stolikowców, ich status wyznacza fakt ich zapraszania. Na tych otwartych wę-drownych salonach literackich powtarza się nawet publiczność, więc mamy je, te salo-ny. I więcej z nich pożytku niż z siedzących gdzieś w tym samym zatechłym kącie i py-kających sobie w sosie własnym towarzystw wzajemnej próżności.

Są święta literatury w postaci gal literac-kich nagród i targów książki, te ostatnie za-lewa od niedawna fala nastolatków. Na Sta-dionie Narodowym pomieścić ich można było tylko na dużej płycie, do polskich auto-rek young adult nie stali, ale koczowali do-brych parę godzin. Z prozą nawet nie wy-soką, ale średnią mają ich piszące idolki ty-le wspólnego co oni sami, na morzu literac-kim są statkiem osobnym, trudno się tu dzi-wić. Są ofiarami lektur, które próbuje się wtłoczyć im do głowy w szkole, a przecież ten ich kanon, cały, jak jest, wylądować po-winien w koszu. A pozycje do czytania po-winny być dowolne, wybierane przez na-uczycieli razem z uczniami.

Zajrzałem ostatnio do książek Hłaski, Stachury i innych moich wielkich zeszło-wiecznych. Otworzyłem je i zamknąłem jak trumnę. Dla mnie, starego, jakiegoś to z mchu i paproci, co dopiero dla młodych. Więc znać ich nie muszę, w sieci mogą przeczy-tać rzeczy ciekawsze. Jeśli miałbym im co-kolwiek z tej mojej starej domowej biblio-teki polecić, to powiedziałbym: idźcie lepiej na jakiś literacki stand-up.

Jeden dzień z życia warszawskiego literata

(Przedstawiam go jako żywy dowód na to, że mało kto żałuje, że dziś prawdziwych sa-lonów już nie ma. Nie widziałem na ulicy ani jednego literata-kanapkę, który z przo-du miałby napis „Zamienię dziś...”, a z tyłu „na wczoraj”)

Rano i tak nie jem, obiad jako śniadanie. W Literacie na Krakowskim dużo i dobrze, całość osiemnaście złotych, mam zniżkę. Po obiedzie, jeśli wtorek, to do Czytelnika, we

wtorki stolik. Na nogi postawiła go Krystyna Kofta już w roku 1981 i z przerwami stoi do dziś, i nie kiwa się.

Aglomeracja kilkunastu, czasami kil-kudziesięciu dusz przy zestawionych sto-likach. Gada się o wszystkim, o literaturze rzadko, o pisaniu jeszcze rzadziej, Krystyna mówi, że to „czynność intymna”, i ma rację. Jest jeszcze coś, jeśli spotyka się krąg ludzi, którzy tworzą ją i czytają w domu, to wy-chodzą z niego, żeby od tej zmory odpocząć.

Rozmowy w podgrupach w te wtorki, inaczej nie sposób, za duży gwar dookol-ny, decybeli tyle, ile w ptaszarni. Z garnituru piszących, bo są różne, sztafeta pokolenio-wa Henów, kiedyś często Józef, dziś Maciej. Dwie Anny, Rottenberg i Nasiłowska. Jeden Jastrun, Tomasz, jedna Aleksandra, Szarlat, no i jedna Agata, Passent, która wpada cza-sami po sąsiedzku, bo mieszka obok.

Pokazuje się też czasami Janusz, Głowac-ki, o którym nie wiedzieć czemu wszyscy myślą, że umarł.

Wieczorem najczęściej premiery. No-wych książek, filmów lub teatralne. Staram się wychodzić parę minut przed okrągłą go-dziną, żeby postać trochę pod tym Instytu-tem Głuchoniemych. Leci „Pierwsza Bryga-da”, a ja słyszę, jak oni kłócą się w tym aucie, o którym na początku.

Bo tak było, prowadził Łapicki i za każ-dym razem Konwicky instruował go, jak ma jechać, bo denerwował się, że nie zdą-żą na dźwięki pieśni Legionów. „Reżyse-rował” go, Łapicki tego nie znośli i kłócili się, a Holoubek siedział z tyłu jak widz i się nie wtrącał.

Te premiery więc. Jeśli premiera filmu polskiego, to przeważnie w Złotych Tara-sach lub w kinie Kultura, filmu niepolskie-go w kinie Muranów („Gutek zaprasza”). Te-atralne najczęściej u Jandy, Och lub Polonia.

Jeśli idę do Tarasów, muszę wcześniej do Żabki, kupuję coś z ofert i jem w trakcie fi-lmu, od jakiegoś czasu nie ma bowiem po projekcji jedzenia, tylko alkohol. Idę do po-zostałych, omijam sklep tanecznym kro-kiem. Catering zdecydowanie najlepszy w Kulturze, na premierach dokumentów Studia Munka zdarza się, że kelnerzy dają jedzenie na wynos, żeby się nie zmarnowa-ło, wtedy nie muszę na drugi dzień jechać do Literatki.

A jeśli premiery literackie lub spotka-nia autorskie, to tyle ich, że czasami nie wia-domo, dokąd się udać, do Big Book Cafe, do Nowej Księgarni w teatrze Nowym, do Fak-tycznego Domu Kultury czy do Najlepszej Księgarni. A jeździć to ja mogę wszędzie, za darmo. Jako właściciel legitymacji osoby re-presjonowanej z powodów politycznych.

■
*Zajrzałem ostatnio do
książek Hłaski, Stachury.
Otworzyłem je i zamknąłem
jak trumnę. Dla mnie, starego,
jakiegoś to z mchu i paproci, co
dopiero dla młodych*

Mam jeszcze sanatoria za darmo i domy opieki społecznej, może tam niedługo już założę salon literacki. Polska jest grzeczna, Polska jest ładna, Polska dba o Januszką.

Amatorska zwana Amcią

Po premierach na Foksal, do niegdyśszej kawiarni PIW-u, czyli do dzisiejszej Amator-skiej, często Amą zwanej lub Amcią. Prze-chodzę obok Picadora i puszczam oczko do wewnątrz, idiotyczne to, wiem, ale taki już mój rytuał, tak już mam.

W Amie siedzę w tym samym miejscu, w który Slonimski et consortes. I czuję się jak strażnik ciągłości pokoleń. Pisałem już o Amie parę razy, więc dodam tylko, że lu-dzi od pióra tam niemało.

Jeśli dwie osoby siedzą naprzeciwko sie-bie nieruchomo, będzie to Andrzej Sosnow-ski i Tadeusz Pióro, Paweł Soltys złożył kie-dyś pod nimi kwiaty, myśląc, że to dwa po-mniki.

Wpada Dorota Masłowska, nigdy nie sa-ma, zawsze z uśmiechem, który jej nie scho-dzi... Chciałem napisać „z twarzy”, ale skądinąd, głupi ty, mój języku polski.

Wpada Marcin Kącki, bo musi w ramach przymusowej pracy społecznej czyścić to-aletę.

Kiedy w moim rodzinnym Kędzierzy-nie zrywają się nagle gołębie, mieszkańcy wiedzą, że w warszawskiej Amatorskiej za-smiała się poetka Natalia Malek. Przycho-dzą Iza Tadra i Patrycja Wierczkiewicz, po-jawiają się Szczerek, Wiedemann i Bawolek, zajrzą Piotr Paźniewski, Adam Lipszyc lub Mariusz Czubaj.

Jasne, tak, to nie salon literacki, to w jed-nym miejscu zatomizowane podmioty, każ-dy ma swój kawałek podłogi w tej Amie, ale to przecież dziś naturalne. Dziś słowo „sa-lon” kojarzy się z masażem, nie z literaturą.

Uproścmy, w wolnym od dyktatury mię-dzywojniu w kawiarni literackiej prym wio-dła literatura. Pisarze, poeci przede wszyst-kim to byli bożyszcza, wystarczyło ich zoba-

czyć, bo o dostawieniu sobie krzesła nie by-ło mowy, stoliki były ekskluzywne.

W luźniej pogawędce rzucali sobie od czasu do czasu bon motami, dowcipami, a te szły potem w miasto. W powojennych z tą ekskluzywnością podobnie, ale różnica była diametralna, ponieważ panowała dyk-tatura, prym wiodła polityka. Dyktatura in-tegruje stolik, a kiedy przemija z wiatrem historii (1989), panować zaczyna atmosf-e-ra „swawolenia, frywolnych, inteligenckich rozmów o wszystkim” (Kutz).

Dzisiaj kawiarnia literacka to rodzaj księgarni z kawą i jeśli od czasu do cza-su odbędzie się spotkanie z jakimś mniej lub bardziej zapomnianym autorem/autor-ką, pamiętać trzeba o wyłączeniu automa-tu do kawy.

Z Amatorskiej w nocy zawsze piecho-tą na Wiejską. I zawsze blisko hotelu She-raton, prawie zaraz pod bramą mojego blo-ku ten sam manewr. Wiem, gdzie Bereza upadł, z którego miejsca wzięła go karet-ka. I żeby go nie trącić, podnoszę nogę, jed-ną i drugą, jakby tam ciągle leżał. Idiotyczne to, tak, ale tak już mam, że to, co było, to we mnie nie ginie.

Buty numer 42

Chcę wysłać już w końcu ten tekst do redak-cji, ale coś mi nie daje spokoju. Buty Holo-ubka miałyby pasować Konwickiemu? Toż on nędznej postury, a Holoubek przecież ro-sły.

Piszę do Marysi Konwickiej, pytam o nu-mer butów taty, odpisuje: Nie wiem. Nie po-zwalał sobie kupować butów. Z ubrania-mi były walki, ale buty to już na pewno nie. Magda Zawadzka wie, bo ojciec nosił bu-ty Gucia.

Piszę do Zawadzkiej, ale chyba nieskład-nie, bo odpisuje: Numer butów Gustawa to 42. Tadeusz miał ten sam rozmiar. Czy o to ci chodziło?

Zdziwiony piszę znowu do Marysi, odpis-uje: Ale co Ty z tym Patem i Pataszonem! Muszę bronić honoru ojca! Byli tego same-go wzrostu! H. Tomaszewski mawiał: mam włosy, ale nie dla wszystkich. Ojciec podob-nie. Nie dla wszystkich był roslým mężczy-zną. A Gustaw był dobrym aktorem, więc co to dla niego zagrać wysokiego. ●

• Jarosław Molenda, „**Przy stoliku w Czytel-niku**”, Prószyński Media, 2024



REKLAMA



Historia jednego z najbardziej szokujących polskich procesów

SPOTKANIE PREMIEROWE
Festiwal Warszawa Singera
1 WRZEŚNIA GODZ. 16
AUSTRIACKIE FORUM KULTURY, UL. PRÓŻNA 7/9
ROZMAWIA REMIGIUSZ GRZELA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA





UKRYTE

ANIOŁKI / GDAŃSK

CISZA.
JĄ USŁYSZYSZ JAKO PIERWSZĄ.

Odkryj kameralny koncept mieszkaniowy
w willowej dzielnicy Gdańska.

ukrytegdansk.pl

INVEST
KOMFORT

STRZEŻ SIĘ TEGO KRABA

Wiele horrorów straszy nas czymś nadprzyrodzonym, natomiast uniwersum „Obcego” przeraża nas biologią.

Robert Jurszo

Alien: Romulus” to kolejna odsłona popularnej franczyzy. Ksenomorf, a więc fikcyjna pozaziemska forma życia, wykreowany przez szwajcarskiego malarza i rzeźbiarza H.R. Giger’a straszy nas od 1979 roku. Właśnie wtedy światło dzienne ujrzał horror science fiction „Obcy: ósmy pasażer Nostromo” w reżyserii Ridleya Scotta.

Od tego momentu powstało jeszcze siedem mniej lub bardziej udanych filmów. Do tego (zazwyczaj kiepskie) powieści i wiele komiksów – w tym crossovery z innym kosmicznym koszmarem, Predatorem – a także znakomita gra wideo „Alien: Isolation”.

Co wyróżnia „Obcego”? Wiele horrorów straszy nas czymś nadprzyrodzonym, natomiast uniwersum „Obcego” przeraża nas biologią.

To, czego się boimy, to nie żaden duch czy wampir, ale śmiertelnie skuteczny drapieżnik, którego jedynym celem jest zabijanie oraz rozmnażanie się. W życiu tej istoty nie ma niczego wzniosłego, jedynie nagi instynkt przetrwania kosztem istot, które napotyka na swojej drodze.

To organizm doskonały. Jego strukturalnej perfekcji dorównuje tylko jego wrogość. Podziwiam jego czystość. Jego jedynym celem jest przeżycie... Nie jest obarczony sumieniem, skrupałą czy iluzją moralności – tak ksenomorfa charakteryzuje android Ash w pierwszym filmie z cyklu. „Obcy” to oczywiście fantastycznonaukowy horror, niemniej może ciekawić, ile w jego postaci jest science, a ile fiction.

Okazuje się, że naukowcy już się temu przyjrzeni: w 2023 roku w czasopiśmie „Biochemist” ukazał się artykuł prof. Armanda M. Kurisa oraz Mony Y. Luo pt. „Science fiction: biologia obcego w ‘Obcym’” („Science fiction: The biology of the alien in Alien”).



• **Taka osa, jak mały ksenomorf z członka załogi Nostromo, wydobywa się z wnętrza wciąż żywego karalucha.**

FOT. SHUTTERSTOCK



• **Obcy jest podobny do autentycznego stworzenia – kraba gatunku Loxorhynchus grandis**

FOT. SHUTTERSTOCK

Egzobiologiczne spekulacje

Jak przyznaje para autorów, film „oferuje wiele interesujących domysłów i spekulacji egzobiologicznych”. Badacze szczególnie interesuje cykl życiowy ksenomorfa. Przypomnijmy, jak on przebiega.

Najpierw z jaja wylega się tzw. facehugger, co na polski w filmach i grach na ogół tłumaczy się jako „twarzołap”. Nazwa oddaje całkiem dobrze działanie tej formy ksenomorfa, bo istota przylega ciałem do twarzy człowieka, oplatając ją palcowatymi kończynami, a szyję ofiary owija ogonem. Następnie wprowadza do organizmu żywiciela larwę. Ta z kolei rozwija się wewnątrz ciała nosiciela, by po około dobie rozerwać mu klatkę piersiową i wydostać się na zewnątrz, gdzie przeobraża się w formę dorosłą i poluje na ludzi.

Badacze zauważają, że w filmach jaja zawierające twarzołapy otwierały się przy ludziach. Autorzy artykułu spekulują, że mogłoby to dokonywać się w wyniku wykrycia przez organizm zmiany stężenia

dwutlenku węgla w otoczeniu. Właśnie w ten sposób odnajdują żywicieli kleszcze, zmyły leńszych spacerów.

Porywacze ciał

Naukowcy wskazują też, że facehugger jest podobny do autentycznego stworzenia – kraba gatunku *Loxorhynchus grandis*, zwanego też krabopajakiem albo krabem owczym, który żyje w wodach południowej części Zatoki Kalifornijskiej, gdzie jest też poławiany. „Projektanci z Hollywood prawdopodobnie odkryli go jako rekwizyt na molo w Południowej Kalifornii” – piszą autorzy artykułu.

A co z wprowadzaniem larwy do ludzkiego organizmu? Okazuje się, że to zachowanie ma również swój odpowiednik w świecie zwierząt.

Otóż niewielkie skorupiaki zwane worrecznikami wstrzykują mikroskopijne, robakowate larwy krabom. Te rozrastają się w ciałach nosicieli, przejmując nad nimi kontrolę, czyniąc jednocześnie bezpłodnymi. „To tacy porywacze ciał” – piszą autorzy.

Osa jak ksenomorf

Jedną z najbardziej przerażających scen w filmie jest moment, w którym młodociana forma ksenomorfa rozrywa od środka klatkę piersiową swojego żywiciela, by wydostać się na świat. Okazuje się, że i to zachowanie ma swoją paralelę w realnym świecie.

Osa *Ampulex compressa*, w Polsce zwana gromką szmaragdową, to gatunek owada, który składa jaja na uprzednio sparaliżowanym jadem karaluchu. Początkowo larwa żeruje na zewnątrz owada, ale szybko wgryza się pod jego pancerzyk chitynowy. Pożywia się wnętrznościami wciąż żywego karalucha, by po kilku dniach mogła się z niego wydostać już dorosła postać – niczym mały ksenomorf z członka załogi Nostromo.

Jest jednak ciekawy problem, którym prof. Kurisa oraz Luo nie zajmują się w swoim artykule: dlaczego ksenomorf wręcz obsesyjnie zabija wszystkie istoty żywe wokół siebie? W realnym świecie nie istnieje drapieżnik, który by działał w ten sposób. Nie można tego zakwalifikować jedynie jako zachowania obronnego, ponieważ obcy aktywnie szuka swoich ofiar. A do tego nie pożywia się nimi – po prostu masakruje. Oczywiście to zachowanie wymyślone przez twórców filmu, ale czy jest jakoś możliwe do wyjaśnienia na gruncie nauk biologicznych?

Dlaczego obcy zabija?

Znany rzadkie przypadki, kiedy drapieżniki wydają się wpadać w coś przypominającego zabójczy szal. W takich sytuacjach zabijają więcej, niż rzeczywiście potrzebują do życia. O co chodzi?

Pościg, a następnie zabicie ofiary to instynktowne reakcje wyzwalane przez cały kompleks bodźców zwany w klasycznej nauce o zachowaniu zwierząt (etologii) tzw. bodźcem kluczowym. To m.in. ucieczka ofiary, choć nie tylko. Jednak na niewielkiej przestrzeni, kiedy ofiar jest wiele i nie mają gdzie uciec, może dojść do „zapętlenia” zachowania łowieckiego.

Na czym to polega? Weźmy lisa, który wkradł się do ciasnego kurnika pełnego kur. Rzuci się na najbliższą próbującą uciec przed nim kurę i ją zagryza. Obok próbuje ratować się kolejna, która „aktywuje” lisi odruch łowiecki, więc ją też dopada. A potem kolejną, i kolejną... póki nie zabraknie kur, coś lisa nie spłoszy, albo drapieżnik nie opadnie z sił.

Lis nie jest krwiożerczą bestią – po prostu „zaplątał się” w błędne koło własnego instynktownego odruchu.

To wyjaśnienie nie wydaje się jednak pasować do ksenomorfa. Owszem, on również zabija w zamkniętej przestrzeni (statku czy stacji kosmicznej), jednak odległość czasowa pomiędzy kolejnymi zabójstwami wyklucza wystąpienie opisanego mechanizmu behawioralnego. Stąd wniosek, że żądzę mordu obcego musi nakręcać coś innego.

Do pewnego stopnia sprawę wyjaśniała kolejna odsłona serii – „Aliens” (w Polsce: „Obcy: decydujące starcie”) – z 1986 roku w reżyserii Jamesa Camerona, z której dowiedzieliśmy się, że społeczności ksenomorfów przypominają owadzie. Ich sercem jest składająca jaja królowa ochraniająca przez inne kosmiczne bestie, które porywają ludzi, by uczynić tych nieszczęśników żywymi inkubatorami dla kolejnych pokoleń obcych. Jednak już w kolejnych częściach ksenomorfy znów wydawały się zabijać dla samego zabijania.

Broń biologiczna?

Być może twórcy uniwersum byli świadomi tej niejasności w zachowaniu ksenomorfa, bo w późniejszych filmach serii „Prometeusz” i „Przymierze” pojawia się sugestia, że ksenomorfy są bronią biologiczną wyprodukowaną przez obcą cywilizację. A to już mogłoby jakoś uzasadniać pęd do zabijania u tych osobliwych fikcyjnych istot, które z sukcesem na ekranach kin i komputerów przerażają nas już od 45 lat. ●

O

F

F

— —

MIASTO

NOWY
NURT
GDAŃSKA

APARTAMENTY Z WIDOKIEM NA MOTŁAWIE
OFFMIASTO.PL

INVEST
KOMFORT

AGA KOZAK: Dogadujecie się?

KUBA WELLMAN: – Tak. Mamy oczywiście takie momenty, kiedy ja nie do końca przedstawię daną sytuację w pełni, więc się przez chwilę nie dogadujemy.

Dorota Wellman: – Dogadujemy się, ale często mamy różne zdania. Nie jest powód do kłótni, do przerywania kontaktu. Często zostajemy przy swoim, co uważam za zdrowe.

A to wszystko dlatego, że zależy nam bardzo na tej relacji, na stałym kontakcie ze sobą. Nie tylko po to, żeby sobie powiedzieć co u nas słychać w domu, czy żarówka się przepaliła. Tylko, żeby przedyskutować to, co przeczytaliśmy, zobaczyliśmy, co nas zbulwersowało. I stracenie tej więzi, tej naszej prywatnej, bliskiej relacji, byłoby rzeczą straszną. Dla mnie niewyobrażalną.

KW: – Ja mam podobnie. Nie dzwonimy zbyt często do siebie w ramach próśb o przysługę czy po pomoc – choć oczywiście to też się zdarza. Częściej dzwonimy po prostu z updatem o filmach, książkach, sprawach ważnych dla świata.

Jest takie powiedzenie „albo masz rację, albo masz relację”. Dla mnie byłoby istotne, żeby się dogadać, ale jednak nadal wiele osób wybiera rację. A miałam nadzieję, że taki świat, kiedy to ktoś wali pięścią w stół, że ma być „po mojemu” – odchodzi...

DW: – Moim zdaniem nie odchodzi.

KW: – Nie lubię tych ogólników „w dzisiejszych czasach”, ale żyjemy trochę w takich, że trudniej jest nam się przyznać, że nie mieliśmy racji. Ludzie oceniają to czasami jako osobiste porażki. Tak bardzo są dla nich ważne ich własne opinie i poglądy, że mają wrażenie, że wraz z utratą danej opinii tracą część siebie. Ja nie mam tego problemu, bo trzeba wiedzieć, w których tematach jest się ekspertem a w których nie.

DW: – Pytałaś o relacje. Myślę, że w wielu polskich rodzinach poświęciliśmy bliskość na rzecz udowodnienia, że istnieje tylko „jedyna słuszna racja”. A przecież przy jednym polskim stole – jeśli byśmy mieli go sobie wyobrazić – każdy z nas może mieć nieco inne poglądy polityczne, wyznawać inną religię, mieć inny styl życia.

Kiedyś najważniejsze było to, że jesteśmy rodziną, że się wspieramy mimo tych różnic, że możemy dyskutować, ale nigdy wzajemnie się nie obrażać. A teraz... każdy z nas zna rodziny, które ze względów na przykład politycznych zerwały ze sobą relacje. Z rodzicami. Z dziećmi. Przez jakąś pieprzoną politykę i upór.

KW: – Z powodu jednego z odcinków naszego podcastu skończyła się moja relacja z dziewczyną, z którą się przyjaźniłem od dziesięciu lat. Uważała, że oboje z mamą nie przycisnęliśmy wystarczająco gościa w sprawie ważnego dla niej tematu. Od pół roku ze sobą nie rozmawiamy.

DW: – Ja w swoim życiu zawodowym spotkam się z bardzo różnymi ludźmi. I muszę szanować to, że ktoś ma inne poglądy niż ja. Czasami po mnie widać w telewizji, że coś mnie denerwuje, ale ja jako dziennikarka i jako człowiek staram się wysłuchać, zrozumieć.

W życiu bym nie zdecydowała się na to, żeby na kogoś się obrazić, zerwać z nim relacje za jego poglądy. Polityczne, religijne, obyczajowe, społeczne. Bo uważam, że to jest wielka strata. My w ogóle mamy coraz mniej bliskości. Mamy bliskość z telefonem.

Obserwowałam teraz na wakacjach ludzi, którzy mają kontakt wyłącznie z komórką, a z człowiekiem leżącym obok na plaży nie rozmawiają w ogóle. Ja z moim mężem, nawet jak wchodzimy do wody, pływamy – to cały czas ze sobą gadamy!

Jeśli jesteśmy w tym telefonie, to nie zapoznamy starego Greka, który się nagle przysiadł. A ja zapoznałam. Następnego dnia witał się z nami po imieniu. My już wiedzieliśmy, że ma chore płuca i musi przychodzić nad morze oddychać. Jedliśmy razem morele z plastikowej siatki, bo chciał nas poczęstować tym, co rośnie w jego ogrodzie. Rozmawialiśmy o jego życiu, o okolicy.

Żadne z was nie ma mediów społecznościowych.

KW: – Teraz jesteśmy zaangażowani w nasze wspólne social media, podcastowe, nagrywamy tam filmiki, recenzje, ale to jedyna forma w jakiej ja chciałbym być obecny w tej przestrzeni. Mogę nagrać swoje opinie, podsumowania tygodnia,

Porozmawiajmy

JAK OPTYMISTA Z PESYMYSTKĄ

Przed każdą podróżą powtarzam Kubie, gdzie jest testament.
Wszystko mamy omówione i nie uważamy, że to jest straszna rozmowa.

Z TWÓRCAMI PODCASTU „WELLCOME W POPKULTURZE”

DOROTĄ WELLMAN I JEJ SYNEM KUBĄ
ROZMAWIA **AGA KOZAK**



• Dorota Wellman i Kuba Wellman będą wraz z dr Michałem Bomastykiem i dr Michałem Gulczyńskim uczestnikami rozmowy „Kobiety i mężczyźni w świecie przyszłości. W poszukiwaniu nowych ról społecznych i nowych relacji” na Campus Polska Przyszłości w Olsztynie (wtorek, 11:30) którą poprowadzi Aga Kozak.

FOT. KRZYSZTOF WELLMAN

ale żeby wrzucać zdjęcia z wakacji, czy to, że byliśmy w tej restauracji, „o, to zjadłem”.
DW: – Nie, nie, to w ogóle nie ja! Podobnie jak pokazywanie życia prywatnego. Uważam, że ja światu w ogóle nie jestem w takiej formie potrzebna.
Występuję w telewizji i sądzę, że to wystarczy. Zupełnie nie rozumiem tego, że ludzie pokazują naprawdę wszystko. A potem się dziwią, że ktoś to wykorzystuje, albo że ktoś ich okradł, że ktoś ich źle ocenił. Sami wystawiamy się na tym wielkim targowisku próżności świata, a gdy ten świat nas oceni w sposób drastyczny, nieprzyjemny – jesteśmy w szoku.

A prywatnie rozmawiacie o wszystkim?
DW: – Chyba tak. Rozmawiamy o śmierci i tym, co będzie potem z naszym życiem, jakie podejmujemy w tej sprawie decyzje... Często odsuwamy teraz śmierć, starość. Eliminujemy ją z naszego życia. Jakby botox mógł załatwić wszystko. Nie załatwia – od razu mówię – i nie wyprostuje wszystkiego. Ja przed każdą podróżą powtarzam Kubie, gdzie jest testament. Wszystko mamy omówione i nie uważamy, że to jest straszna rozmowa.

KW: – Ale ja czuję zawsze, że jest w tym coś takiego minimalnie niekomfortowego. Że nawet w tym zwykłym przypominaniu „słuchaj, jak byśmy nie wrócili, to tu jest wszystko” jest coś dziwnego.

A co wyście tam właściwie omówili?
DW: – Na przykład że nasze organy, jeśli będą się do czegoś nadawały, są do oddania. Żeby nie robić żadnej stypy, ma być impreza, żeby ludzie mogli nas wspominać, pobawić się, napić. Żeby nie rozpaczać.
To, że bliscy wiedzą o takich decyzjach – oszczęda im dylematów. Kuba wie, że nie chcemy z moim mężem uporczywych terapii. Wie, że jakby co podejmie decyzję o odłączeniu nas od aparatury – oczywiście jeśli będzie pewny, że sytuacja jest już beznadziejna. Nie widzę nic złego w tej rozmowie.

U mnie w rodzinie o tym gadamy, ale ludzie często boją się takich tematów. A ty Kuba masz już ogarnięty testament?
KW: – Nie mam takiej potrzeby, najważniejsze, żeby ktoś się wtedy zajął psem. Nie mam jeszcze uzbieranych rentownych nieruchomości lub innych bogactw.
DW: – O, o finansach też się często nie rozmawia. O decyzjach, które musimy podejmować – bo nie mamy pieniędzy. Nie rozmawia się o uczuciach. A my w rodzinie często rozmawiamy o tym, że mamy gorszy dzień, że mamy lenia i nie chce nam się spotkać. Choć to rzadkie.

Rozumiem, że rozgadanie i ciekawość są w DNA Wellmana.
DW: – Dzisiaj znalazłam piękne zdjęcie odnowionej kamienicy pod Gutenbergiem na Piotrkowskiej w Łodzi. I natychmiast pomyślałam, że kiedy pojedziemy do Łodzi, musimy pójść pod tę kamienicę, żeby zobaczyć jakim jest dziwołagiem architektonicznym, jaka jest wspaniała.
Ja mam takie poczucie, które być może cię Kuba dopiero dopadnie, że nie zdążę wszystkiego zobaczyć, wszystkich książek przeczytać, które są przede mną...

KW: – Ja to uczucie mam od ponad dekady!

Przecież to FOMO!
DW: – ... że tak dużo jest filmów, tak dużo jest zjawisk, które chciałabym poznać, tak dużo miejsc na świecie, w których jeszcze nie byłam. Ale tak, my mamy takie głowy, do których wysypują się różne rzeczy – wszystko nas interesuje. To jest często wiedza według niektórych zbędna. Ale uważam, że świat przynosi nam mnóstwo piękna.
I będziemy to pokazywać w podcaście, bo naprawdę świat nie kończy się na telefonie. Musimy na chwilę podkładać te wszystkie nowoczesne urządzenia, żeby się

mu przyjrzeć. Myślę, że ciekawość to jest zresztą podstawowa cecha dziennikarska.

No właśnie. Jak prowadzić dobrą rozmowę?
DW: – Słuchamy gościa!
Mamy scenariusz, ja pracuję bez kartki, a Kuba czasami ma jakąś notatkę. Przygotowanie – np. kiedy nie znam gościa, nie znam tematu – daje mi poczucie pewności. Ale zgadzam się z Kubą, który uważa, że nie należy się prze-przygotowywać. Stracimy zainteresowanie, jeśli będziemy wiedzieli, co usłyszymy – bo przeczytaliśmy już wszystko. Tak w podcaście zaskoczyliśmy prezydentową Kwaśniewską pytaniem, czy Pierwsza Dama może się upić.

Rozmawialiście o tym, jaką rolę powinna odgrywać osoba partnerska prezydenta.
DW: – Przecież w popkulturze to bardzo ciekawa postać, w amerykańskich filmach i mitologii Pierwsza Dama jest niczym Matka Narodu, u nas pełni troszkę inną rolę.
Rozmawialiśmy o tym, że głosując na jakiegoś kandydata głosujemy też na tę osobę, która z nim będzie. I że powinniśmy wymagać od tej osoby partnerskiej czy małżeńskiej również jakiejś aktywności, działalności, obecności.
Chcieliśmy też wiedzieć, co może Pierwsza Dama, czego nie może. Kto nad tym panuje, kto to kontroluje, jakie zachowania są niedopuszczalne. Ja myślę, że pani prezydentowa Jolanta Kwaśniewska – zresztą genialnie odpowiadając na to pytanie – była zaskoczona tym, że ktoś o tym w ogóle pomyślał. To jest właśnie ta świeżość.

Dzięki temu, że w podcaście pytaliśmy o naprawdę różne rzeczy, dowiedzieliśmy się, że kobiety są teraz uznawane za lepszych, bardziej przydatnych szpiegów i jest ich więcej w służbie niż mężczyźni! Mówię tu o oficerach wywiadu.
Okazuje się, że kobiety – bardzo różnych zawodów – uznawane są za racjonalniejsze i odważniejsze. Nie wiedzielibyśmy tego, gdybyśmy nie pytali o to „jak się robi szpiega”. Jak zrobić go z pani z ASP, która miała być malarką i rzeźbiarką. Jakie artystka ma cechy, które sprawiają, że jest świetnym oficerem wywiadu.

KW: – Bo wybieramy tematy, które naprawdę nas interesują. Nie próbujemy gończy trendu.
Przyznaj mam, że musiałaś się trochę przestawić. Gość u nas nadal jest na pierwszym miejscu, ale podcast to dłuższa forma, w której jest więcej luzu niż w formacie telewizji śniadaniowej więc często musiałem ci powtarzać, że to nie musi być aż takie dziennikarskie, szybkie, że może być więcej momentu na żart, na nas, na oddech.
DW: – Kuba mówi „wyluzuj, interakcje między nami a gościem trzeba zostawiać, to właśnie robi ten format”.

Prezydentowa, szpieginie albo szpieżki. A w programach informacyjnych nadal sześciu mężczyźn rozmawia o polityce i nikt nie widzi w tym nic złego.
DW: – Myślę, że w jakiejś pokoleniowej grupie, w jakichś środowiskach jeszcze trochę takiego starego podejścia jest, ale coraz bardziej przyzwyczajamy się do równości i raczej – jak w wypadku tych szpiegiń – odczuwamy dumę, że szefem zespołu wywiadowczego, rozpracowującego i organizującego akcje jest kobieta. I mężczyźni traktują ją z tym samym szacunkiem, co szefa – mężczyznę, realizując jej plan.
KW: – My żyjemy w wielkomiejskim bąbelku, w którym seksizm jest częściej pasywno-agresywny niż „aktywny”.
DW: – I pilnujemy, żeby robiąc rozmowę o Pierwszej Damie podkreślać, że może być to też Pierwszy Mąż. Punkt widzenia się zmienia, może na razie w naszym bąbelku: wiemy już, że szefem największej korporacji może być kobieta, że kobieta jest w NASA jedną z najlepszych specjalistek od szukania życia pozaziemskiego.

Czyżby Dr Mary Voytek? Niezwykła specjalistka! Robiłam z nią wywiad!

Sami wystawiamy się na tym wielkim targowisku próżności świata, a gdy ten świat nas oceni w sposób drastyczny, nieprzyjemny – jesteśmy w szoku

DW: – Narzucamy więc trochę to myślenie o równowadze naszym gościom i słuchaczom. Pewne poglądy – np. to, czy kobieta jest w pracy tak samo dobra jak mężczyzna i czy praca jest kobiecie potrzebna – są też zaszczepione pokoleniowo. Potrzeba czasu i edukacji.

Mamy teraz do czynienia z nowymi ruchami męskimi, które czasem uderzają w taki ton ofiary, że oni nie mają, bo kobiety mają.
DW: – Obie strony uderzają w ton ofiary, kobieca strona również, bądźmy sprawiedliwi. Teraz akurat mężczyźni poczuli, że się nieco zagrożeni i reagują histerycznie. Grzechem jest tu właśnie taka histeria – za dużo szumu, za mało realnych działań. Zmiana społeczna w stronę równości kobiet i mężczyzn, równych praw nastąpi wtedy, jeśli pójdzie za tym zaangażowanie i aktywność. Szukajmy pełnej równości, bez jakiegokolwiek sposobu niszczenia czy dewaluowania drugiej strony.

Czy napięcia między kobietami i mężczyznami rozładowuje jakoś wasza ulubiona popkultura? Filmy? Seriale?
KW: – Ja na pewno wolę, jak je rozładowuje popkultura, niż przepisy. Czym innym jest, kiedy kobieta sama swoimi osiągnięciami dojdzie do wysokiego szczebla w pracy a co innego, kiedy ustalimy, żeby w zarządzie było 50 na 50 procent. Ludzie powinni zasiać na danych miejscach dlatego, że mają kompetencje i kwalifikacje i niezależnie od tego, czy są kobietami, czy są mężczyznami.
Kultura czasami też nie powinna zmierzać w stronę nadmiernej poprawności politycznej. Myślę o tym, co stało się, kiedy władze Disneya zaczęły np. zmieniać Królową Śnieżkę. Disney postanowił wyeliminować z bajki krasnoludki. Co oznaczało, że niskośli aktorzy nie znaleźli zatrudnienia i z rozżaleniem zwracali się do Petera Dinklage’a, który głośno się wypowiadał, jaki to jest pokopany pomysł, żeby w dzisiejszych czasach pokazywać siedmiu krasnoludków.
I ci aktorzy mu powiedzieli, że po „Grze o tron” łatwo jest mówić takie rzeczy, teraz to ty możesz wybierać a my nie mamy pracy. Uznano odgórnie, że sposób pokazania krasnoludków zabiera ich godność.

DW: – Myślę, że jak i wszędzie, tak i tu rozmowa jest podstawą. Odniosę się do firm, bo sprawami równości i różnorodności się zajmuję, kiedy prowadzę w nich wykłady motywacyjne. Otwartość na różnorodność jest podstawą tego, że w danej firmie lepiej się układa. I nie jest to mój pomysł.
Firma, w której zachowana jest równość, w której cechą podstawową jest otwartość, zarabia od 15 do 25 proc. więcej. Ten kontekst ekonomiczny jest chyba w prowadzeniu interesu bardzo ważny, prawda?
Im więcej jest różnorodności w grupie, w której pracujemy – nawet takiej najmniej – tym większa jest kreatywność, ciekawsza dyskusja, pojawiają się różne punkty widzenia, takie, które nas wzajemnie zaskakują. Kiedy słuchamy drugiego człowieka, to sami wpadamy na zupełnie nowe pomysły.
KW: – O tym mówiłem nawiązując do Disneya – żeby nie było wątpliwości, nie mam żadnych problemów, kiedy prezentowana jest różnorodność w kulturze. Ważne jest, żeby ona nie była „przepisowa”, chodzi o zaspokojenie realnych potrzeb ludzi – a nie wymyślonych celów.
A wracając do popkultury to niestety jej częścią są politycy. Więc o ile żyjemy w tej bańce i nie mamy do czynienia z seksizmem i nierównością, to wystarczy wejść na twit-

tera np. jakiegoś pana z Konfederacji. Jeden z nich napisał ostatnio że jest w Bułgarii i 85% kobiet nie ma tatuaży, nie ma piercingu, wszystkie wyglądają ładnie i „kobieco”, a u nas – zagrzmiął – w Warszawie, chyba tylko 20-25proc. Użył liczb, siły statystyki, pseudonaukowości, a w biogramie ma podane, że jest ekonomistą. Powinien cenić poprawność statystyki. Przecież nie ma licznika w okularach, który by czytywał spotkanie kobiety, prawda?
DW: – Politycy są częścią popkultury i tworzą klimat. Mieli i mają ogromny wpływ na formę debaty publicznej. Zepsuli nam sposób rozmawiania, relacje.
To oni przez lata narzucili sposób nie tylko dyskusji, ale także traktowania kobiet – nie jako partnerów, a paprotek do ozdoby.
Spójrzmy na najnowszy rząd, który mnie wkurza, bo robi za mało i czekam aż zrobi porządek i zrealizuje wszystko to, co obiecał. Ale muszę przyznać, że w tym rządzie jest więcej kobiet – co sobie bardzo cenię. Obecny rząd nie zrobił tego parytetami 50 na 50, tylko dobrano specjalistki.
Politycy w swoim sposobie mówienia o kobietach, traktowania kobiecych spraw, zrobili najwięcej złego w tym kraju – umacniając te takie bardzo konserwatywne postawy. No bo skoro pan poseł czy minister z tribuny sejmowej w ten sposób traktuje kobiety, to przecież znaczy, że ma rację.
Że ja też mogę. Bo to poważny pan.
KW: – Jakimś cudem Grzegorz Braun ma fanów.
DW: – Jakimś cudem ktoś na niego glosował. Wśród tych osób na pewno były też kobiety. To jest porażające zjawisko.

Czy są takie teksty popkultury, które teraz odczytujecie jako fajne drogowskazy?
KW: – Do głowy przychodzi mi komiks „Royal City” Jeffa Lemire. Opowiada o tym, jak różni członkowie rodziny radzą sobie ze stratą najmłodszego z nich. Jest to fascynująca historia o radzeniu sobie ze stratą i tym jak bardzo potrzebna jest rozmowa, żebym móc ruszyć dalej.
DW: – Bardzo duże zamieszanie zrobiły tik toki i inne krótkie formy, które spowodowały, że staliśmy się człowiekiem przeczepionym do kciuka. To zupełnie rozwaliło w nas umiejętność skupienia, czytania dłuższych tekstów. Bawia nas rzeczy idiotyczne. Niewymagające myślenia.
I nic, co jest wartościowe w popkulturze się z tego nie wyłoni. Bo to głównie – szybkie, tysiące, miliony rzeczy – przysłania wszystko, co istotne. Ja należą do coraz mniej licznej grupy Matuzalemów, przy których łóżku leżą wiersze. Czytanie ich wymaga ode mnie uwagi, skupienia. Więc nie zauważyłam też w popkulturze czegoś, co byłoby dla mnie drogowskazem, że warto coś robić. Że warto do czegoś zmierzać. Że warto się czemuś przyjrzeć. Giniemy w górze śmieci.

Ja wierzę w to, że z tej góry osadzają się, zostają dobre rzeczy. Jak już to wszystko zejdzie i się rozplynie, to na samym dnie zostaną złote myśli.
DW: – Jak w starożytnych sraczach, w których też znajdowano cenne przedmioty?
KW: – A propos śmieci: wiedziałem taki materiał, który ci kiedyś mogłem podsyłać, gdzie facet na Youtubie znany jako Etymology Nerd w nagraniu „Why Skibidi Is Going To Die Out” bardzo fajnie tłumaczył, które słowa i które wyrażenia zostają ze slangu w języku, a nawet samemu slangu – a które nie.
Paradoksalnie to nie najpopularniejsze słowa osadzały się w języku. A te, które się troszkę schowały, te, które brzmiały bardziej naturalnie. Te, które były takie bardzo charakterystyczne, były szybko nadużywane więc przestawały być używane w ogóle, bo były trochę takim „dzieckiem danego czasu”. Myślę, że tu będzie tak samo. Zostanie to, co dobre, cichsze, schowane.
DW: -Ty jednak jesteś optymistą i idealistą, a ja jestem pesymistką! No właśnie, to są różnice między nami! I kochamy o nich rozmawiać! ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

SIEDZENIE
to życie

Wystarczy zjechać z Alp
i już na pierwszej większej stacji
benzynowej – siedzą.

Ziemowit Szczerek

Siedzą. Siedzą w lutym, siedzą w sierpniu. Tak, w lutym też. Jak wtedy, gdy w Polsce padał na zmianę śnieg z deszczem, a ja przejechałem najpierw Karpaty (już się trochę przyjemniej zrobiło, a znaki drogowe z napisem „okrem dopravnej obsluhy” i „konec chemického posypu” oświeślać zaczęło niepewne jeszcze słońce), a następnie przekroczyłem Alpy – niby Dąbrowski Odrę i Wartę – i znalazłem się na południu Europy, w krainie, w której zima wygląda jak niekończący się przyjemny polski październik. Taki, w którym czasem może i popada, ale często jest nawet po 20 stopni, wisi słońce na bezchmurnym niebie, a babcie i matki pozwalają pociechom chodzić w rozpiętych kurtkach.

Jest więc głównie jasno i miło. Więc siedzą. Już w Słowenii zaczęli z tym siedzeniem. Ludzie, znaczy, siedzą: w kafejkach, kawiarniach i barach. Cały boży dzień, jakby zupełnie nic innego do roboty nie mieli. To, oczywiście, złudzenie, bo mają, ale czas na to, żeby posiedzieć, musi się znaleźć i koniec.

W Austrii jeszcze nie bardzo siedzieli, może jednak było zbyt germańsko, w końcu niemiecka tradycja zakłada raczej posiedzenie wieczorem w gospodzie na kilka kufelków, czego zresztą wariantem jest kultura czeska, bo niemieckość to coś o wiele więcej niż naród. Niemieckość to, cokolwiek by mówić, rodzaj cywilizacji i obejmuje również kraje, które narodowo niemieckie nie są. Ale w Słowenii już się tak łatwo tej niemieckości nie dawali. Owszem, może i mieli doświadczenie habsburskie, może to austriaccy Habsburgowie im budowali miasta i nadali sznyt prowincji, ale po pierwsze – w świętej pamięci babci Austrii też się siedziało po kawiarniach i piło kawę po wiedeńsku, a po drugie – lata przynależności do Jugosławii jednak zrobiły swoje. Bo Jugosławia to jednak, poza Tità, cudownie wyrafinowanym brutalizmem i Bijelo Dugme wszechobecne pekary, a w nich burki z mięsem albo serem popijane jogurtem (w krainach post-jugo-chrześcijańskich) albo ajranem (na obszarach post-jugo-muzułmańskich). No i to siedzenie, wiadomo.

I teraz wystarczy choćby w lutym zjechać na południe z Alp, wjechać na terytorium Słowenii, i już na pierwszej większej stacji benzynowej – siedzą.

Siedzą sobie na srebrzystych, niklowanych krzesłach wystawionych przed stację i wystawiają się do słońca. I patrzą, jak auta drogą jadą. A na podobnie niklowanych stolikach stoi przed nimi kawa w białych filiżankach, którą popijają małymi łyżkami. Dużymi nie ma sensu, bo wypijesz szybko kawę i co będziesz robić? Drugą zamówisz? A potem trzecią? Serce ci wysiadzie, a tu przy czymś siedzieć trzeba. Sedere necesse est. Siedzenie to życie. To życie inne niż praca i dom. Takie, które pracę i dom uzupełnia. Bez siedzenia, zdarza się, praca i dom smak traci. Bo jak można żyć tylko pracą i domem? Trzeba też czasem wyjść usiąść. Na takim Krk, na przykład, wstawali rano i szli do pustego jeszcze kafejka, a potem, jak dzieci w szkole, zajmowali każdy swój stolik. Dzień w dzień. Każdy siadał tam, gdzie siedział dzień wcześniej, tydzień wcześniej, rok wcześniej, ba, może i tam, gdzie jego ojciec i dziad siadywali, może oni dziedziczyli te stoliki. Jak było na początku, teraz i zawsze. Siadali więc każdy przy swoim, a i tak gadali ze sobą przez cały knajpiany ogródek, bo znali się wszyscy ze sobą doskonale. I to właśnie dlatego, że siedzieli.

No więc pierwsza stacja benzynowa w byłej Jude – i już siedzą. No i na tej stacji benzynowej poza standardowym hot dogiem i trójkątną kanapką z gumowatym chlebem i łososiem, od której zatyka się układ pokarmowy, można już kupić burka. Przy burku fajnie się siedzi.

No i jeśli jechać na południe, to tak jest już na każdej stacji. Siedzą. Siedzą, jakby od tego życie zależało. Siedzą bohatersko i zacięcie. Siedzą majestatycznie. Rozsiadają się. W ciemnych okularach, z paczkami papierosów na stolikach. A na tych paczkach – zapalniczka. Lewicowa Warszawka się za głowy złapie, bo przecież palenie szkodzi, a ja tu o paleniu piszę i palenie promuję – no ale co poradzić: siedzą i palą w najlepsze.

Dlatego często wyjeżdżam zimą na południe. Nie dlatego, że palą, ale dlatego, że siedzą. Srebrzyste krzesła, białe filiżanki i typy w kurtkach, czasem w szalikach i ciemnych okularach. I opalają się w zimie. I gadają. Dym papierosowy i kamienisty krajobraz z jasnozieloną, rachityczną i kłującą jak szatan roślinnością. I stare volkswageny golfy poparowane na poboczach i zapomniane na wieki wieków amen.

Albo na osiedlach. W takim, na przykład, Zagrzebiu, którego ogólnie nie lubię, można sobie jednak zawsze elegancko przysiąść w ogródku osiedlowej kawiarni choćby w lutym. Właściwie chy-



ba na byle blokowisku. Jeszcze dzień wcześniej byłem w ponurej Polsce i jechałem całą noc, przespaliśmy się na parkingu gdzieś pod Mariborem, nakrywając się ultracieplą kurtką, a na drugi dzień w tym pieprzonym Zagrzebiu było już pod 20 stopni i chodłem w lekkiej bluzie. No i cóż: normalne osiedle, późny Tito albo i już po Ticie, czyli – ogólnie – beton, wytarte trawniki, parkowanie na krawężnikach i chleba naszego powszedniego, ale ten chleb powszedni to jednak inna bajka niż u nas. Bo uzupełniony o siedzenie. I jakoś od razu weselej. Osiedle się weselsze robi, jeśli są w nim kafejka i kafenya, a w nich tłum ludzi, którzy nie kojarzą się – jak w Polsce – z nierobami uchlewającymi się po knaj-

Bez siedzenia praca i dom
tracą smak.

Bo jak można żyć tylko
pracą i domem?

Trzeba też czasem wyjść
usiąść



pach, ale z ludźmi realizującymi podstawową życiową potrzebę – interakcji z innymi ludźmi. Nawet jeśli to tylko interakcja bierna, typu usiąść sobie w kafejce i poczytać. Książkę, gazetę, net przescrollować. Ale wyjść z domu. Między ludźmi.

Dlatego blokowiska w takim Skopju czy w Podgoricy, a są to miasta specyficzne, jedno i drugie, nie wyglądają tak beznadziejnie jak atmosfera na byle osiedlu w Polsce w, powiedzmy, niedzielę wieczorem. Nawet najbardziej luksusowym i najbardziej grodzonym. Dlatego że właśnie siedzą. I to nie tak siedzą, jak u nas się siedzi: na ławkach czy na schodkach, że się trzeba ich bać, bo spod byka patrzą. Nie, siedzą w kafejce i są ogólnie raczej zadowoleni. I aż się chce z nimi posiedzieć.

„Nema kafejca” – powiedział o Polsce pewien bośniacki pisarz. Mówił o tym, że polskie małe miasteczka, a w jednym z nich żył jakiś czas, są może i ładne i zrewitalizowane coraz częściej, ale depresji można dostać. Nie ma dokąd pójść. Nie ma kultury chodzenia. Można, owszem, obkoczyć szybko kebasa w Kebabie Faraon albo Sultan Kebab, można nawet usiąść, jeśli jest w środku albo przed lokalem jakiś stolik. Ale to nie to samo. Siądzie się, zje, obetrze nieśmiertelny sos łagodny, ostry albo mieszany – i do domu. Czasem są nawet kawiarnie czy cukiernie, ale świecą raczej pustkami. Ludzie nieprzyzwyczajeni, a i też właściciele często patrzą na siedzących zbyt długo przy jednym stoliku i dwóch kawach na krzyż jak na nieszczęście, co miejsce zajmuje. Choć większość stolików najczęściej jest pustych tak czy owak. I biedny bośniacki pisarz skazany na system praca – dom, a właściwie dom – dom, bo w domu pracował, dostawał w Polsce ciężkiej cholery i depresji. Nie nema kafejca. Nie ma kultury siedzenia.

W wielkich miastach, a i coraz częściej w mniejszych, można sobie niby posiedzieć. Owszem. W jakich posthipsteroidalnych kraftowniach, kawiarniach o okrągłych szyldach stylizowanych na Starbucks. Ale nadal to nie to samo. Nie przychodzą tam wszyscy. A powinni. Panie sąsiadki zająć powinny w drodze ze sklepu. Panowie dziadkowie w drodze do przychodni. Prawnicy w drodze z sądu do aresztu. Dostawcy między dostawą a dostawą. U nas chodzą raczej ci, dla których liczy się świadomy lajfstajl: dizajnerzy z macbookami, studenci z notatkami, modnisie ze smartfonami. I mało kto więcej.

Oczywiście powyższe nie stosuje się do Krakowa. Kraków to inna sprawa. Kraków to Polska innego typu niż reszta Polski. W Krakowie się siedzi, bo tak. I tak jest dobrze. Dlatego w Polsce mogą żyć jedynie w Krakowie. Ale niech dumny Kraków wie, że tak samo jak w nim siedzi się (bo przecież, nie oszukujmy się, o siedzenie tu chodzi) na byle blokowisku w Skopju, Podgoricy czy choćby Kninie.

Wracałem kiedyś z południowej Turcji do południowej Europy samolotem. Zimą. W Turcji się, oczywiście, siedziało. Siedziało się w cholerę i trochę, mimo że czasem zawiało albo przyziębiło. Ale żaden chłodek nie był w stanie powstrzymać naturalnego instynktu siedzenia. Turcy zresztą jako potomkowie stepowych jeźdźców z serca Eurazji musieli się tego siedzenia nauczyć od ludów przez siebie podbitych, bo ich przodkowie bardziej, jak się zdaje, kucali, niż siedzieli. Ale się nauczyli i teraz sobie życia bez siedzenia nie wyobrażają. Zupełnie tak samo jak wspomniany wyżej bośniacki pisarz. I ja też w pewnym momencie przestałem sobie wyobrażać. Wylatuję więc z tej południowej Turcji, ląduję na berlińskim Teglu,

wysiadam i idę przez mroczne, puste – bo to wieczór i ciemno – osiedle mieszkaniowe. Jest, oczywiście, ładnie i posprzątane – ale nema kafejca. Nema i koniec. Szedłem i stanąłem wobec beznadziei życia bez siedzenia. Stanąłem wobec okrucieństwa gołego systemu praca – dom. Szedłem pomiędzy ciągami wypindrzonych niemieckich bloków, poparkowanych porządnie samochodów z zieloną naklejką na szybie mówiącą, że są godne wjeżdżać do centrum tego miasta, albowiem emitują relatywnie mało – i chciało mi się wyć. Kilostrakami nie było kafejca i w dawnym zachodnim Berlinie poczułem się tak beznadziejnie, jak w jakimś Norylsku.

Ale inna sprawa, że Berlin trochę nauczył się siedzieć. Nie, że na Teglu. Tam nie. Ale w centralnych dzielnicach – od Prenzlauer Bergu po jakże inny od tej oberhipsterskiej dzielnicy Neukolln – to tak. Tam, gdzie siedzenia nauczyli Niemców migranci z Południa – to jedno. Ale nawet w mieszczańskich dzielnicach Berlina Niemiec czasem siądzie. Z gazetą raczej niż z komórką, ale siądzie. W ogródku knajpki lub na krzeselku wystawionym przed spāti. Lud berlińskiego centrum, bo osiedli to jednak trochę mniej.

Ktoś powie: łatwo siedzieć, jeśli cały rok ciepło. Ale nie, zimą też da się siedzieć. W takiej Bośni czy Sławonii, nie wspominając o Serbii, są normalne zimy. Zima to zima i koniec. A i tak się siedzi. Jak się już bardzo nie da na polu (bo w dawnej Judze, podobnie jak w Małopolsce i na Podkarpaciu – na polu się siedzi i na pole wychodzi), to w środku kafejny czy kafejca. Albo, jak w muzułmańskim Novim Pazarze – kafejajnicy. Ale i na polu się da. Pod kocikiem, jeśli trzeba. Przy piecu ogrzewającym ogródek otoczony folią. Jak trzeba, to się da, a trzeba, bo siedzenie necesse est.

No więc siedzą, piją kawę. Palą papierosy. Plotkują albo czytają gazety. Tak, tam jeszcze można kupić gazety. Bo coś dobrze jest czytać, jeśli się siedzi. U nas znikają kioski Ruchu, bo nikt już nie potrzebuje papierowej prasy, a jakby co, to zawsze w biegu można sprawdzić newsy na smartfonie. Ale tam, na dole, na Bałkanach, jednak się czyta papier. Ileż można się gapić w komórkę? Oczywiście od tego rwą. Ale czasem i patrzą w te komórki. Młodzi zazwyczaj oglądają jakieś rolki albo sprawdzają ceny aut. Albo mecze sobie na żywo oglądają. Starsi – różnie. W Ulcinju, na przykład, widziałem, jak jeden chłop siedział przy stoliku i z rozkoszą słuchał z telefonu nastawionego na tryb głośnomówiący kwiku świń. Co jest o tyle ciekawe, że Ulcinj leży niby w Czarnogórze, ale żyją w nim głównie Albańczycy, i to w dodatku najczęściej jednak muzułmanie. A oni ze świniami to, ogólnie, nie bardzo. Ale siedział. Siedział, słuchał kwiku świń mieszającego się ze śpiewem muezzina z nieodległego minaretu, z szumem drogowego ruchu, z gwarem przewalających się po ulicach tłumów, z głosami siedzących przy innych stolikach i, cokolwiek by mówić, jego życie wydawało mi się jednak jakoś weselsze od życia ludzi z krajin niesiedzących.

Siedzą. Im bardziej na południe, to głównie chłopcy. Szczególnie w rejonach islamskich. Wiadomo, patriarchat. Ale na szczęście nie tylko. We wspomnianym Ulcinju można było spotkać kobiety w chustach plotkujące przy kawie i stolikach, aż furczało. A na pograniczu Śródziemnomorza i Europy Środkowej to już w ogóle jest prawie fifty-fifty. Ale i na Południu kobiety, wydaje mi się, coraz częściej siedzą. Nie wszystkie pozwalają się mężom czy braciom pozamykać w domu i owinać w materiał. Siedzenie prawem człowieka.

Czasem ktoś mnie pyta, czego może się Europa nauczyć od pracujących na Północ migrantów z Południa. Patriarchatu? O nie, dziękuję. Ogólnego peryferyjnego konserwatyzmu? Absolutnie nie, do widzenia. Religijności? Nie, nie, dość mamy własnej. Z nadstatkiem.

Siedzenia? O, jak najbardziej. ●

• Na południu Europy siedzą, piją kawę, palą papierosy, plotkują albo czytają gazety. Na zdjęciu kawiarnia w Atenach

FOT. YORGOS KARAHALIS/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego

w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

SPÓŹNIENI KOCHANKOWIE

Nie widzieliśmy się od lat, teraz mieliśmy wreszcie okazję wyrazić emocje.
Nawet jeśli to nie nasze słowa, tylko linijki ze scenariusza.

Piotr Guskowski

Odświadczano się jej czterokrotnie, za żadnym razem nie dała odpowiedzi. Z kolei kucharka Eugénie, w którą Juliette Binoche wcieliła się w filmie „Bulion i inne namietności”, konsekwentnie odmawia. Ale znany smakosz Dodin nie daje za wygraną. W kuchni – stanowiącej tu symfonię bulgocącej wody, siekanych warzyw i skwierczącej na patelni ryby czy mięsiwa – idealnie się dopełniają i dogadują właściwie bez słowa.

Dodina zagrał Benoît Magimel, niegdyś życiowy partner Binoche. – Byłam trochę zdenerwowana przed tym spotkaniem. Zastanawiałam się, czy zdolamy się dogadać. Po rozstaniu prawie nie rozmawialiśmy. Nie widzieliśmy się od lat – przyznaje aktorka. – W scenariuszu nie dało się zawrzeć tych wszystkich warstw, emocji, jakie wnieśliśmy ze sobą. Chciałam wykorzystać to doświadczenie, bagaż naszego związku. Na tym polega magia spotkania przed kamerą.

Francuskie dobro narodowe

Jest najbardziej utytułowaną i najlepiej opłacaną francuską gwiazdą filmową. Ciężko zapracowała na status dobra narodowego. Widzowie ją kochają, twórcy cenią. I chyba tylko Gerard Depardieu nie potrafi zrozumieć, dlaczego Juliette Binoche od lat cieszy się takim poważaniem.

A dlaczego w ogóle została aktorką?

W odpowiedzi na to pytanie, zależnie od wywiadu, Binoche przywołuje różne wspomnienia. W jednym z nich ma 9 lat, tata przedstawia jej i starszej siostrze Marion pewnego człowieka: to Charlie Chaplin. W innym, już jako 14-latką, ogląda „Ubu króla” w adaptacji Petera Brooka, z całych sił oklaskuje aktorów i rozumie już, że tak jak oni chce uszczęśliwiać ludzi.

Może nie chodziło wcale o publiczność, tylko o poszukiwanie akceptacji rodziców? Binoche nie odrzuca takiego wytłumaczenia. Oboje artyści, bardzo młodzi, zaangażowani politycznie. Przyszedł maj 1968 r., byli w trakcie rozwodu. Posłali córki do szkoły z internatem na prowincji, gdzie jako kucharka pracowała babcia dziewczynki. Babcia Juliette. A właściwie: Julia. Córka organisty z Jasnej Góry.

Prędzej czy później wątek polskich korzeni Binoche zawsze się pojawia, więc mijamy to z głowy. Wspomniana babcia, czyli Julia Helena (z d. Młynarczyk), przed wojną występowała na deskach Teatru im. Adama Mickiewicza. Wyszła za André Stalensa, syna przemysłowca, który pod koniec XIX w. przyjechał do Częstochowy prowadzić fabrykę włókienniczą. Nie podejrzewał, że zwiąże się z miastem świętej wieży na resztę życia. W kwietniu 1939 r. na świat przyszła Monique – córka Julii i André, matka Juliette. Po wybuchu wojny rodzina Stalensów próbowała uciec do Francji. Zostali złapani i na kilka miesięcy trafili do sowieckiego więzienia we Lwowie. Uratował ich okup.

Dziewczyna ze zdjęcia

Zdarzyło się, że Juliette nie widziała rodziców przez rok. – Zawsze czekałam na uznanie z ich strony – przyznała w rozmowie z „Guardianem”. Po latach pomogła terapią, choć to wczesne doświadczenie odrzucenia i związany z nim ból stały się materiałem, z którego będzie korzystała jako aktorka.

W końcu Monique poukładała swoje sprawy i wzięła dziewczynki do siebie. Zaznaczyła córki miłością do sztuki. Marion została dokumentalistką i fotografką. Juliette dostała od matki pieniądze na zajęcia aktorskie, ale w Paryżu musiała utrzymać się sama. Miała 18 lat. Zakochała się we Włochu i zamieszkała u niego.

To właśnie Fabio zrobił Juliette zdjęcie, które trafiło do rąk Jean-Luca Godarda. Reżyser przemierzał się do współczesnej wersji biblijnej historii o niepokalanym poczęciu. Zaintrygowany młodziutką aktorką zaprosił ją na spotkanie. W „Zdrowaś Mario” Binoche zagrała ostatecznie Marię Magdalenę. Była świeżo po szkole, pełna entuzjazmu. Spodziewała się, że Godard ją poprowadzi, ale okazał się zrzędlawy i zagubiony. Dopiero po latach potrafiła docenić jego uczciwość. – Pokazał mi, że aktor musi być niezależny. Nie może czekać na reżysera, który rozwiąże mu problemy z graniem – mówiła „Wyborczej”.

Jak zauważa krytyczka i historyczka kina Beatrice Loayza, „wiele z wczesnych postaci Binoche było obiektami obsesyjnego, namiętnego pożądania, choć nie do końca femme fatale”. Jak Nina ze „Spotkania”, która przyjeżdża do Paryża, by spełnić aktorskie marzenia i wikła w relacje z zaborczymi mężczyznami. Prowokacyjny film André Téchiné okazał się sensacją festi-

wału Cannes. Wkrótce Binoche zadebiutowała po angielsku. Zagrała u boku Daniela Day-Lewisa w głośnej ekranizacji „Nieznosnej lekkości bytu” Milana Kundery.

Lekcja odmawiania

Z reżyserem Leosem Caraxem poznali się jeszcze przy pracy nad „Złą krwią”. Kolejny wspólny projekt, „Kochanków z Pont-Neuf”, przygotowywali już będąc parą. Ona malowała, on kończył scenariusz o uczuciu rodzącym się pomiędzy parą włóczęgów: niedoszłym artystą cyrkowym i tracącą wzrok malarką. Binoche miała przełamać wizerunek porcelanowej piękności. Wtedy nic nie zapowiadało nadchodzącej katastrofy.

Realizacja filmu okazała się koszmarem. Aktor Denis Lavant zerwał ścięgno i zdjęcia trzeba było przesunąć. Prace się przedłużały. Wydane przez władze Paryża pozwolenie na zajęcie mostu wygasło, co oznaczało konieczność budowy kosztownych dekoracji. Niewiele brakowało, a spełniłoby się zakończenie, które wyobraził sobie Carax w pierwszej wersji scenariusza. W trakcie kręcenia sceny Binoche prawie się utopiła. – Zdałam sobie wtedy sprawę, że moje życie jest ważniejsze niż jakikolwiek film. Nauczyłam się mówić „nie”. Wcześniej, jako młoda aktorka, nie mogłam lub nie wiedziałam, jak to zrobić – stwierdziła w rozmowie z „El Pais”.

Związek z Caraxem rozpadł się przed ostatnim kłapsem. Ze względu na „Kochanków...” aktorka była zmuszona zrezygnować z innych projektów. Żalowała szczególnie spotkania z Krzysztofem Kieślowskim. Mieli razem robić „Podwójne życie Weroniki”. Dlatego kiedy Steven Spielberg zaproponował jej rolę w „Parku Jurajskim”, Binoche odmówiła, żartując: „Mogę zagrać jedynie dinozaura, jeśli chcesz”. Wcześniej dała słowo Kieślowskiemu. Wołała nie zmarnować kolejnej szansy na współpracę z nim. Chodziło o „Trzy kolory: Niebieski”.

Według relacji Binoche polski reżyser do końca zastanawiał się, czy nie jest za młoda do roli Julie – wdowy, która po śmierci męża i córki w wypadku podejmuje próbę uwolnienia się od przeszłości. Podobne wątpliwości miał wcześniej Louis Malle przy obsadzaniu „Skazy”. Binoche pokazała mu wtedy zdjęcie, na którym nie sposób określić w jakim jest wieku. Malle dał się przekonać, więc aktorka spróbowała tego samego „fortelu” z Kieślowskim. Znów zadziało. Zdobyła Cezara i nagrodę na festiwalu w Wenecji.



Hollywood to nie wszystko

Pod koniec lutego 1997 r. zdobyła Srebrnego Niedźwiedzia, a miesiąc później z rąk Kevina Spacey odbierała Oscara dla aktorki drugoplanowej. W „Angielskim pacjencie” Anthony’ego Mingelli wcieliła się w sanitariuszkę opiekującą się poparzonym pilotem zestrzelonym nad Saharą. Grał go Ralph Fiennes, jej Heathcliff z „Wichrowych Wzgórz”. Kolejną nominację do statuetki przyniosła Binoche kreacja właścicielki cukierni, która w „Czekoladzie” Lesse Hallströma rzuca wyzwanie społeczności małego miasteczka.

Na pytanie Jacka Szczerby, dlaczego po Oscarze nie próbowała robić kariery w Ameryce, odpowiedziała krótko: – Bo żeby ją zrobić, trzeba tam być. A moją ambicją jest bywanie na całym świecie. Po co skupiać się na jednym miejscu?

Po sukcesie filmu „Angielskiego pacjenta” wróciła do Francji, żeby pracować z Téchiné. Spielbergowi odmówiła trzykrotnie. Nie zainteresował jej udział w „Mission: Impossible”. Skusiła się za to na „Godzillę” i „Ghost in the Shell”, ale częściej niż w hollywoodzkich produkcjach oglądamy ją w autorskim kinie. Takim jak kontemplacyjna „Podróż czerwonego balonika” tajwańskiego reżysera Hou Hsiao-hsiena.

Nie obawiała się odkrywać emocjonalnie przed widzami w poszukiwaniu prawdy. Droga do niej bywała różna. W „Między dwoma światami” spinała włosy gum-

Przygotowując się do „Bulionu i innych namietności” Juliette Binoche podglądała Pierre’a Gagnaire, słynnego francuskiego szefa kuchni



• Juliette Binoche i Benoît Magimel spotkali się wiele lat po rozstaniu na planie filmu „Bulion i inne namiętności”

FOT. GUTЕК FILM

ką, wkładała gumowe rękawice i szorowała toalety. Scenariusz powstał według reportażu wcieleniowego dziennikarki Florence Aubenas.

Bruno Dumont zamiast scenariusza dał Binoche listy pisane przez Camille Claudel. Chciał, żeby szukała prawdy w improvisacji na bazie jej słów. Film ukazywał losy genialnej rzeźbiarki zamkniętej rodzinę w ośrodku dla obłąkanych.

„Prawdę” znalazła w tytule dramatu Hirokazu Kore-edy, w którym zagrała córkę Catherine Deneuve. Z kolei Claire Denis w „High Life” wysłała Binoche na surrealistyczną podróż w kosmos. W pamiętnej scenie przenosiła na dłoniach spermę pobraną od Roberta Pattinsona wbrew etyce lekarskiej.

– Za każdym razem, gdy oglądam Juliette, śmieję się głośno, bo tak naprawdę nie ma nikogo lepszego – komplementowała doświadczoną koleżankę Kirsten Stewart. Według niej Binoche ma w sobie „onieśmielającą integralność”. Przekonała się o tym podczas pracy nad „Sils Maria” Oliviera Assayasa. Stewart zagrała asystentkę Binoche. A Binoche samą siebie: aktorkę u szczytu sławy, która konfrontuje się z młodością.

Łzy w Cannes

Pytana, czy aktorstwo pozostaje dla niej taką pasją, jak na początku kariery, Binoche mówi, że tak. Z wyjątkiem tych kilkunastu

miesięcy po 40. urodzinach, kiedy poczuła się „twórczo opuszczona”. Szuka dla siebie wyzwania. Jeśli trzeba, sama stwarza okazje. Zadzwoniła do Michaela Hanekego i zaproponowała współpracę. – Zadałem sobie pytanie, co mogę powiedzieć o Francji, czego obywatel tego kraju nie mógłby powiedzieć lepiej – zastanawiał się austriacki reżyser. Skupił się na perspektywie imigranta. Tak powstał „Kod nieznan”. Na udział w kolejnym filmie Hanekego („Ukryte”) aktorka zgodziła się bez czytania scenariusza.

Szukała również okazji do pracy z kimś z Polski. Operator Sławomir Idziak, którego poznała na planie Kieślowskiego, zasugerował Małgorzatę Szumowską. – Gdy czytałam scenariusz Małgośki – mówiła „Wyborczej” przy okazji premiery „Sponsoringu” – podobало mi się, że nie ma w nim manichejskiego podziału: z jednej strony dobrzy, z drugiej zli. Tu wszyscy – młode dziewczyny, które się prostytutują, ich klienci, dziennikarka, jej mąż – są ludzcy, pełni wad, z ciemnymi stronami.

Kilka lat później Binoche u boku Szumowskiej wsparła Czarny Protest. Francuzka wykorzystuje swoją popularność, żeby nagłaśniać sprawy, na które leżą jej na sercu. Dlatego ścięła włosy w geście solidarności z irańskimi kobietami protestującymi po śmierci Mahsy Amini.

To nie pierwszy raz, kiedy upominała się o prawa człowieka łamane przez tamtejszy reżim. W 2010 r. promowała w Can-

nes „Zapiski z Toskanii” Abbasa Kiarostami. Kiedy na konferencji prasowej dowiedziała się, że rodak i przyjaciel reżysera, Jafar Panahi, który miał być jednym z jurorów festiwalu, rozpoczął strajk głodowy w więzieniu w Teheranie, zaczęła płakać. – Jej reakcja wywołała tym większe wrażenie, że Binoche ma, szczególnie we Francji, reputację osoby powściągliwej i nie okazującej emocji – relacjonował „Guardian”.

Zróbmy sobie dziecko

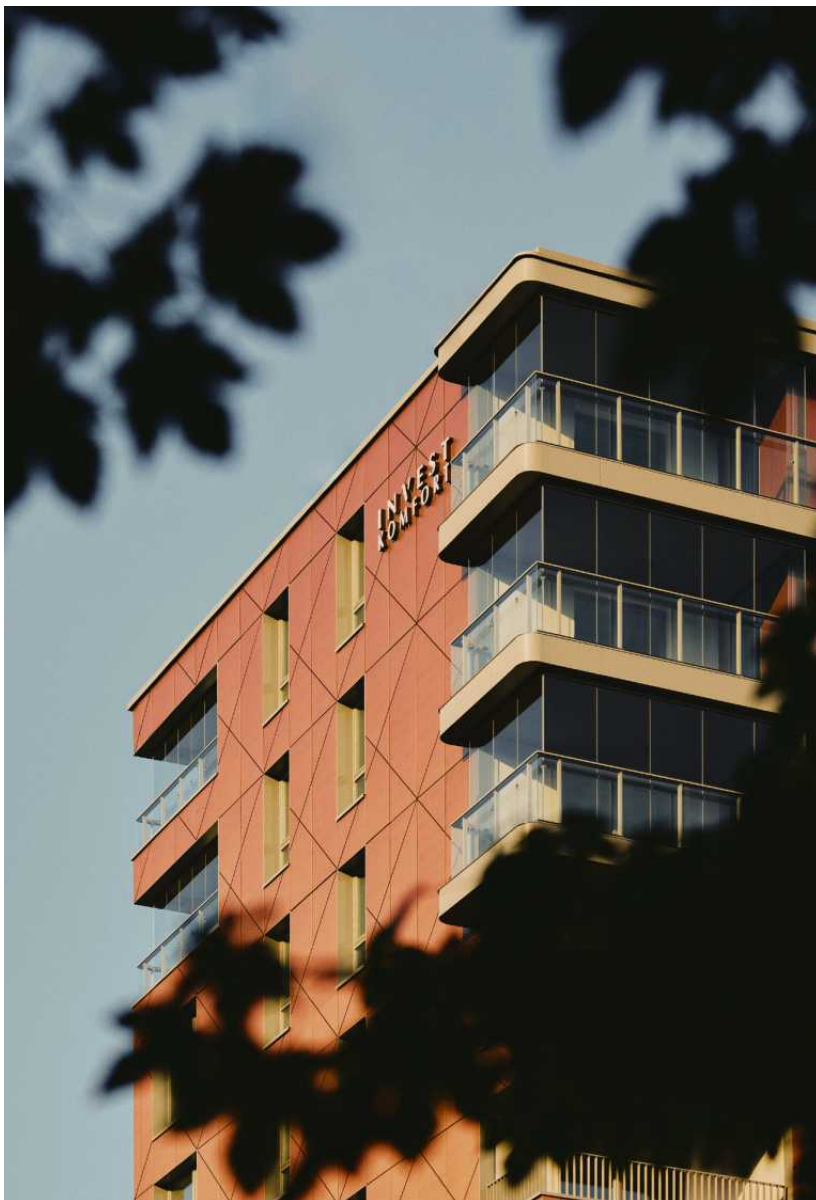
W ramach przygotowań do „Bulionu i innych namiętności” Juliette Binoche podglądała przy pracy Pierre’a Gagnaire, słynnego francuskiego szefa kuchni. Skupiała się na gestach. Gotowanie jest dla niej rodzajem sztuki. Polega na przekształcaniu materii, przez co ma w sobie coś z malarstwa, a nawet aktorstwa. Nie chodzi o perfekcję, tylko wyrażenie emocji, o zbudowanie kompletnego dzieła poprzez smak, konsystencję, fakturę. – Uczę się tekstu, ale tak naprawdę nigdy nie wiem, co ujawni dana scena – przekonuje. – Odkrywam to dopiero w trakcie ujęcia. Dlatego chcę zrobić kolejne duple, żeby spróbować inaczej i zobaczyć, jak to wpłynie na moje przeżycie. To nie intelektualna analiza, raczej kwestia instynktu.

Co instynkt podpowiadał w przypadku Eugénie? – Wiedziałam, że nie zostało jej wiele czasu na uczucia, które w sobie nosi. To na pewno miało znaczenie – mó-

wi Binoche. – Do tego doszły emocje, które sama przeżywałam w związku ze spotkaniem z Benoît. Widzowie nie zdają sobie sprawy, ile z naszego życia osobistego przenika do filmów.

Poznali się w 1998 r. na planie „Dzieci wieku” – biograficznej opowieści o romanse George Sand z Alfredem de Mussetem – i zakochali. Dwa tygodnie po zakończeniu zdjęć Benoît Magimel wprowadził się do Binoche. Pół roku później zaproponowała: zróbmy sobie dziecko. Aktorka miała już wtedy 6-letniego syna Raphaëla z poprzedniego związku (z nurkiem Andrém Hallém). Teraz na świat przyszła Hana. Po pięciu latach się rozstali.

Kiedy krótko przed rozpoczęciem zdjęć kolejny aktor musiał zrezygnować, reżyser Tran Anh Hùng zapytał Binoche, czy może dać scenariusz Magimelowi. – Wiedziałam, że zrobił to tylko z grzeczności i byli już po słowie – mówi aktorka. Od lat praktycznie nie rozmawiali. Dlatego trudno jej było uwierzyć, że znów znalazła się z byłym partnerem w jednym pokoju. Binoche: – Miałam sporo obaw, ale to doświadczenie okazało się uwalniające. Po rozstaniu nie zdążyliśmy sobie powiedzieć wielu rzeczy. Odłożyły się we mnie poczucie krzywdy i frustracji. Teraz mieliśmy wreszcie okazję wyrazić emocje. Nawet jeśli to nie nasze słowa, tylko linijki ze scenariusza. Cieszę się, że mogła to zobaczyć nasza córka. Zobaczyć, że potrafimy się dogadać. ●



fot. Tomo Yarmush

Małokacka to projekt kompletny w każdym szczególe. Jednak rozmach inwestycji nie kłóci się z jej kameralnością, a manufakturowość rozwiązań odczuwa się wszystkimi zmysłami.
- mówi Anna Zygmunt,
Dyrektor ds. Przygotowania Produktu w Invest Komfort.

MAŁOKACKA wkomponowana w skarpe, ukryta w lasie, spoglądająca na Zatokę Gdańską i witająca się z miastem.

Bardzo gdyńska. Nowy koncept mieszkaniowy Invest Komfort, dewelopera od 30-lat tworzącego projekty bezkonkurencyjne w swoich segmentach, uwalnia niezrównany potencjał lokalizacji. Brawurowo wybiera, co w jej okolicy jest wyjątkowe, i łączy to ze standardem osiągalnym dotychczas jedynie dla najbardziej prestiżowych inwestycji.

Małokacka jest miejscem, gdzie miasto spotyka potęgę nadmorskiej natury. Dostrzegli to projektanci ze studia BJK Architekci, którzy w koronach bukowych drzew zanurzyli prostą i oszczędną bryłę. Tutaj siła stali oraz szlachetność miedzi

są ekscytująco skontrastowane z lekkością przeszkleń. Charakterystyczne dla inwestycji rzemieślnicze akcenty, obecne są na każdym kroku.

Bezpośrednia bliskość natury została odzwierciedlona we wnętrzach, dzięki użyciu ciepłych barw i naturalnych materiałów. Są to wyselekcjonowane różne gatunki wykończenia drewna w jesiennych odcieniach, surowa miedź, ekspresyjny granit, przytulne tkaniny i nieoczywiste tapety - mówią Rafał Kaletowski i Maciej Ryniewicz ze Studia Akurat.

Wielofunkcyjny taras dachowy z niesamowitym widokiem został wyniesiony na najwyższą kondygnację. Wypełniona zielenią przestrzeń wypoczynkowa zaprasza do sąsiedzkiej integracji. Urzeka zapierającą dech w piersiach panoramą oraz specjalną strefą kulinarną z grillem, a także ofertą rekreacyjną dla dzieci ze ścianką wspinaczkową. Wspólne, wypełnione śmiechem wieczory i niezwykle

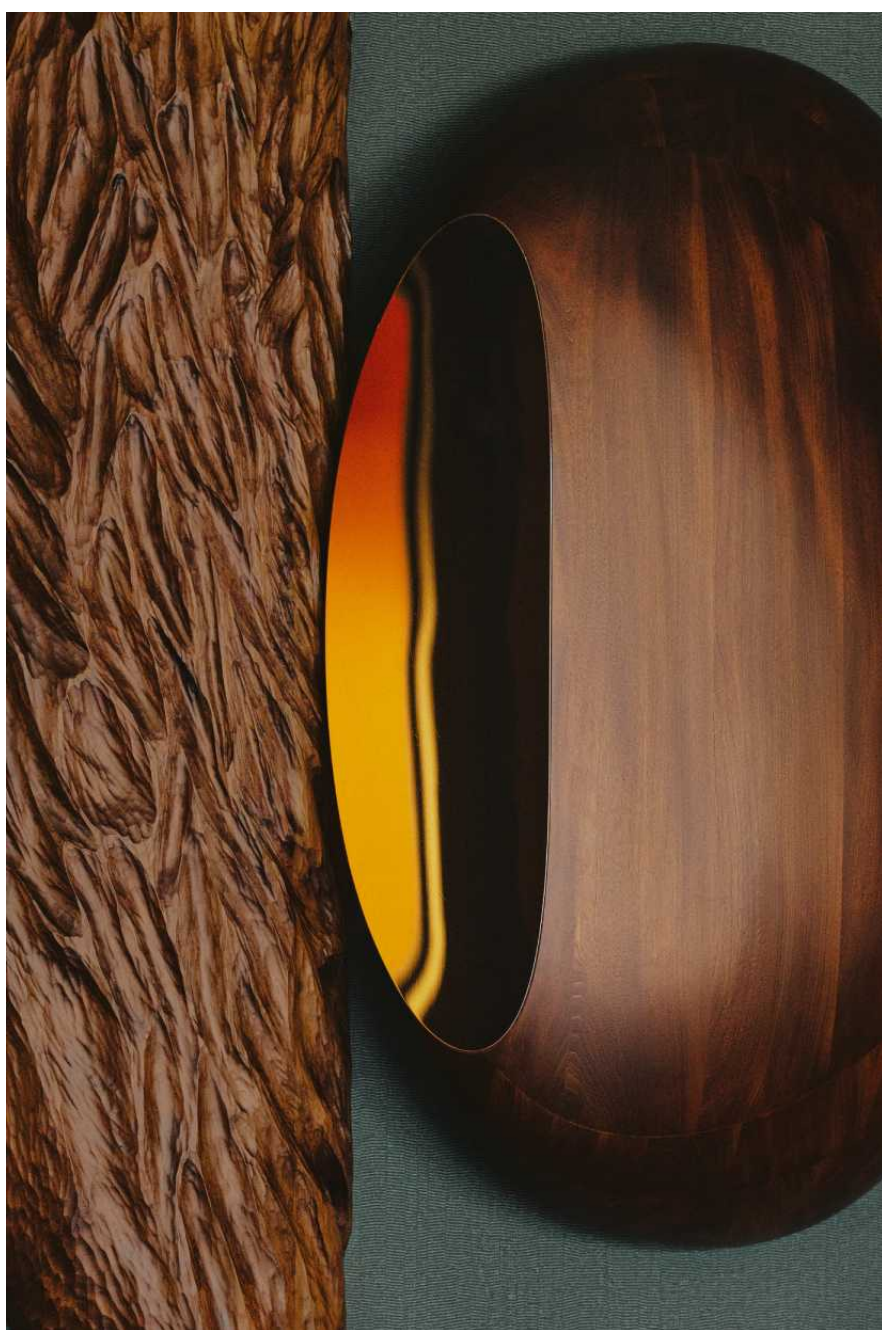
widok na las, Zatokę Gdańską oraz centrum miasta? Tego nie oferuje żadna inwestycja mieszkaniowa w Gdyni.

Część projektu stanowi intymna strefa fitness z profesjonalnym sprzętem oraz zielone patio z przestrzenią do cardio czy treningu personalnego. Wszystko w otoczeniu bukowego lasu i 15 tysięcy nowo nasadzonych przez inwestora roślin. W takich okolicznościach sportowy relaks jest przyjemnością.

W stylowym lobby uwagę przykuwa „Object N.33” autorstwa Anny Bery. Rzeźba pokazuje relację między tym, co ukryte, a tym, co wyeksponowane. Dzięki temu staje się nie tylko ideą, ale materią. Zaprasza, aby samodzielnie nadać jej znaczenie, aby ją dotknąć i poczuć. Nietypowa forma rzeźby sytuuje ją na pograniczu przedmiotów użytkowych i rzeźbiarskich dzieł sztuki.

Taka jest Małokacka.

malokacka.pl



MAŁOKACKA DLA CIEBIE. NA LATA.



fot. Tomo Yarmush



ŻYD *chciał zabić* PREZYDENTA!

Sto lat temu we Lwowie ktoś rzucił bombę w stronę powozu prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. O zamach oskarżono Stanisława Steigera, syjonistę. Niesłusznie.

Z GRZEGORZEM GAUDENEM* ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Denerwowałeś się, pisząc książkę o sprawie Stanisława Steigera?

GRZEGORZ GAUDEN*: Jeszcze jak. Ale lepiej mówić o niedowierzaniu i oburzeniu. Człowiek, o którym pisałem, najpierw siedział w areszcie, czekając, czy nie zostanie w ciągu kilku dni rozstrzelany, a potem ponad rok spędził w więzieniu, choć był niewinny. Jak tu się nie oburzać?

A niedowierzanie... że coś takiego w Polsce było możliwe!

Stanisława Steigera oskarżono go o dokonanie zamachu na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Gdy zacząłem badać tę sprawę, okazało się, że obejmuje także inne śledztwa i procesy.

Kiedy wszystko się zaczyna?

– 5 września 1924 roku około godz. 14.45 na rogu ulicy Kopernika i Legionów we Lwowie, przy wylocie na plac Mariacki, ktoś rzucił bombę w stronę powozu prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Ładunek nie wybuchł, rozpadł się i spłonął. Wybuchła panika, ludzie się rozbiegli.

Natychmiast pojawiły się w tłumie oskarżenia, że winni są Żydzi. Maria Pasternakówna, tancerka Teatru Wielkiego, wskazała policjantom wysokiego, elegancko ubranego mężczyznę o wyraźnie semickich rysach. Najpierw twierdziła, że jest winny, bo uciekał. Dopiero później zmieniła opis i powiedziała, że widziała, jak rzucił bombę.

To wystarczyło?

– Pewnie by nie wystarczyło, gdyby nie to, że Bronisław Łukomski, komendant lwowskiej policji, który odpowiadał za bezpieczeństwo wizytującego miasta prezydenta, zdawał sobie sprawę z tego, że zawalił. Potrzebował jak najszybciej znaleźć winnego. I ten się znalazł w postaci studenta Stanisława Steigera, Żyda, syjonisty. Łukomski natychmiast zaczął montować jego oskarżenie.

Steiger w sądzie zeznał, że gdy po zatrzymaniu wsadzono go do policyjnego auta, Łukomski od razu zawołał: „To ten! Naturalnie! W tej chwili poznać, że to ten!”. Gdy Steiger zaczął się bronić przed zarzutami, Łukomski zareagował antysemickim, obelżywym okrzykiem.

◀ **Stani-
sław Steiger
(w środku)
w Wiedniu
wkrótce po
uniewinnieniu
przez lwowski
sąd. W rogu
jego zdjęcie
więzienne**

FOT. ZE ZBIORÓW
NARODOWEGO ARCHI-
WUM CYFROWEGO;
DOMENA PUBLICZNA

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze komisarz Leon Kajdan, który natychmiast „zajął się” Steigrem. Wyjątkowo parszywa postać. Jego brutalność znana była w całym kraju. Żeromski wspominał o nim w „Przedwiośniu”, gdzie pisał, że warunki, w jakich przebywają więźniowie, „niejednokrotnie prześcigają osławione turny carskie i przeobrażają te więzienia w miejsca kaźni”. Żeromski pisał: „Więźniów bada się prądem elektrycznym. Rozebranego do naga Nykyfora Bortniczuka badał prądem elektrycznym komisarz Kajdan...”.

A Broniewski w wierszu „Do towarzyszy broni” pisał, że „kajdanami dziś dzwoni znowu/ w defensywach komisarz Kajdan”.

Kajdan i Łukomski oraz prokurator Hryniewiecki i sędzia śledczy Rutka robili wszystko, aby wyszło, że zamach przeprowadził Steiger, a stali za nim Żydzi. Chcieli udowodnić, że Żydzi są zagrożeniem dla państwa polskiego. I to nie tylko komuniści, bolszewicy, ale także syjoniści.

Szukano jakichś innych motywów rzekomego zamachu Steigera?

– W jego pierwszym procesie oskarżyciele uważali, że nie muszą szukać motywów. Mieli świadka, Pasternakównę, która zeznała, że widziała Steigera rzucającego bombę, więc po co jeszcze jakieś motyw? Sprawa jest oczywista.

Jednak wszystko się skomplikowało, gdy do sądu dotarły listy od Ukraińskiej Wojskowej Organizacji, która przyznała się do zamachu. To uratowało Steigera przed karą śmierci i natychmiastową egzekucją. W tamtym czasie działała instytucja sądu doraźnego, a więc takiego, który w ciągu 72 godzin mógł dokonać tylko trzech rozstrzygnięć: uznać za winnego i skazać na śmierć, uniewinnić lub przekazać sprawę do rozpatrzenia przez sąd w trybie zwykłym. Dwie godziny po skazaniu na śmierć wykonywana była egzekucja.

Orzeczenie winy wymagało jednomyślności. Jeden z sędziów nabral wątpliwości i ostatecznie Steiger stanął rok później przed 12-osobową ławą przysięgłych.

Tu już oskarżyciele musieli się wykazać większą kreatywnością.

– Przede wszystkim musieli zdyskredytować listy UWÓ i znaleźć motyw. Zaczęło się kreowanie nacjonalistyczno-syjonistyczno-komunistycznego spisku. Lwowski aparat śledczy był zaangażowany w to, by znaleźć albo wytworzyć dowody przeciwko Steigerowi.

Pojawili się domniemani współnicy, którym wytoczono proces karny. Sprawę przeciwko nim opisuję jako proces „Mykietyna oraz Kornhabera i towarzyszy”. To był proces absolutnie skandaliczny. Podczas rozpraw przewodniczący sędzia Jan Franke uniemożliwiał obrońcom zadawanie pytań. „Uchylam to pytanie”, powtarzał co chwilę, kiedy obrońcy zadawali pytania demaskujące manipulacje śledczych.

Nawet syjonistyczni posłowie i oficerowie policji politycznej nie mogli odpowiedzieć na pytania obrońców! Gdy obrońcy protestowali, sąd nakładał na nich kary finansowe.

Większość zeznań w śledztwie została spreparowana albo oskarżeni zostali zmuszeni do podpisywania protokołów z wymysłami śledczych. W finale obrońcy czworga oskarżonych, protestując przeciwko przebiegowi procesu, odmówili wygłoszenia mów końcowych.

W najważniejszej sprawie przeciwko Steigerowi też działy się rzeczy niezwykle. Deus et machina pojawia się nowy świadek koronny – mieszkająca w Wiedniu Wiktoria Lödlowa, która mówi, że widziała, jak Steiger rzuca bombę.

Nieprzychylna Steigerowi „Gazeta Codzienna” pisała: „[oskarżony] po konfrontacji z panią Lödlową trupio błąd, prawie trzęsąc się, siedzi apatyczny i zrezygnowany. Czuć niesłychaną jego konsternację”.

Jednak po wizji lokalnej i pytaniach obrońcy Steigera okazało się, że Lödlowa płacze się w zeznaniach i jest niewiarygodna. To postać fanatycznej katolickiej antysemitki.

Notorycznie ignorowany był wątek ukraiński, bo demolował oskarżenie. Śledczy lwowscy ukrywali dowody ukraińskiego sprawstwa.

Jak dużą rolę w tym odgrywa fakt, że zamach wydarzył się we Lwowie?

– Ukraińcy wizytę prezydenta Wojciechowskiego we Lwowie odebrali jako prowokację okupanta w ich mieście. I postanowili zareagować zamachem.

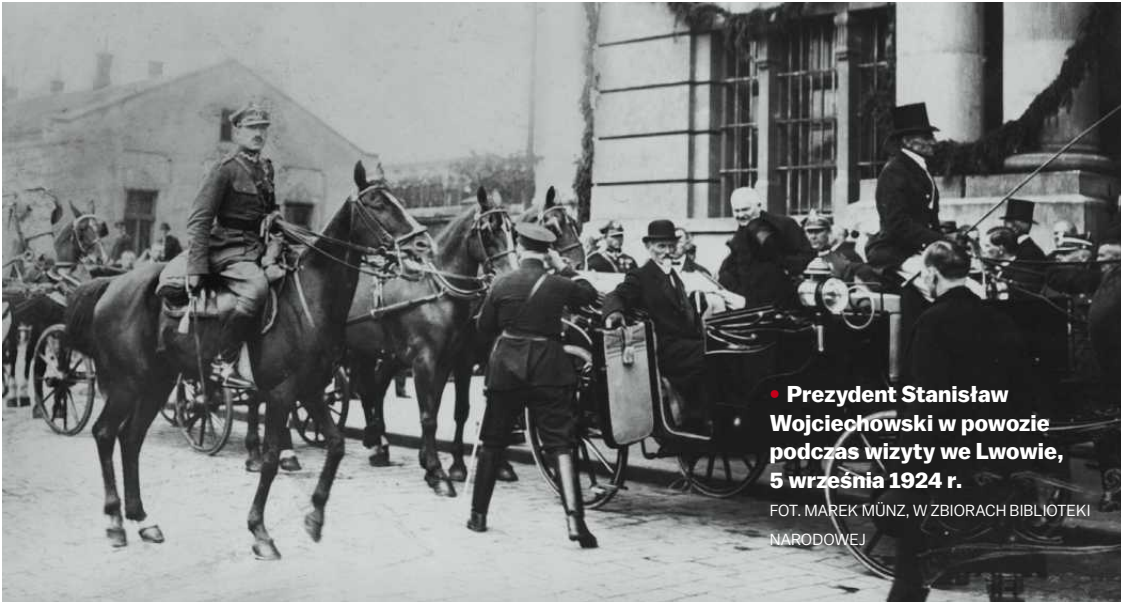
Lwów był miastem o niewiarygodnym znaczeniu dla Polski przez prawie 600 lat. Warto jednak pamię-

tać, że do połowy XVI wieku księgi miejskie były prowadzone po niemiecku i po łacinie. Pod zaborami był najbardziej polskim miastem, z dużą autonomią, miastem wielu języków i nacji.

Świadkowie podczas procesów zeznawali po polsku, ukraińsku i niemiecku. W stenogramach z procesów sądowych pojawiają się też czeskie nazwiska. To był niezwykle splątany etnicznie świat.

Miasto pełne było też wrogości wobec Żydów. Pokazał to pogrom z listopada 1918 roku dokonany przez legendarnych obrońców Lwowa. Komentantem obrony Lwowa był Czesław Mączyński, o którego haniebnych działaniach pisałem w mojej poprzedniej książce, „Lwów – kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918”. Trzeba powiedzieć, że na honorowym miejscu cmentarza Obrońców Lwowa leży zbrodniarz wojenny odpowiedzialny za pogrom.

We Lwowie rządzili endecy. Gdy lwowska, endecka prasa z – być może udawanym – entuzjazmem witała prezydenta Wojciechowskiego, to prasa ukraińska wypominała im, że to przecież fanatyczny endek, nacjonalista, „przedstawiciel



• **Prezydent Stanisław Wojciechowski w powozie podczas wizyty we Lwowie, 5 września 1924 r.**
FOT. MAREK MÜNZ, W ZBIORACH BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Narodu Panów” Eligiusz Niewiadomski zabił strzałami w plecy poprzedniego prezydenta Gabriela Narutowicza.

Jak skomplikowany i niezwykle był Lwów, świetnie pokazuje skład obrońców w sprawie Mykietyna oraz Kornhabera i towarzyszy. Mec. Michał Grek był związany z PSL „Lewica”, mec. Leib Landau był socjalistą, bundowcem, mec. Tadeusz Dwernicki był legionistą i pilsudczykiem, a mec. Jan Pieracki działaczem narodowym. I wszyscy solidarnie protestowali przeciw bezprawiu, które miało miejsce w śledztwie.

W sprawie Steigera to ukraińscy nacjonaści – przyznając się do zamachu – wspierają syjonistycznych Żydów przeciwko polskim antysemitom. Niesamowity konglomerat idei.

– Tak. Opisuję losy tej zgody ukraińsko-żydowskiej. To zasługa polskiego antysemityzmu i polskiej antyukraińskości.

Polska odrzuciła żydowskich asymilantów. Jeden z czołowych zwolenników asymilacji, obrońca Steigera Natan Löwenstein, w mowie końcowej wypunktował antysemickie uprzedzenia oskarżycieli. Żarliwie mówił: „Tu nasza ojczyzna! I póki żyjemy, myśmy tu nie goście!”. O tym, jak na plotce i insynuacjach kształtowane są antysemickie oskarżenia, mówił: „Tak szczury roznoszą dżumę!!!”

Tę wspaniałą mowę, ostatnią w swojej karierze, wygłosił tydzień po śmierci żony, także zasłużonej polskiej patriotki. Przytaczam ją w obszernych fragmentach. Löwenstein, wielki polski patriota, z goryczą mówi o tym, jak wygląda w roku 1925 wolna, wymarzona ojczyzna. Czytałem tę mowę na samym początku pracy nad książką, ale w pełni zrozumiałem ją dopiero po zrekonstruowaniu sprawy Steigera.

We Lwowie pojawił się wtedy załączek polskiego faszyzmu. Demonstranci na antysemickim wiecu po uniewinnieniu Steigera pod pomnikiem Mickiewicza śpiewali hymn włoskich faszystów. A mamy dopiero połowę lat 20. XX wieku!

Dlaczego porównujesz sprawę Steigera z Dreyfusem?

– Chodzi o ten sam mechanizm – zaangażowanie aparatu państwa do antysemickiej nagonki i całkowicie świadomego parcia przez funkcjonariuszy państwa do zbrodni sądowej.

To nie był antysemityzm uliczny, antysemityzm ludowy. To antysemityzm elit, pielęgnowany w gabinetach wysokich urzędników państwa polskiego. Sędzia śledczy, nadprokurator i jego prokuratorzy, sędziowie orzekający w sprawie Steigera, protokolant sądowy, komendant policji we Lwowie, szef ekspozytury policji politycznej w tym mieście działają kierowani nienawiścią do Żydów. Antysemityzm zakorzenia się w machinie państwa polskiego we Lwowie i powoduje mroczne, obsesyjne zaangażowanie w to, żeby udowodnić, że zamachu na prezydenta dokonał Żyd. Prawda nie ma znaczenia.

W sprawie Dreyfusa francuskie wojsko, sąd i prokuratura robią dokładnie to samo.

Historia lat 20., którą poznajemy w szkole, wprowadza się zasadniczo do dwóch-trzech wydarzeń. Wojna polsko-bolszewicka, zamordowanie Narutowicza, zamach majowy i zaraz kryzys. Okazuje się jednak, że był to dużo bardziej niepokojny czas.

– To był bardzo trudny czas dla Polski, która wciąż była zagrożona ze wschodu i zachodu. Sowietci

porywali na granicy polskich żołnierzy, ukraińscy nacjonaści nie wahali się z użyciem terroru w stosunku do Polaków, ale także tych Ukraińców, którzy optowali za współpracą z polskimi władzami. Berlin wspierał UWÓ i jej następców, a Moskwa komunistów.

Słynna – i również zahaczająca o sprawę Steigera – jest sprawa Wieczorkiewicza i Bagińskiego, oskarżonych pod koniec 1923 roku o zamach na warszawską Cytadelę. Ta sprawa do dzisiaj nie jest w pełni wyjaśniona, zwłaszcza że obaj skazani za zamach w momencie jego dokonania siedzieli w więzieniu. Obaj byli też oficerami Wojska Polskiego, wcześniej należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej, ale po 1918 roku wstąpili do partii komunistycznej i zaangażowali się w dywersję.

W sprawie zamachu na Cytadelę dowody przeciwko nim były wątpliwe. Finalnie przed rozstrzelaniem uratował ich prezydent Wojciechowski. Zginęli jednak podczas wymiany więźniów z ZSRR – samosądu dokonał szeregowy policjant Józef Muraszko. Cała ta historia ma również niezwykle finał – w 1939 roku Muraszko okazał się agentem Gestapo i zginął wkrótce po wyroku wydanym przez Polskie Państwo Podziemne.

Jak sprawa Wieczorkiewicza i Bagińskiego ma się do sprawy Steigera?

– W rozpracowanie zamachu na Cytadelę i potem próbę odbicia skazanych zaangażowany był Józef Cechnowski, agent policji politycznej. Jesienią 1924 roku warszawska policja polityczna na polecenie ministra sprawiedliwości badała sprawę zamachu na prezydenta. Cechnowski był w tej grupie policjantów. Warszawa nie ufała lwowskim śledczym i działała we Lwowie w tajemnicy przed nimi.

Cechnowski został zamordowany, gdy w lipcu 1925 roku przyjechał ponownie do Lwowa na proces Mykietyna oraz Kornhabera i towarzyszy zeznawać jako świadek. Zastrzelił go Naftali Botwin, fanatycznie oddany komunistom, pochodzący z niezwykle biednej rodziny chłopak. Botwin został skazany na śmierć w trybie doraźnym. To właśnie po jego egzekucji Broniewski napisał słynny wiersz „Na śmierć rewolucjonisty”.



Grzegorz Gauden

Polska sprawa Dreyfusa. Kto próbował zabić prezydenta

Agora, Warsza-
wa 2024



„A z tej celi pustej i chłodnej/ trzeba będzie niedługo odejść./ jeszcze spojrzeć w niebo pogodne./ jeszcze spojrzeć za siebie – w młodość”.

– Znakomity wiersz. Tak potrafił pisać tylko Broniewski. Los Botwina jest przejmujący, bo on naprawdę wierzył, że to, co zrobił, służy rewolucji i wydobyciu ludzi z nędzy, którą znał całe życie. Zatrzymany na miejscu zbrodni nie zaprzeczał swojej winie, a gdy już miał zostać rozstrzelany, mimo prośby matki nie przyjął w celi śmierci rabina.

Ponoć, idąc na śmierć, śpiewał słabym głosem „Międzynarodówkę”. Oczywiście „Gazeta Codzienna” wykorzystała sprawę Botwina do szczucia na Żydów. Pisano: „Śmierć opryszka żydowskiego może ostudzi na przyszłość zapaly rozbestwionych Machabejczyków”.

Na marginesie warto powiedzieć, kto kazał Botwinowi zabić Cechnowskiego i wręczył mu broń. Był to Stanisław Radkiewicz, późniejszy minister bezpieczeństwa publicznego w Polsce w najgorszych stalinowskich czasach.

Sprawa zamachu na Wojciechowskiego była w Polsce głośna?

– W czasie procesu tak. Także za granicą. Potem ucichła. W maju 1926 roku dochodzi do zamachu stanu, prezydenta Wojciechowski rezygnuje z urzędu...

Prasa antysemicka straciła zainteresowanie sprawą po uniewinnieniu Steigera. Zaskoczyło mnie jednak, że nie znalazłem właściwie żadnych poważnych komentarzy i protestów polskich intelektualistów.

Nie było polskiego Emila Zoli. Trzeba pamiętać, że to właśnie słynny pisarz oskarżył państwo francuskie o zmonto-
wanie sprawy na podstawie antysemickich motywów.

W kluczowym dla procesu Steigera momencie wybuchł międzynarodowy skandal.

– W październiku 1924 roku niemiecka policja graniczna zatrzymała Teofila Olszańskiego, Ukraińca, który oznajmił, że uciekł z Polski, bo dokonał zamachu na Wojciechowskiego. Olszański dostał azyl polityczny w Niemczech.

Od agenta działającego w niemieckiej policji politycznej dowiedziała się o tym defensywa policyjna w Katowicach. Przekazała informację do Lwowa. Tamtejsi śledczy ją ukryli.

Odnalazł ją jednak obrońca Steigera Leib Landau i ujawnił na sali sądowej. Miało to swoje konsekwencje. 21 października 1925 roku w pruskim Landtagu poseł SPD Hermann Badt wniósł interpelację w sprawie procesu Steigera – zapytał, co rząd ma zamiar uczynić z dokumentami, które wskazują, że sprawca zamachu na prezydenta Polski jest w Berlinie.

Ujawnienie Olszańskiego i jego późniejsze zeznania w berlińskiej policji doprowadziły do tego, że Steiger został uniewinniony. Ale nie jednomyślnie!

Bardzo dużo piszesz o atakach endeckiej prasy nie tylko na samego Steigera, ale też na jego obrońców i tych, którzy stają po jego stronie. Atmosfera była pogromowa?

– Zdecydowanie. To, co wyprawiała „Gazeta Codzienna”, było niewiarygodne. Gdy po wielu poszukiwaniach dotarłem do egzemplarzy tego dziennika, cierplem, czytając. Co to był za język! Jedyną misją tego brukowca było szczuć na Żydów. Dziennik wprost „ostrzegał” Żydów przed pogromem. I wzywał do wspólnego polsko-ukraińskiego pogromu!

„Słowo Polskie” i „Gazeta Codzienna” doprowadziły do tego, że po wyroku uniewinniającym Steigera doszło we Lwowie do demonstracji, demolowania lokali i wybijania szyb. Demonstranci poszli pod dom wspaniałego obrońcy Steigera, wybitnego adwokata Michała Greka, przy ul. Kraszewskiego 7.

Wybili szyby w oknach jego mieszkania. Wdarli się do kamienicy. Mecenas Grek musiał uciekać, bo groził mu lincz.

Wydaje mi się, że dzisiaj jest jednak lepiej – każdy ma chociaż odrobinę szansy, by zweryfikować to, co przeczytał.

– Wtedy też mógł. W międzywojniu była taka tradycja, że gazety wywieszały szpalty w gablotach – dla tych, których nie było stać na zakup. I bez problemu można było przeczytać różne dzienniki za darmo. Wystarczyło się przespacerować i już można było przenieść się do innej bańki medialnej, używając współczesnej terminologii. Jedyne dodatki specjalne były dostępne tylko po zakupie.

Rzadko prostowano kłamliwe informacje. Ówczesny PAP, czyli Polska Agencja Telegraficzna, potrafiła rozesłać kłamliwą informację z procesu Steigera, ale jej nie sprostowała po zdemaskowaniu kłamstwa.

Pełne stenogramy z procesów publikowała syjonistyczna „Chwila”. Dziennik uznał, i słusznie, że to jedyna szansa na to, by pokazać, jakich machinacji dokonywali policja, sędzia śledczy, prokuratura i sędziowie w sali sądowej.

Gdy próbowano w artykułach krytykować władze, gazety były konfiskowane przez prokuraturę, ale prawo zabraniało konfiskować słowa wypowiedziane w sali sądowej. Publikowane dokładne stenogramy miały ogromną siłę. Każdy mógł sam przeczytać, co się działo podczas procesu.

Co się stało ze Steigerem po uniewinnieniu?

– Musiał wyjechać ze Lwowa, bo w dalszym ciągu przez polskich nacjonalistów był traktowany jak winny. Wrócił na krótko dopiero w 1938 roku. Wszystko przez proces Adama Doboszyńskiego, który w 1936 roku urządził pogrom w Myślenicach.

Podczas procesu Doboszyńskiego we Lwowie jego adwokat powiedział, że w tej sali sądzony był Stanisław Steiger, sprawca zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej. Wtedy Steiger wytoczył mu proces o ochronę dóbr osobistych. Sprawa nie zakończyła się wyrokiem, bo Pozowski – tak nazywał się adwokat – na początku stycznia 1939 roku zatrul się gazem.

Sam Steiger mieszkał z rodziną w Będzinie, gdzie prowadził kancelarię adwokacką. Do Lwowa wrócił po wybuchu wojny i wtedy ślad po nim się urywa. Nie wiemy, czy zginął w obozie janowskim, lwowskim getcie czy może w Belżcu.

Sprawa Steigera to cztery procesy. Pierwszy trwał trzy dni, drugi miesiąc, trzeci dwa dni, a ostatni ponad dwa miesiące. To ogromny materiał.

– Materiał jest gigantyczny, bo obejmuje jeszcze śledztwa. Pokazuję tylko część. Książka jest pełna nazwisk, cytatów z dokumentów, ze stenogramów i z prasy. Chciałem jednak pokazać bebechy sprawy, kulisy spisku antysemitów w polskim wymiarze sprawiedliwości.

Całą tę sprawę można by przecież streścić w jednym zdaniu: oskarżono Żyda o rzucenie bomby, ale po półtora roku go uniewinniono. Dopiero jak się przeczyta, jak postępowali śledczy, jak manipulowali w śledztwie, jak działały prokuratora i sąd, co się działo podczas rozpraw, jaki jest język protokołów i publikacji prasowych, wtedy się widzi, w jakim świecie żył Steiger.

Co by było, gdyby Steigera skazano na karę śmierci w pierwszym procesie lub – później – na więzienie? Gdyby „udowodniono”, że „Żydzi chcieli zabić prezydenta”?

– Pogrom. ●

Grzegorz Gauden – prawnik i ekonomista. W latach 2004-06 był redaktorem naczelnym „Rzeczypospolitej”. W latach 2008-16 roku dyrektor Instytutu Książki. W roku 2019 wydał książkę „Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918”, za którą otrzymał Nagrodę Historyczną „Polityki”. Członek Polskiego PEN Clubu.

Motyka

Okruchy historii

Podwójne standardy IPN

Masowa przemoc podczas akcji „Wisła” budzi mniejsze emocji we władzach IPN niż piosenka „Imagine” Johna Lennona.



17 lipca Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił postanowienie prokuratury IPN o umorzeniu śledztwa w sprawie akcji „Wisła”. Jeszcze zanim po miesiącu IPN wykrztusił z siebie komunikat prasowy w tej sprawie, prezes Instytutu Karol Nawrocki wystąpił w mediach społecznościo-
wych w koszulce z podobizną red. Przemysława Babiara, uznając, że jego głośna wypowiedź o piosence „Imagine” Johna Lennona „była powiedzeniem prawdy o strasnej idei, jaką jest komunizm”.

Te dwa z pozoru różne wydarzenia dobrze pokazują podwójne standardy obowiązujące dziś w IPN wobec rozliczeń z komunizmem i PRL.

Przypomnijmy, że akcję „Wisła” przeprowadzono w 1947 roku na polecenie Biura Politycznego PPR. Wprost wzorując się na rozwiązaniach deportacyjnych przyjętych w ZSRR, kierownictwo PPR arbitralnie obciążyło wszystkich obywateli polskich narodowości ukraińskiej i lemkowej, z racji ich pochodzenia, odpowiedzialnością za działalność UPA. Dlatego skonfiskowano im gospodarstwa i przymusowo wywieziono na ziemie zachodnie i północne, gdzie zostali rozsiadli w dużym rozproszeniu.

Wysiedleńcy z akcji „W”, pozbawieni możliwości zmiany miejsca zamieszkania oraz kulturowania własnej kultury i religii, mieli ulec szybkiemu wynarodowieniu. Przymusowe przesiedlenia i połączone z nadzorem policyjnym i administracyjnym osadzenia objęły 140 tys. ludzi, wśród których było też kilkanaście tysięcy etnicznych Polaków z różnych powodów niewygodnych dla lokalnych struktur PPR.

Tak masowe złamanie podstawowych praw obywatelskich było oczywiście zbrodnią, jednak prokuratura IPN nie dopatrzyła się w operacji znamion przestępstwa. Jej zdaniem została ona przeprowadzona w sposób wręcz humanitarny.

Nic więc dziwnego, że sąd poddał decyzje prokuratury miazdzącej krytyce, uznając, iż ta w swoim uzasadnieniu bez mała na siłę próbuje znaleźć usprawiedliwienie dla masowej deportacji, powtarzając przy tym „argumenty żywcem wyjęte z propagandy z czasów stalinowskich”.

Zwrócił też słusznie uwagę, że prokuratura zlekceważyła wieloletni dorobek naukowy wypracowany przez historyków. Niby przesłuchano niektórych ze znawców tematyki, jednak ich wypowiedzi faktycznie zlekceważono. Natomiast główny wywód na rzecz umorzenia sprawy oparto na ekspertyzie jednego z pracowników IPN nieposiadającego ani stopnia naukowego, ani poważnego dorobku.

Niestety, ze stanowiskiem pionu śledczego zgodziło się kierownictwo Instytutu z prezesem Nawrockim na czele.

Masowa przemoc wobec obywateli polskich innej niż polska narodowości, nawet jeśli ją stosowali komuniści, nie wzbudziła emocji we władzach IPN. Poruszenie i szybka reakcja wywołała natomiast piosenka Johna Lennona zaśpiewana w trakcie ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu.

W pacyfistycznym hymnie Lennona wzywającym do zbudowania świata bez dzielących go granic, narodowości i religii prezes Nawrocki dopatrzył się komunistycznej propagandy. W pedagogicznym wpisie w portalu X przypomniał więc o dziesiątkach milionów niewinnych ofiar komunizmu i odesłał do bogatego dokumentacyjnego dorobku IPN w tej materii. Nie wyjaśnił jednak, w jaki sposób za tę hekatombę miałby niby odpowiadać Lennon.

Nawet jeśli żywił eurokomunistyczne złudzenia, to w żaden przecież sposób nie uczestniczył w aparacie terroru. Bo niby zresztą jak? Nie słyszałem nawet, by kwestionował zbrodnie komunizmu, tak jak robił to na przykład George Bernard Shaw negujący choćby fakt Wielkiego Głodu na Ukrainie.

W piosence Lennona dostrzegam bardziej pacyfistyczny idealizm niż faktyczną pochwałę zbrodniczego systemu. Pacyfizm, dodajmy, tak naiwny, że aż wzruszający.

Nawrocki w swoim wpisie zauważył słusznie, iż „prawda o komunizmie wciąż boli”, dlatego „mamy obowiązek reagować, wszyscy”. Ale właśnie z tego powodu powinien zdecydowanie potępić akcję „Wisła”, tak jak wielokrotnie robił to choćby prezydent Lech Kaczyński! Nie wiem, jak dla innych, ale dla mnie to strasznie smutne, kiedy urzędnicy państwa polskiego, kierując się nacjonalistycznymi zabobonami, gotowi są usprawiedliwiać prawdziwe stalinowsko-bierutowskie zbrodnie, natomiast w słowach popularnej piosenki dopatrują się pochwały absolutnego zła. ●

TAJEMNICA DWÓCH KATASTROF

W 1962 roku LOT kupił trzy nowoczesne samoloty Vickers Viscount. Jeden rozbił się na Okęciu już po miesiącu, drugi niecałe dwa lata później w Belgii.

Przemysław Semczuk

W

W pierwszym wypadku śmierć poniosło 33 pasażerów i pięciu członków załogi, natomiast 20 sierpnia 1965 roku w Belgii zginęła wyłącznie załoga, dwóch pilotów i dwie stewardesy, bo samolot wracał z Francji do Polski bez pasażerów. Winą za wypadek na Okęciu obarczono pilotów. Do dziś nie ma pewności, dlaczego na ziemię spadła druga maszyna, co rodzi teorie spiskowe. Belgijscy pasjonaci lotnictwa i historii są przekonani, że samolot został zestrzelony przez NATO-wski myśliwiec, gdyż wykonywał misję szpiegowską. Dzięki dokumentom zachowanym w IPN wiemy dziś więcej nie tylko o kulisach obu katastrof, ale też o tym, jak w latach 60. działały Polskie Linie Lotnicze „LOT” oraz jaka prowizorka towarzyszyła funkcjonowaniu lotniska na Okęciu.

WYJĄTKOWA OKAZJA

W 1962 roku LOT regularnie latał na 17 zagranicznych trasach. Korzystał jedynie z trzech wysłużonych amerykańskich convairów i kilkunastu radzieckich ilów-14. Potrzebował więc nowych samolotów – większych, średniego zasięgu. Kupił wprawdzie trzy turbośmigłowe ily-18, o których prasa pisała, że „cały świat patrzy na nie z zazdrością”. W rzeczywistości były to przerobione amerykańskie bombowce B29 i z tego powodu pasażerowie z Zachodu nie chcieli nimi latać. Komunistyczne władze zmuszone były kupić porządne, zachodnie samoloty, ponieważ LOT na zagranicznych trasach zarabiał w dolarach. Wyjątkowa okazja nadarzyła się, gdy linie British United Airways wystawiły na sprzedaż trzy samoloty Vickers Viscount 804 (z ang. wicehrabia). Model ten – oblatany w 1948 roku – nie był szczytem



• Szczątki samolotu Vickers Viscount 804, który rozbił się 19 grudnia 1962 roku w pobliżu lotniska Okęcie. Poniżej jeden z Viscountów, jakie PLL LOT kupił od Brytyjczyków FOT. PAP/HENRYK GRZĘDA



FOT. ZBIORY PRZEMYSŁAWA SEMCZUKA

nowoczesności, ale od ilów-14 latał dwa razy szybciej, spalał dwa razy mniej paliwa, zabierał dwa razy więcej pasażerów i obowiązywał go dwukrotnie dłuższy czas pomiędzy przeglądami. Vickersy latały w 57 liniach lotniczych, we flotach sześciu rządów, pięciu towarzystw handlowych, a jeden wyprodukowano dla prywatnego właściciela. W powieści Iana Fleminga „Pozdrowienia z Moskwy” viscountem podróżował James Bond, agent 007.

KONTROLERÓW NIE CHCEMY!

Na szkolenie do Wielkiej Brytanii pojechało 18 najlepszych polskich pilotów. W pierw-





szych dniach listopada 1962 roku do londyńskiego portu Gatwick przyleciał także dyrektor techniczny LOT.

Anglicy byli zadowoleni z wyników szkolenia, ale pilotom pozostał jeszcze ostatni jego etap. Zanim zaczną samodzielnie latać, muszą przez pewien czas pilotować maszyny pod okiem angielskich instruktorów. Brytyjczycy powinni więc niejako przejść do LOT i nadzorować ich pracę. Polska strona musiała jednak pokryć koszty.

Dyrektor odmówił. Wyjaśnił, że piloci LOT zawsze szkolili się w systemie radzieckim i nadzór angielskich instruktorów nie jest im potrzebny.

Ale to nie była prawda, bo w Związku Radzieckim do ostatniego etapu szkolenia przykładano również największą wagę. W ZSRR kurs wprowadzający na ila-18 trwał trzy miesiące, a po nim przez kolejny miesiąc pilot latał pod nadzorem instruktora.

Przedstawiciele British United Airways zaoferowali wysłanie swego instruktora za darmo, ale i ta propozycja została odrzucona.

Brytyjczycy nie mogli wstrzymać wydania samolotów, ale odmawiali podpisania licencji pilotom, bez których latać vickersami się nie dało. Zgodzili się jedynie na odebranie przez Polskę maszyn i przelot do Warszawy bez pasażerów.

Z tej trudnej sytuacji dyrekcja LOT znalazła rozwiązanie: skoro dwuosobowe załogi muszą latać z instruktorem, to do kokpitu trafi trzeci pilot. Za sterami usiądzie kapitan i drugi pilot, a za ich plecami będzie czuwał jeszcze jeden kapitan. Dodatkowa para oczu i uszu ma zapobiec popełnieniu błędów.

Brytyjczycy ostatecznie zgodzili się na to.

Pierwszy viscount wylądował na Okęciu 6 listopada 1962 roku. Czekał na niego tłum warszawiaków, dyrekcja LOT i władze partyjne. Następnego dnia na pokład weszli dziennikarze. Zachwytom nie było końca.

Maszyna otrzymała znaki SP-LVA, a kontrolerzy wywoływali ją po prostu Victor Alfa. Już po kilku dniach obsługiwał linię.

Dwa tygodnie później w Warszawie wylądował drugi samolot – SP-LVB, Victor Bravo.

TRAGEDIA NA OKĘCIU

Niespełna półtora miesiąca później, 19 grudnia. Victor Bravo wracał z Brukseli z międzylądowaniem w Berlinie wschodnim. Kilka minut po siódmej wieczorem kapitan Mieczysław Rzepecki wywołał wieżę kontroli na Okęciu. Kontroler podał warunki: pogoda dobra, widoczność siedem kilometrów, podstawa chmur na wysokości 270 metrów.

Wokół lotniska pracowały jednak tylko dwie z trzech radiolaterni. To absolutne minimum, aby podejść do lądowania. Tymczasem piloci mieli problem, by namierzyć ich sygnał. Jedna milczała, a drugą ledwie było słychać. Poprosili o sprawdzenie, co się dzieje. Zrobiło się nerwowo.

Pierwsze podejście do lądowania się nie udało. Maszyna ponownie nabrała wysokości i weszła na drugi krąg. Piloci wciąż nie mogli namierzyć sygnałów nawigacyjnych. Mimo to podjęli drugą próbę.

Następnego dnia na pierwszej stronie „Express Wieczorny” wielkim nagłówkiem informował: „Tragiczna katastrofa na Okęciu. Samolot LOT-u – Vicount-804 rozbił się przy lądowaniu. 33 osoby poniosły śmierć”. W tekście podano, że nic nie wzbudzało obaw. Podejście do lądowania było normalne.

Do zbadania wypadku powołano specjalną komisję. Po latach znany pilot samolotów pasażerskich kapitan Tomasz



• Ślad na polu w Smisveld, nieopodal Jeuk, gdzie 20 sierpnia 1965 roku spadł Vickers Viscount 804 Polskich Linii Lotniczych LOT

FOTOGRAFIA Z RAPORTU BELGUSKIEJ KOMISJI BADAJĄCEJ PRZYCZYNY WYPADKU

Smolicz napisał na łamach „Przeglądu Lotniczego”, że był jednym z jej członków. Według wersji, którą przedstawił, na Okęciu nie działała jedna radiolatarnia. Piloci zdecydowali się odejść na drugi krąg i powtórzyć podejście. Miał zwyciężyć nawyk wyrobiony na samolotach z silnikami tłokowymi. Raptowne zwiększenie mocy spowodowało chwilowe przestawienie kąta łopat i utratę cennej prędkości.

Doszło do przeciągnięcia, czyli spadku siły nośnej na skutek zbyt dużego kąta natarcia skrzydła. Samolot zwykle traci wtedy sterowność. Maszyna miała lecieć zbyt wolno z oblodzonymi skrzydłami. W takich warunkach klapy można wypuścić na nie więcej niż 15 proc. W chwili wypadku viscount miał je wysunięte w maksymalnym położeniu.

Jerzy Ziółkowski w książce „Na lotowskich szlakach” przedstawił podobną ocenę. Piloci, zajęci szukaniem sygnału radiolaterni, nagle się zorientowali, że są zbyt nisko i nie trafiają w pas. Wówczas chcieli poderwać maszynę, zbyt szybko zwiększając obroty. W efekcie zwałiła się ona na ziemię.

DŁUGA LISTA UCHYBIEN

Według obowiązującej do dzisiaj wersji zawiniła załoga, jednak wspomnienia dwóch weteranów lotnictwa nie pokrywają

się z raportem komisji, który musiał trafić do Działu Bezpieczeństwa i być omawiany z pilotami, by w przyszłości uniknąć podobnych błędów. W chwili katastrofy Smolicz miał zaledwie 28 lat i dopiero za rok miał otrzymać licencję na ila-14. Nie bardzo wiadomo, jaką rolę odgrywał w komisji. Poza tym do katastrofy doszło podczas drugiego podejścia, a nie – jak twierdzi – przy odchodzeniu na drugi krąg.

Raportu komisji badającej katastrofę nie ma w archiwach, ale w IPN jest analiza Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, bo to milicyjni technicy wykonywali czynności na miejscu katastrofy. A śledczy Służby Bezpieczeństwa zebrali informacje od tajnych współpracowników. Ustalenia esbeków są inne niż treść oficjalnego komunikatu i różnią się od tego, co napisali Smolicz i Ziółkowski.

W analizie znalazły się cytaty z raportu, które wskazują na naruszanie przepisów. Nie przestrzegano zasad prawa lotniczego. Piloci latali zbyt dużą liczbę godzin w miesiącu, i to na różnych maszynach. Przesiadali się z jednej na drugą, co wpływało na dezorientację i możliwość popełniania błędów.

Dokumentacja lądowania samolotu była błędna i niechlujna. Nie nanoszono w niej rzeczywistego stanu załogi, nie wpisywano rozmieszczenia pasażerów, stewardes i bufetu. W efekcie samolot był źle wyważony. Nikt tego nie dostrzegł, bo w ogóle nie kontrolowano tej dokumentacji.

Załoga nie wypełniała raportów technicznych – z 10 lotów komisja odnalazła zaledwie dwa. Wszystkie loty od przyjęcia samolotu na stan do 7 grudnia zapisane zostały jako jedna pozycja. Po 7 grudnia do chwili katastrofy nie było żadnych wpisów. A w ciągu tych niemal dwóch tygodni viscount był kilka razy w Londynie, Brukseli i Paryżu.

Dziennik podróży obejmował wszystkie loty, jednak wpisany czas startów i lądowań nie pokrywał się z czasem urzędowym w dokumentacji lotniska.

Podczas ostatniego lotu Berlin – Warszawa w rubryce godzina lądowania już w Berlinie wpisano 19. Niestety, wylądować się nie udało.

Tankowanie powinno się odbywać na podstawie tabeli obciążenia samolotu i zgodnie z normą na trasę Warszawa – Berlin – Bruksela należało zatankować 5400 kg paliwa. Tymczasem 19 grudnia zatankowano aż 7150 kg, napelniając zbiorniki pod korek. Podczas międzylądowania w Berlinie samolot miał więc przekroczone dopuszczalne obciążenie przy podchodzeniu do lądowania.

Zatankowano w Warszawie do pełna, by nie robić tego w Brukseli i nie płacić w dolarach.

FURMANKA W PASIE

Podkomisja ruchu, pilotażu i zabezpieczenia radionawigacyjnego stwierdziła, że wyposażenie Okęcia nie odpowiada normom dla lotnisk komunikacyjnych. Warszawski port nie posiadał światła podejścia, miał jedynie wskazujące krawędź pasa startowego.

I nie był ogrodzony! Zdarzało się, że samochody jadące aleją Krakowską omyłkowo skręcały w pas startowy, po którym swobodnie biegały zające, bażanty, sarny, dziki, a nawet łos. Jeździły tamtędy furmanki, bo okoliczni chłopie skracali sobie drogę.

Największe zaniedbania ujawniono w kwalifikacjach pracowników obsługi ziemnej. Szkolenia w Anglii, owszem, były, ale dla inżynierów. Tymczasem LOT oddelegował do portów w Brukseli i Berlinie, gdzie wynajmował hangary, własnych mechaników do obsługi, bo tak było taniej. Zupełnie nie byli przeszkoleni w obsłudze tego typu samolotów. To właśnie miało być główną przyczyną katastrofy.

W dokumencie Zakładu Kryminalistyki czytamy: „(...) Podczas oględzin obwodów



• Fragment rozbitego samolotu, podczas uprzątkania przez belgijskie służby miejsca katastrofy

FOTOGRAFIA Z RAPORTU BELGUSKIEJ KOMISJI BADAJĄCEJ PRZYCZYNY WYPADKU

ciśnien nadajników prędkościomierzy na samolocie Viscount 804 (będącym w eksploatacji) stwierdzono, że punkty odwadniające nie są najniżej położonymi punktami przewodów (wskutek nieprawidłowej obsługi przewody zostały wygięte do góry). Równocześnie stwierdzono, że obsługa samolotu nie przeprowadza czynności odwadniania. Przy działaniu niskiej temperatury nastąpić może zamarznięcie i całkowite względnie częściowe zablokowanie przewodu. Spowoduje to nieprawidłowe wskazania prędkościomierza”.

W efekcie piloci byli pewni, że lecą za szybko. Zwolnili na tyle, że maszyna straciła siłę nośną i zwała się na ziemię.

Za te uchybienia zapłacił stanowiskiem dyrektor naczelny PLL LOT Jan Krzywicki. Po katastrofach jakimś cudem znalazły się pieniądze i z Anglii sprowadzono instruktora.

CO SIĘ WYDARZYŁO NAD „GATTĄ”?

W miesiącach letnich LOT czarterował część swoich maszyn. Il-18 na Bliskim Wschodzie dowoziły muzułmańskich pielgrzymów do Mekki, natomiast viscounty latały z dziećmi francuskiej Polonii na wakacje do Polski.

ływać maszynę, ale nikt nie odpowiadał. Wówczas z bazy lotniczej w Niemczech wystartował myśliwiec dyżurny Gloster Javelin, który miał odnaleźć zgubiony polski samolot. Nie odnalazł.

KULA OGNI NA POLU

Mimo złej pogody rolnik Julien Brifoz wraz z dwoma synami pracował na polu w Smisveld nieopodal Jeuk. Nagle usłyszał dziwny dźwięk i spojrzał w górę. Dostrzegł, jak z chmur wyleciał samolot, który pikował prosto w dół. Z obu skrzydeł wydobywały się płomienie.

Nieopodal, na sąsiednim polu, na traktorze pracował Gerard Guilliams. Silnik jego maszyny zagłuszał dochodzące z zewnątrz dźwięki. Dopiero potężny wybuch i kula ognia wywołały u niego przerażenie.

Do zbadania przyczyn katastrofy Belgowie powołali komisję, na której czele stanął inżynier lotnictwa Maenhaut. W jej składzie znaleźli się też przedstawiciele belgijskiego ministerstwa transportu, a ze strony Polski – ludzie z PLL LOT oraz dwie osoby z Ministerstwa Komunikacji. Do Belgii przyjechali też przedstawiciele producenta – British Aircraft Corporation.

Na pierwszym posiedzeniu niewiele ustalono. Samolot był sprawny, pięć dni

„Nie można wykryć nic, co mogłoby wyjaśnić przyczynę, dla której samolot opuścił swój poziom lotu. Ogólne warunki atmosferyczne w okolicach Jeuk oraz warunki wypadku pozwalają założyć, że pilot stracił kontrolę nad samolotem podczas przechodzenia przez chmurę cumulonimbus. Możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że turbulencja była czynnikiem determinującym ten wypadek”.

Za najbardziej prawdopodobną przyczynę katastrofy uznano to, że viscount wleciał w strefę silnej burzy spowodowanej przez chmurę cumulonimbus, zwanej przez pilotów mordercą.

BELGOWIE WIEDZĄ SWOJE

W 2015 roku lokalne władze Jeuk wraz z belgijską Polonią uczciły pamięć pilotów i stewardes. Cztery lata później na odsłonięcie pamiątkowej tablicy zaproszono ich rodziny, przedstawicieli polskiej ambasady i przedstawicieli PLL LOT.

Uczestnikom uroczystości, w której brali udział także lokalni pasjonaci historii, rozdano broszurę. Można było się z niej dowiedzieć, że w aktach zachowały się zeznania żołnierzy obsługujących radar w belgijskiej bazie sił powietrznych w Melsbroek oraz niemieckiej bazie w Uedem. Mieli w dniu

ce F-104G Starfighter były przystosowane do przenoszenia pocisków jądrowych. Belgia nie posiadała takiej broni, choć pilotów szkolono do ich zrzucania. Część bazy zajmowała jednak amerykańska armia. Ta strefa była niedostępna nawet dla belgijskiego wojska.

„Nie napisano tego wprost – mówi Roman Kowalewicz, syn kapitana – ale można zrozumieć, że to był lot szpiegowski. Dziwna trasa przelotu miała być wynikiem pościgu, który samoloty NATO wszczęły za samolotem uznanym za intruza. A katastrofa była efektem zestrzelenia”.

Na stronie internetowej Koła Historii Lokalnej Gingelom zamieszczono z kolei obszerny tekst opisujący katastrofę polskiego samolotu. Nie pozostawiono w nim już miejsca na domysły. Znajduje się w nim informacja, że liczący zaledwie 30 stron raport zawiera mapkę z zapisem trasy przelotu.

„Kiedy się to wszystko czyta, każdy logicznie myślący człowiek musi stwierdzić: »Polski samolot, który świadomie lub nieświadomie przeleciał nad amerykańską bazą, został zestrzelony!« To pytanie nieuchronnie się pojawia... Tylko nowe, kompleksowe śledztwo może odkryć prawdę!”.

Nie wiadomo skąd pochodzi ujęty w cudzysłów cytat.

TEORIA BEZ SENSU

Teoria Belgów jest jednak pozbawiona sensu. 20 sierpnia 1965 roku pogoda była zła, podstawa chmur znajdowała się na wysokości 300 metrów, a viscount leciał 4,5 km nad ziemią. Z tego pułapu nie dało się nic zobaczyć i nawet gdyby samolot wyposażony był w wysokiej klasy sprzęt fotograficzny, nie zdołałby zrobić zdjęć.

Nieprawdopodobna jest także opisana trasa lotu. Baza Kleine Brogel znajduje się 50 km na północ od korytarza, którym poruszał się viscount. Samolot potrzebował około siedmiu minut, by tam dolecieć, kilku minut na wykonanie kręgu i kolejnych siedmiu, by powrócić na planowany kurs.

Trasa do Mönchengladbach i z powrotem ma ponad 300 km. Turbośmigłowy viscount potrzebował na jej pokonanie około 40 minut, a doliczwszy wykonywanie dodatkowych pętli – nawet godzinę. Tymczasem samolot rozbił się w sześć minut od ostatniego kontaktu z kontrolą obszaru Bruksela.

Roman Kowalewicz nie może zrozumieć, po co stworzono tak nieprawdopodobną wersję przyczyn katastrofy. Prędzej uwierzyłby w przypadkowe zestrzelenie z ziemi, ale na wraku nie znaleziono po nim śladów.

Zażył od Belgów przedstawienia dowodów na poparcie ich hipotezy bądź przeprosin. Nie doczekał się odpowiedzi. Tymczasem spiskowa teoria o szpiegowskim locie polskiego viscounta żyje własnym życiem w internecie. Na belgijskich stronach można znaleźć opis katastrofy i ukrywaną przez lata tajemnicę zestrzelenia samolotu cywilnego przez lotnictwo NATO.

TRZECI VISCOUNT

Po stracie dwóch maszyn eksploatacja ostatniego vickersa stała się nieopłacalna. W 1969 roku kupiły go nowozelandzkie linie. Wśród teorii spiskowych pojawiła się i taka, że także on uległ katastrofie. Tymczasem trzeci polski viscount latał 40 lat, spędził w powietrzu 46 200 godzin, wykonując 40 643 starty i lądowania. Służbę zakończył 15 października 1996 roku. Dwa lata później jego części posłużyły do odbudowy viscounta znajdującego się w Muzeum Lotnictwa Morrabin. Pozostawiono tylko jego część dziobową, która do dziś stanowi cenny eksponat w Aeropark East Midlands w Derby. ●



• Informacja o katastrofie pod Jeuk w belgijskiej gazecie oraz czołówka w „Expresie Wieczornym” po wypadku na Okęciu

FOT. ZBIORY PRZEMYSŁAWA SEMCZUKA

Lotnisko na Okęciu nie było ogrodzone. Samochody z alei Krakowskiej skręcały czasem omyłkowo w pas startowy, po którym biegały sarny, dziki, a nawet łos. Jeździły tamtędy furmanki, bo chłopie skracali sobie drogę

W piątkowy poranek 20 sierpnia 1965 roku z Okęcia wystartowały dwie maszyny – il-18 i viscount, za którego sterami siedział kapitan Marian Kowalewicz. W Poznaniu zabrały grupę wracających do Francji dzieci i poleciały do Lille. Il wystartował pierwszy, viscount – godzinę później. Lot do Francji przebiegał bez zakłóceń.

Na płycie lotniska w Lille Kowalewicz wymienił kilka zdań z kapitanem iła Zygmuntem Krasoniem. Piloci otrzymali prognozy meteorologiczne – ostrzeżenie o froncie burzowym, który przechodzi na trasie ich powrotu.

Maszyny wystartowały do Polski bez pasażerów, il wziął kurs na Belgię, a później miał się skierować na Wrocław. Godzinę później w powietrzu wzbił się viscount, który za dwie godziny miał wylądować na Okęciu.

O 12.54 załoga połączyła się z kontrolą obszaru Bruksela. Potwierdziła minięcie radiolatarni o nazwie „Gatta” i zapowiedziała przejście nad kolejną. Gdy minęła wyznaczona pora, kontroler zaczął wywo-

wcześniej przeszedł w Londynie przegląd techniczny. Dwa dni przed katastrofą technicy w Gatwick przeprowadzili rutynową kontrolę. Maszyna miała wylatane 14 tys. godzin, wykonała 7,5 tys. startów i lądowań.

Przy uderzeniu w ziemię trzy z czterech silników pracowały normalnie. Czwarty był wyłączony. Relacje świadków wskazywały, że się palił.

Biegli stwierdzili, że końce skrzydeł zostały odłamane jeszcze podczas lotu. Mogło do tego dojść podczas próby wyjścia z nurkowania. Samolot zszedł szybko z 13 tys. stóp do 2,5 tys. Świadkowie zapamiętali, że leciał ze wschodu na zachód, czyli w przeciwną stronę niż trasa przelotu.

Głównym podejrzanym była pogoda – tego dnia na trasie były burze. Jednak w tym samym korytarzu powietrznym leciało jeszcze pięć samolotów: boeing 707 Lufthansy, caravelle Air France i trzy convairy 44 Sabeny.

Dopiero wiosną 1966 roku opublikowano oficjalny komunikat:

katastrofy obserwować kropkę na radarze, którą był polski samolot. Z ich zeznań miało wynikać, że po 30 km od minięcia radiolatarni „Gatta” samolot skrzył ostro w lewo i doleciał do miejscowości Kleine Brogel. Tam miał zatoczyć krąg nad wojskową bazą lotniczą i próbował wrócić na pierwotną trasę. Nie doleciał jednak do korytarza, lecz wykonał kolejny zwrot i kontynuował lot w kierunku północno-wschodnim.

Przeciął terytorium Holandii, dotarł od północnego zachodu do Mönchengladbach. Okrążył miasto, zataczając spory krąg zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, wykonał przy tym kilka małych pętli. Po czym obrał kurs w przeciwnym kierunku. Ponownie przeciął Holandię i leciał na zachód niemal w swoim pierwotnym korytarzu. Tyle że w przeciwną stronę, niż zakładał plan lotu.

Zdaniem belgijskich pasjonatów historii, którzy byli autorami broszury, powodem zmiany planu lotu miała być baza lotnicza, w której stacjonowało 10. Skrzydło Lotnictwa Taktycznego. Belgijskie myśliwi-



CZŁOWIEK, KTÓRY *WYSKRZESIŁ* LIZBONĘ

O Pombalu mówiono: „ma głowę z brązu i serce z kamienia”. Rządził Portugalią 30 lat. Jedni uważają go za tyrana, inni za światłego reformatora, który wprowadził kraj w epokę Oświecenia.

Iwona Stabuszewska-Krauze

Naprawdę nazywał się Sebastião José de Carvalho e Melo. Urodził się 13 maja 1699 roku w szlacheckiej rodzinie, która posiadała majątek w Leirii w środkowej Portugalii. Wzbogaciła się jednak na tyle, by kupić także okazały pałac w Lizbonie.

Zgodnie z rodzinną tradycją Sebastião podjął studia prawnicze na uniwersytecie w Coimbra, ale przerwał naukę po roku i zaciągnął się do wojska. Armia również nie spełniła jego oczekiwań – osiągnął ledwie stopień kaprała. Nie udało mu się też zdobyć zainteresowania lizbońskich elit, na co bardzo liczył. Rozczarowany wrócił do nauki prawa i historii.

PO SZCZEBŁACH KARIERY

Miał 24 lata, gdy ożenił się z Teresą de Noronha e Bourbon e Almada, starszą o 10 lat bezdzietną wdową. Zrobił to wbrew jej rodzinie, która uważała go za słabą partię – Teresa była bowiem arystokratką z „tych” Burbonów, a on zwykłym szlachcicem.

W 1738 roku dzięki wsparciu wpływowego wuja Sebastião José de Carvalho e Melo rozpoczął karierę dyplomatyczną. Sześć lat spędził w Londynie jako ambasador. Nigdy nie nauczył się angielskiego, ale chłonił anglosaskie idee. Bardzo podobała mu się podległość Kościoła anglikańskiego monarchii i działalność monopolistycznych kompanii królewskich handlujących z koloniami.

Teresa nie wyjechała do Londynu, ponieważ obawiała się londyńskiego klimatu. Zaskoczył jej jednak lizboński – zmarła rok po wyjeździe męża, w klasztorze. Pozostawiła mu spory majątek, który wzmocnił jego pozycję. Stała się ona jeszcze mocniejsza, gdy odziedziczył także majątek po ojcu i wuju – stał się właścicielem posiadłości w Oeiras oraz domu niedaleko miejscowości Pombal.

Po śmierci żony znów wyjechał – tym razem do Wiednia, gdzie przez cztery lata był ambasadorem. Tam poślubił młodszą o 22 lata hrabiankę Eleonorę Ernestinę von Daun, która urodziła mu siedmioro dzieci.

Po latach za granicą król Jan V sprowadził ambitnego dyplomata do Portugalii.

Wcale nie dlatego, że był mu potrzebny, lecz dlatego, że mu nie ufał. Obawiał się żadnego władzy, wpływowego już polityka i aż do śmierci w 1750 roku był mu nieprzychylny.

Sytuacja zmieniła się, gdy na tron wstąpił syn Jana V, 35-letni Józef I. Nowy władca darzył Pombala sympatią, wprowadził go w dworskie kręgi i dawał mu coraz większą władzę. Z poparciem królowej matki uczynił go w 1750 roku ministrem spraw zagranicznych i wojny, a potem premierem.

Alexandre de Gusmão, intelektualista i ceniony wówczas dyplomata, ocenił: „Pasha osiągnął, co zamierzał! Jeśli tylko lud go zniesie, zapisze się w historii i będą podziwiać dzieła jego szerokich idei”.

Przepowiednia się spełniła.

STOLICA W GRUZACH

Skarbiec królewski świecił pustkami. Jan V nie wykorzystał złota i diamentów z Brazylii do rozbudowania infrastruktury czy rozwinięcia gospodarki, ale trwonął majątek na budowę pełnych przepychu pałaców, ekstrawaganckie zachcianki i rozpasaną konsumpcję dworu.

Jego syn też nie miał zapалу do rządzenia, wołał polowania, modę i teatr. Zaraz po wstąpieniu na tron rozpoczął budowę monumentalnej opery na 600 widzów, ze sceną mogącą pomieścić 25 koni. Miała być najokazalsza i najznakomitsza w Europie. Otwarto ją z wielką pompą 31 marca 1755 roku, ale przetrwała tylko 215 dni – do 1 listopada.

Tego dnia o godzinie 9.40 ziemia zatrzęsała się po raz pierwszy. Później były jeszcze dwa wstrząsy, które w ciągu siedmiu minut zniszczyły dwie trzecie zabudowy Lizbony. W miasto uderzyła kilkumetrowa fala tsunami. W ruinach kościołów wybuchły pożary, a wkrótce całe miasto stało się w płomieniach. Śmierć poniosło od 40 do 60 tys. ludzi, a wstrząsy wtórne mieszkańcy odczuwali przez kolejne pół roku.

Pombal ani jego dom nie ucierpieli. Katakizm wręcz markizowi pomógł. Ujawnił jego talent przywódczy i organizacyjny, a także umiejętność zachowania zimnej krwi, kiedy wszyscy wokół, łącznie z królem, wpadli w panikę.



• **Minister Sebastião José de Carvalho e Melo, czyli markiz Pombal (1699-1782) omawia z architektami projekt odbudowy Lizbony. Litografia datowana na 1832 rok**
FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ PORTUGALII



• **Trzęsienie ziemi i tsunami niszczą stolicę Portugalii 1 listopada 1755 roku. Ręcznie kolorowany drzeworyt z XIX wieku** FOT. AKG-IMAGES / NORTH WIND PICTURE / EAST NEWS



ZARZĄDZANIE CHAOSEM

Już wieczorem w dzień tragedii Pombal zaczął opracowywać plan kryzysowy. W ciągu 72 godzin zostały wydane odpowiednie rozkazy i instrukcje. Dzięki nim opanowany został chaos i udało się sfinansować najpilniejsze potrzeby z królewskich pieniędzy. Pombal objeżdżał miasto, nie bacząc na przypaloną perukę i unoszący się w powietrzu swąd, żeby samemu ocenić sytuację. Pocieszał mieszkańców słowami: „Pocho- wajcie zmarłych, zatroszczcie się o żywych, zamknijcie porty”. Pierwsze decyzje dotyczyły sądów doraźnych dla rabusiów, którzy buszowali w zrujnowanych kościołach, pałacach i domach. Skazańcy, głównie Portugalczycy, ale też angielscy i irlandzcy marynarze, wisieli na miejskich szubienicach jeszcze długo po wykonaniu wyroku – ku przestrodze. Mieszkańcom, którzy uciekli na wieś, kazano wrócić i pomóc w odbudowie stoli- cy. Zamrożono czynsze, a księżom, kazano wznowić odprawiania liturgii. Prerażony król dał Pombalowi wolną rękę, a sam zaszył się w pobliskim Belém. Oświadczył, że nigdy już nie zaśnie w muro-

wanym budynku, który mógłby zawalić mu się na głowę. I słowa dotrzymał – do końca życia mieszkał w Real Barraca, drewnianych apartamentach dzielonych z królewską rodziną. Trauma spowodowała, że do końca życia nie był zdolny do sprawowania władzy, na czym skorzystał Pombal. Dzięki jego błyskawicznym decyzjom nikt po katastrofie nie głodował, nie wybu- chła epidemia, a chaos nie trwał długo. Zarządzanie kryzysowe Pombala było imponujące, nawet jak na dzisiejsze stan- dardy.

NOWA LIZBONA

Szybko zaczął realizować bardziej dale- kosiężne zamierzenia. Zakazał odbudowy domów, póki nie powstanie ogólny plan zabudowy miasta. Naprędce postawione budynki kazał rozebrać, podobnie jak domy odbudowywane bez pozwolenia – ich wła- ściciele musieli ponieść koszty rozbiórki. Zgodnie z wizją Pombala na ruinach śre- dniowiecznego miasta, o ciasnych i brudnych ulicach, miało powstać zupełnie nowe – zgodne z ideami Oświecenia. Projekt odbu- dowy Lizbony nosi datę 12 czerwca 1758 roku, powstał więc nieco ponad dwa lata od kata- klizmu. Pod dyktando Pombala przygotowali go architekci i inżynierowie Eugénio dos Santos, Manuel da Maia i Carlos Mardel. Wizytówką Lizbony miały być proste, szerokie aleje wykładane mozaiką. Ulice nazwane od cechów rzemieślniczych miały mieć dobrą wentylację i dostęp do dużej ilości światła. Nakazano ujednolicić fasady budynków w stylu klasycystycznym. Wszystkie kamienice miały mieć takie same drzwi, by nie sugerować statusu ich właścicieli. Zakazano nawet umieszczania doniczek w oknach. Projekty kościołów zostały opracowane przez architektów świeckich, a wysokość budynków musiała zmieścić się w linii z pozostałą zabudową. Jak pisał historyk José Hermano Saraiva, plan miasta odzwierciedlał nową koncepcję państwa. „Na centralnym placu [Terreiro do Paço] spotykają się siły, które miały two- rzyć państwo: na piętrze urzędy i oficjalne sekretariaty, na parterze, jakby stanowiąc ich oparcie, lokale handlowe. A na czele tej wielkiej parady pomnik króla, którego koń postępuje naprzód, miażdżąc żmije”.

DOMY ANTYSEJSMICZNE

Baixa Pombalina, czyli pombalińska dzielnica (dolna), jak nazywa się do dziś, powstała z myślą o ochronie sejsmicznej. Kamienice odbudowano, stosując drewnianą konstrukcję szkieletową zwaną gaiolas, trochę podobną do muru pruskie- go. Elastyczny szkielet z drewna był wypeł- niany obrobionymi wcześniej kamieniami i zaprawą. Miał chłonać wstrząsy, a grube mury boczne stanowiły barierę przeciwpo- żarową. W tym samym celu między ściany działowe wprowadzono łuki pombalińskie. Część wyposażenia wewnątrz – płytki cera- miczne, elementy klatek schodowych – przywożono prefabrykowane spoza Lizbo- ny, by przyspieszyć budowę. Wytrzymałość tych domów w kilku przypadkach sprawdziło wojsko, które przemaszerowało po najwyższym piętrze kamienicy. Zastosowanie gaiolas sprawia- ło, że budynki mogły się chwiać, ale istniała duża szansa, że się nie zawała. Prawdopo- dobnie był to pierwszy w historii przykład wykorzystania odpornych na wstrząsy sejsmiczne konstrukcji architektonicznych. Dziś można wyobrazić sobie Lizbonę sprzed kataklizmu, spacerując po jej najstar- szej, ocalałej po trzęsieniu ziemi Alfamie. Dzielnica z wąskimi i krętymi uliczkami wspi- nającymi się na wzgórze, z oknami upstrzo- nymi doniczkami, z kawiarenkami ukrytymi w zaułkach i rozwieszonym nad głowami przechodniów kapiącym praniem kontrastu- je z uporządkowaną urbanistycznie, schludną i nieco zimną Baixa Pombalina.

Pombal stał się znany w kraju i za gra- nicą. Zyskał ogromną popularność i przy- chylność społeczeństwa. Król w 1759 roku nadał mu tytuł hrabiego Oeiras, a także mianował go markizem de Pombal, za- pożyczając nazwę miasta, gdzie leżał jego rodzinny majątek. Jego imieniem nazwano jeden z ważniejszych w Lizbonie placów. Doczekał się też tam pomnika z brązu, odsłoniętego w 1934 roku przez Salazara.

JAK ZAŁATWIĆ WROGÓW?

Kataklizm na zawsze odmienił Lizbonę, ale mieszkańcy zadawali sobie pytanie: „Dlaczego?”. Trzęsienia ziemi uznawano za zjawiska nadprzyrodzone, trudne do zrozu- mienia. Nad ich interpretacją zastanawiali się najwięksi myśliciele, chociażby Voltair, który ostrzegał przed postrzeganiem kata- klizmu w kategoriach winy i kary.

Niektórzy jednak tak go właśnie in- terpretowali. Szanowany jezuita, ojciec Gabriel Malagrida, twierdził, że to efekt gniewu bożego. W odpowiedzi Pombal rozpropagował ulotki z naukowymi wyja- śnieniami, że to naturalne zjawisko, które uderzyło też w heretyków (Nowa Anglia) i muzułmanów (Maroko), a nie tylko w „prawowierną” Portugalię.

Jego spór z jezuitami, z którymi zamie- rzał się rozprawić, stopniowo się nasilał. Także konserwatywna arystokracja nie mogła przeboleć, że pierwszy minister otrzymał tak wielką władzę. Gdy niezado- woleni z jego rządów zrzeszyli się w junta de providencia, Pombal znalazł podstawy, by oskarżyć arystokrację i ojca Malagridę o spiskowanie przeciwko królowi.

Z arystokracją rozprawił się brutalnie podczas pokazowego procesu wpływowej rodziny Távora. Oskarżono ją o organizację zamachu na króla, do którego doszło 3 sierpnia 1758 roku (Józef I został ranny w ramię). Pom- bal nakazał wtedy publiczne tortury księcia de Aveiro, jednego z najpotężniejszych arysto- kratów w kraju, i niemal wszystkich członków jego rodziny. I choć brakowało wystarczają- cych dowodów na spisek, kazał ich powiesić i poćwiartować ciała, a markizę de Távora zmusił do patrzenia na egzekucję jej dzieci.

Następnie Pombal rozprawił się z je- zuitami, rozszerzając zarzut spiskowania, herezji i próby królobójstwa postawiony ojcu Malagridzie na wszystkich członków zgromadzenia. Jezuiaci byli jedną z najbar- dziej wpływowych sił w Europie. Przed trzęsieniem ziemi w Lizbonie działało 40 klasztorów, a w całym kraju ponad 500. Większość szkół była w ich rękach, byli też spowiednikami rodziny królewskiej. Pombal doprowadził do wygnania jezuitów z Portugalii. Spalono ich biblio- teki, bezpowrotnie niszcząc cenne źródła historyczne, skonfiskowano majątek, sporo mnichów uwięziono. Ojciec Malagrida zo- stał przekazany inkwizycji i podczas sfingo- wanego procesu skazany na śmierć przez uduszenie garotą i spalenie na stosie.

Nowy papież Klemens XIV rozwiązał zakon w 1773 roku. Skutek był taki, że Kościół w Portugalii stał się bezwolnym narzędziem w rękach Pombala.

Jezuici zostali wygnani także z Brazylii, a za srebro odkryte tam na początku XVIII wieku Pombal zaczął zakładać w Portugalii świeckie szkoły.

WSZYSTKO POD KONTROLĄ

Silną ręką uregulował handel i produkcję wina w kraju. W 1756 roku wyznaczył jeden z pierwszych na świecie regionów demarkacyjnych. Obejmował on część winnic w Douro na północy Portugalii, gdzie uprawiano winorośl od czasów rzymskich. Winem handlowali głównie Anglicy i cudzoziemcy z północnej Europy. Region demarkacyjny klasyfikował winnice i oddzielał te, z których można było produ- kować porto, od tych, które nie miały na to królewskiego glejtu.

Ustalone zostały też minimalne ceny na winogrona i wino. Równocześnie ukrócono praktyki jego psucia (niektórzy producenci dodawali do wina cukru lub dolewali soku z bzu czarnego). Nowych zasad strzegła królewska Com- panhia Real, która pobierała oczywiście pokażne podatki. Producenci wina próbo- wali więc podnieść ceny porto. W 1757 roku właściciele tawern i ich klienci zaprotesto- wali razem z plantatorami winnic pozba- wionych możliwości produkcji porto. Pombal rozprawił się z nimi bezwzględ- nie – wykonano 26 egzekucji, 470 osób wtrącono do lochów. Innych deportowano do Afryki lub skonfiskowano im majątki i nałożono drakońskie grzywny. W swoim majątku pod Lizboną Pombal sam produkował wino z etykietą portwine, choć z regionem demarkacyjnym ten teren nie miał nic wspólnego.

REFORMATOR

Reformy Pombal wprowadzał autokratycz- nie, co sprawdzało się w czasach kryzysu, ale budziło opór w okresie spokoju. Zarzuca mu się, że był niezdolny do kompromisu, a jego bezwzględność i brutalność szokowały. Dał odetchnąć poddanym od władzy Kościoła, odebrał cenzurę inkwizycji, ale czasem z jej usług sam korzystał. Utworzył pierwszą policję z prawdziwego zdarzenia (w tym tajną), do której wstąpiła spora grupa osób związanych wcześniej z in- kwizycją. Powołał Bank Królewski (Banco Real), którego zadaniem była centralizacja polityki finansowej. Podporządkował sobie władzę sądowniczą.

Przeprowadził udane reformy gospo- darcze. Stymulował lokalny przemysł, zakazując eksportu niektórych surowców i rozwijając produkcję jedwabiu, wełny, ceramiki i szkła. Pod koniec XVIII wieku dzięki niemu w kraju działało 500 młynów tkackich, a w przemyśle włókienniczym zatrudnionych było ponad 3 tys. ludzi. Nie było obszaru życia, na który by nie wpłynął. W 1761 roku wydał edykt o uwolnieniu niewolników afrykańskich w Portugalii. Chciał zapobiec ich masowe- mu zatrudnianiu w charakterze służących w domach szlacheckich. Zniósł niewol- nictwo bynajmniej nie z pobudek huma- nitarnych, ale dlatego, że niewolnicy byli potrzebni w Brazylii.

W 1774 roku wprowadził prawo swo- bodnego przemieszczania się po kraju. Pombal miał ogromne zasługi dla rozwoju świeckiego szkolnictwa. Wprowadził do szkół nauki ściśle, matematykę i filozofię francuską, choć było to trudne z powodu braku odpo- wiednio przygotowanych nauczycieli. Posta- wił na edukację medyczną, przede wszystkim na chirurgię. Zakładał ogrody botaniczne i obserwatorium astronomiczne. Sprzeciwiał się antysemityzmowi. Kiedy proponowano, by Żydzi nosili białe jarmułki, przyniósł trzy – dla siebie, króla i arcybiskupa. Argumentował, że nie ma Portugalczyka, w którego żyłach nie płynę- łoby odrobinę żydowskiej krwi.

W NIEŁASCE

Kariera markiza skończyła się wraz ze wstąpieniem na tron najstarszej kró- lewskiej córki, Marii Franciszki. Nowa władczyni, pierwsza kobieta na tronie Portugalii, nie cierpiała Pombala. Zaczęła rządy w 1777 roku od jego zdymisjonowa- nia. Markiz otrzymał zakaz zbliżania się do królowej na odległość 20 mil. Maria Fran- ciszka uwolniła rodzinę Távora z klasz- torów i przywróciła jej członkom dobre imię. Wypuściła też na wolność więźniów politycznych i jezuitów, o ile jeszcze żyli, bo w lochach siedzieli od 20 lat.

Markiz został oskarżony o nadużycie władzy i zmuszony do opuszczenia stolicy. Zmarł 8 maja 1782 roku w wieku 82 lat w majątku w Pombal. Pochowano go w Li- zbonie. ●



Chmura miała wygląd i kształt drzewa i na oko sprawiała wrażenie wielkiej pinii; mianowicie wzniosłszy się do znacznej wysokości w postaci mocno wydłużonego pnia, rozpostarła poziomo jakby konary. Przypuszczam, że wypchnął ją w górę słup powietrza, które pierwsze buchnęło z wnętrza góry.” – pisał do rzymskiego historyka Tacyta Pliniusz Młodszy (“Listy Pliniusza Młodszego do Tacyta” w przekładzie Janiny Niemirskiej-Pliszczyńskiej).

Z Wezuwiusza w powietrze wyleciały wtedy obłoki gazów i pyłu wulkanicznego, wydmuchując gorący popiół, pumeks i stopioną skalę na wysokość aż 33 kilometrów. Wszystko to wyrzucane było z prędkością 1,5 mln ton na sekundę, a ilość uwolnionej energii cieplej sto tys. razy przekraczała tę, która towarzyszyła zrzuconiu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

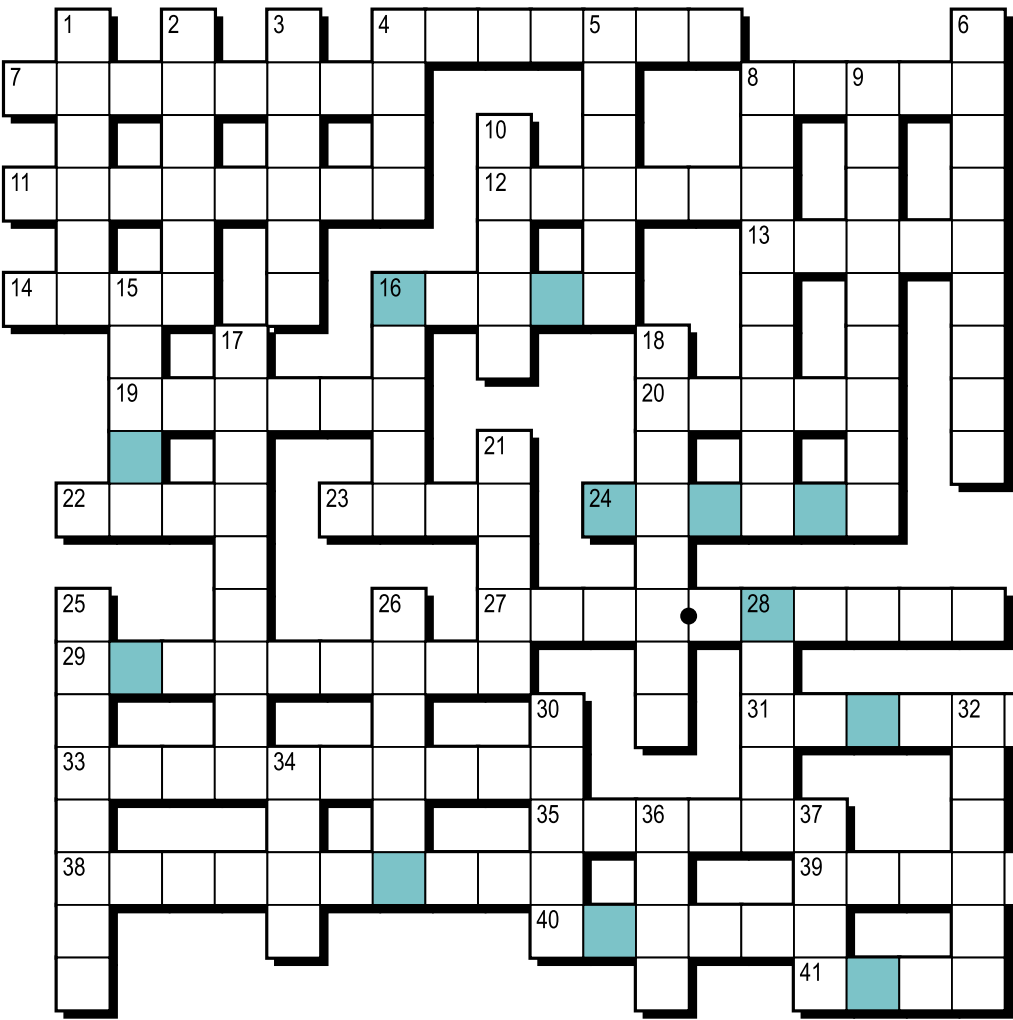
Na miasta leżące u stóp wulkanu runęły rozgrzane glazy, a temperatura gwałtownie wzrosła, nawet do 600 stopni Celsjusza. Powietrze prze-sycone było trującymi gazami wulkanicznymi, zawierającymi chlorowodór i siarkę - miał udu-sić się nimi m.in. Pliniusz Starszy, wuj Pliniusza Młodszego, który tak to właśnie przedstawił. Po-tem wszystko przykryła gruba, kilkumetrowa warstwa popiołu.

Eksplzja Wezuwiusza w 79 r. n.e. zniszczy-ła Pompeje, Herkulanum i Stabie. Nie wiadomo, ile dokładnie zginęło ludzi. W ruinach Pompe-jów archeolodzy odnaleźli szkielety ponad tysią-ca osób, odkryto też szczątki stu kolejnych. Z ko-lei w Herkulanum pozostałości ponad 330 osób. W dotkniętych kataklizmem miastach przed zniszczeniem zamieszkiwało łącznie ponad 20 tys. mieszkańców. Przyjmuje się, że śmierć po-niosło ok. 2 tysięcy ludzi w samych Pompejach, choć łączne szacunki historyków mówią nawet o 16 tys. ofiar Wezuwiusza.

Relację z wybuchu znamy właściwie tylko ze słów Pliniusza Młodszego, który opisywał wy-buch Tacytowi. Pliniusz nie do końca uznać jed-nak możemy za naocznego świadka. W momen-cie wybuchu przebywał w Misenum, porcie od-dalonym od Pompejów o ok. 30 km. Stamtąd zresztą ruszył na pomoc pompejańczykom jego wuj, dowódca floty stacjonującej w Misenum.

Relację swoją w formie listownej Pliniusz przekazywał dopiero 25 lat po wydarzeniu. Pi-sał do Tacyta, że erupcja Wezuwiusza i zagła-da rzymskich miast nastąpiła 24 sierpnia. Dłu-go tę datę uznawano za pewniak, ale stosunko-wo niedawne odkrycia archeologów w Pompe-jach mogą świadczyć, że doszło do niej później, ok. 24 października – m.in. odkryte resztki je-siennych owoców czy inskrypcje naścienne. Jesz-cze inne teorie mówią o listopadzie. Ale my dziś idziemy tropem Pliniusza i dlatego dzisiajszą „Weekendówkę” poświęcamy wulkanom. Uspo-kajamy jednocześnie, że nie będzie to krzyżówka tylko dla geologów.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 116 z 17.08:

Poziomo: 5) Ministerstwo, 9) komedia, 11) Cleese, 12) humor, 13) drwal, 14) Kate, 16) pomysły, 18) mecz, 19) krzyż, 22) martwa papuga, 24) wyprawa, 25) lemur, 27) beczka, 28) Hamlet, 29) tańce, 31) Edam, 34) Żywoć, Briana, 36) piosenka, 37) Rybka, zwana Wandą, 39) nonsens.

Pionowo: 1) Gilliam, 2) widelec, 3) Strep, 4) Graham, Chapman, 6) Tomasz, 7) okrzyk, 8) Piłat, 10) modrzew, 15) Terry, 17) inkwizycja, 20) Fawłty, 21) Graal, 22) Michael Palin, 23) albatros, 26) rozrywka, 30) Eric Idle, 32) myszy, 33) tykwa, 35) banan, 37) Ron, 38) Ken.

HASŁO:
INSPEKTOR TYGRYS

WULKANY

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) zespół, który nagrał piosenkę „Lawa”
- 7) ekwadorski stratowulkan (5897 m n.p.m.)
- 8) ... wulkaniczna, np. riolit albo perlit
- 11) kraj z wulkanami Pinatubo i Apo
- 12) magmowa skała wylewna
- 13) wulkaniczne wyziewy
- 14) wulkaniczne wyziewy
- 16) piękna żona boga Wulkana
- 19) najaktywniejszy wulkan u wybrzeża Antarktydy (z tamigłówką obrazkową w nazwie)
- 20) ... isquier, wyrzucane przez fajerwerkowe wulkany
- 22) kraj w Ameryce Pd., z licznymi wulkanami (m.in. Ampato)

- 23) „Nasz naród jak ...”, cytata z części III „Dziadów”
- 24) ... Wygaśnię Wulkanów, na Dolnym Śląsku
- 27) wiedział, że jego planecie mogą zagrażać wulkany (trzeba je codziennie czyścić) i baobaby
- 29) zespół z „Lawą” w repertuarze („Z telewizorów płynie lava, z głośników na ulicy lava...”)
- 31) porowate szkliwo wulkaniczne (do dostania w drogerii)
- 33) Jacek, nagrał piosenkę „Pompeje”
- 35) ... katastroficzny, film taki jak „Wulkan” z Tommym Lee Jonesem
- 38) Jacopo, włoski malarz z XVI w. („Wulkan zaskakuje Wenus i Marsa”, „Kuznia Wulkana”)
- 39) ... dymu i pary, może towarzyszyć erupcji wulkanu
- 40) zagłębienie na szczycie wulkanu
- 41) lekkie skały zbudowane z piasku i popiołu wulkanicznego

Pionowo:

- 1) ... Dziesięciu Tysięcy Dymów, na Alasce
- 2) kanały, którymi gazy i lava wydostają się na powierzchnię
- 3) ... na wulkanie, beztróskie zachowanie w obliczu zbliżającego się zagrożenia
- 4) niepokornione ... natury
- 5) najwyższy szczyt Kaukazu (drzemiący wulkan)
- 6) karaibska wyspa z drzemającym wulkanem Montagne Pelée
- 8) czynny wulkan na wyspie na Morzu Tyrreńskim
- 9) wiersz, w którym Wisława Szymborska pisała: „Meteor spadł. To nie meteor. Wulkan wybuchnął. To nie wulkan”
- 10) oddawane do wulkanizacji
- 15) ... na kraterze” Melchiora Wańkowicza
- 16) Vulcano na Morzu Tyrreńskim
- 17) wulkan na Półwyspie Apenińskim

- 18) powulkaniczny szczyt na Pogórzu Kaczawskim
- 21) ciekła gorąca masa w głębi ziemi
- 25) wulkan między Sumatrą a Jawą (Indonezja)
- 26) ... Brosnan, zagrał w filmie „Góra Dantego”
- 28) Kluczewska ..., wulkan na Kamczatce
- 30) spektakularny, gdy następuje erupcja wulkanu
- 32) wulkaniczne wyspy między Madagaskarem a Mozambikiem
- 34) atrybut boga Wulkana
- 36) imię Asnyka, poety („Tymczasem wulkan w płomieniste róże ubrał się cały...”)
- 37) wypiek o kształcie wulkanu

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację